

poemat niepedagogiczny

Czytaj na str. 5

KONRAD
FREJDLICh



Reportaż wyróżniony w konkursie na opisanie Łodzi, ogłoszonym przez Wydział Kultury Urzędu Miasta

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 23 (1017)
5 CZERWCA 1977 R.
CENA 3 ZŁ



ŁÓDŹ



TOMASZ JAWORSKI

CZŁOWIEK, KTÓRY ZBUDOWAŁ MIASTO

Dyrektor Stanisław Domagalski przeprasza, że kazał na siebie trochę czekać. No cóż, długo to nie trwało, ale się nieco wynudziłem, bo sekretarka jakaś taka nierozmowna. Może i zresztą ja na skorego do rozmowy nie wyglądałem. Ale nic się nie stało, posiedziałem w kąciku sekretariatu łączącego pokoje dyrekcji Łódzkiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Wielkopłytowego „Dąbrowa”, przejrzałem gazety...

Więc dyrektor zaprasza, by usiąść w fotelu i znów się sumituje, że nie ma na czym kawy podać, bo ława się rozleciała, a teraz z meblami dla przedsiębiorstw krucho. Ja, żeby już kończyć te grzeczności wzajemne, pytam niby w nawiązaniu do naszej niedawnej rozmowy telefonicznej.

— No i przemyślał pan, dyrektorze, sprawę?
Kiwa głową i również stawia pytanie.

— Pan naprawdę chce pisać o tamtych czasach?
Wypadałoby skwapliwie potwierdzić, ale mnie jakaś dziwna sztuczność tego pytania uderzyła. Nie, żeby dyrektor pytał w złej wierze, tylko jakbym już gdzieś słyszał to pytanie. Przez kogo innego postawione i do kogo innego kierowane. Więc odpowiadam pół żartem.

Dalszy ciąg na str. 8

KONFRONTACJE

JAN BĄBINSKI

Z HAMBURGA DO OSOWEJ SIENI

W kwietniowych numerach hamburskiego tygodnika „Die Zeit” ukazały się dwa reportaże w jakiejś mierze zahaczające o sprawy dla nas Polaków istotne. Pierwszy reportaż wyszedł spod pióra literatki Leonie Ossowski. To znane w Bundesrepublikie nazwisko. Ossowski wystartowała w 1967 r. powieścią „Kto boi się czarnego luda”. Od tego czasu jej dorobek powiększył się do kilku liczących się pozycji wydawniczych.

Zaraz na wstępie swego o Polsce reportażu Leonie Ossowski zaznacza:

„Gdy opuszczałam rodzinna, wieś. Jej nazwa brzmiała Rochrsdorf. Po upływie lat trzydziestu, kiedy tę wieś odwiedziłam, nosi ona nazwę Osowa Sien. Znajduje się w województwie zielonogórskim. Tu właśnie, od lat bez mała 600, leżała wielka posiadłość mej rodziny. Oczywiście, zda-

wałam sobie sprawę, że moi przodkowie byli polskiego pochodzenia. Wiedziałam również, że wieś i cała w ogóle okolica należała ongiś do Polski. Wprawdzie nigdy nie uczono mnie tego w szkole, ani słowem nie wspominali o tym rodzice, lecz świadoma byłam faktu, że Polska kiedyś tu sięgała. Dowodzą tego historyczne dokumenty”.

Leonie Ossowski dorzuca:

„Polacy, którzy przybyli na te ziemie ze Wschodu i tu się osiedlili, zastali porujnowane domostwa i zięjące pustką stodoły, pełne jedynie szczurów. Dzisiejsi mieszkańcy Osowej Sieni daleko odbiegają od moich o nich wyobrażeń. Zajęci własnymi sprawami nie zwracali zupełnie na mnie uwagi. Udawali, że mnie nie widzą. Wszyscy oni idą spokojnie przez życie i wyraźnie są dumni ze swych dokonań. Wyobrażałam sobie, że tysiące hektarów majątek mych rodziców na pewno był kiedyś lepiej niż obecnie zagospodarowany i sprawniej też zarządzany. Jakże ogromnie się pomyliłam.

Dyrektor państwowego gospodarstwa w Osowej Sieni pan Apolinarski zaczął w 1946 r. uprawiać rolę na 250 hektarach. Miał do dyspozycji 5 starych szkap i kilkanaście na pół zniszczonych maszyn rolniczych. Zadnego innego inwentarza wtedy w majątku nie było. Dziś to gospodarstwo obejmuje obszar 4 000 hektarów i jest pod każdym względem nowoczesne. Wspomnę, że liczy ono 3500 sztuk bydła. Mieczne krowy, po części sprowadzane ze Stanów Zjednoczonych, dają po 5200 litrów mleka rocznie. Dochodzą do tego jeszcze tysiące owiec. Gdzie kiedyś, jak pamiętam, zbierano plony konnymi zaprzę-

Dalszy ciąg na str. 5

DZIECI



KRZYSZTOF POGORZELEC

ALA NIE CHCE KOTA?

Znakomity pedagog i wielki przyjaciel najmłodszych — Anton Makarenko, napisał: „W życiu dziecka zabawa i zabawka ma takie same znaczenie, jak u dorosłego człowieka praca i działalność twórcza”. Maksym Gorki widział rolę zabawki jeszcze inaczej: „To pierwsze dzieło sztuki, z którym spotyka się dziecko na początku drogi życia”.

Jakby nie było — nie tylko w świetle przytoczonych już tutaj wypowiedzi — trudno przecenić rolę, funkcję zabawki trafiającej do rąk najmłodszych obywateli. Trudno — z rozmaitych względów. Przypomnijmy więc, że etnografowie, opierając swoje twierdzenie na prastarych grzechotkach, rzeźbionych w kamieniu zwierzatkach, utrzymują, iż u podłoża działalności artystycznej człowieka w zamierzchłej przeszłości odkrywają

przez archeologów, znajduje się... zabawka. Ekonomści dodają do tego opinię odnoszącą się już do bardzo współczesnych problemów nekających sporą część świata, a mianowicie stwierdzają, że produkcja zabawek jest jedną z najbardziej stabilnych dziedzin wytwórczości, skutecznie opiera się np. recesji, jest z reguły wysocą rentowna.

Dalszy ciąg na str. 3

PLASTYKA

NOWE WŁADZE ZPAP

17 maja 1977 r. łódzkie środowisko plastyczne wybrało władze Zarządu Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków. Prezesem został Janusz Nowacki, wiceprezesem Adam Nahlk. W skład Zarządu weszli: Bogusław Ballek, Stanisław Cuchra — Cukrowski, Bogumił Lukaszewski, Józef Skrobliński i Andrzej Szonert. Radę Artystyczną tworzą: Ryszard Kuba Grzybowski, Ryszard Hunger, Tadeusz Potapczyk, Krystyna Wilczowska i Ewa Marzen-Wolska. Funkcje w nowym Zarządzie pełnią również Antoni Bilas i Andrzej Klein.

Zebrań wyborczych zarządu trzeciego pod względem liczebności w Polsce środowiska plastyków było okazją do podsumowania osiągnięć i dorobku łódzkich artystów, a także forum dyskusji nad szeregiem spraw nie załatwionych, różnorodnych statutowych przeszkód utrudniających działanie związku.

Efekty pracy artystów-plastyków towarzyszą i służą niemal na każdym kroku współczesnemu człowiekowi. Przyspieszone tempo przemian zachodzących w politycznym, społecznym i gospodarczym życiu kraju, równie szybki postęp przeobrażeń Łodzi — stawiają wymagania nieustannej obserwacji i czynnego reagowania na jakość i efekty tych przemian. Sztuka staje się powszechnie dostępną poprzez środki masowego przekazu i różnorodne formy propagandy; znacznie rozszerza i zmienia się jej rola we współczesnym życiu, możliwości kształtowania estetycznych potrzeb społecznych. Równocześnie wzrasta się kontrola tych właśnie funkcji sztuki ze strony społeczeństwa, odpowiedzialność za jakość i rangę problemów, które sztuka powinna rozwiązywać.

Łatwość i powszechna dostępność kontaktu ze współczesną sztuką nakłada szczególne obowiązki na plastyków — projektantów. Obok zagadnień porządkowania estetyki miast, stałego podnoszenia poziomu projektów gotowych wyrobów czy opakowań — dopominają się o aktywny udział plastyków dyscypliny służące kształtowaniu otoczenia człowieka: urbanistyka i architektura. Problemy te były m. in. głównym przedmiotem dyskusji na Ogólnopolskim Zjeździe ZPAP w Krakowie.

Łódzkie tradycje kształcenia artystów zajmujących się na co dzień sztuką użytkową będą szczególnie pomocne przy formułowaniu zadań, jakie wynikają stąd dla plastyki. Również w obrębie samego związku postępuje proces ciągłego doskonalenia form współpracy z resortami i konkretnymi instytucjami odpowiedzialnymi za estetyczny pejzaż wokół nas. Na szczególne podkreślenie zasługują tu szereg realizacji będących odpowiedzią na konkretne, społeczne zamówienie.

Z poważną pomocą przychodzi łódzkiemu środowisku silny mecenas — przemysł. W ramach „Sojuszu światła pracy z kulturą i sztuką” Okręg ZPAP ma już do odnotowania spore sukcesy, m. in. w konkretnej, bieżącej współpracy z zakładami EMA — ELTA i LZPB im. Obrońców Pokoju. Szczególną rangę nadano w Łodzi zagadnieniom doskonalenia form propagandy wizualnej, zarówno w skali miasta jak również w zakładach pracy.

Nowy Zarząd czeka niemało pracy nad przygotowaniem planu działania i określeniem konkretnych zadań. Znaczenie łódzkiego środowiska potwierdza się coraz liczniejszymi wyróżnieniami twórców na ogólnopolskich i światowych konkursach. Chodzi jednak głównie o to, aby w jeszcze większym stopniu zadokumentować obecność plastyków w życiu miasta, wykorzystać ogromny potencjał twórczych możliwości w działaniach na rzecz jego przemian. Tego właśnie wypada przede wszystkim życzyć nowym władcom ZPAP u progu kadencji.

A.M.

NA ZACHÓD OD ŁĄBY

Wielkie domy towarowe w RFN uskarżają się, że konsumenci trzymają od pewnego czasu węża w kieszeni. Więc obroty w handlu są niezbyt wysokie. Z tego względu zapasy towarów rosną. To zaś skłania hurtowników do wstrzeżliwości. Nie składają już tylu zamówień w przemyśle. Skoro zaś brak zamówień, to przemysł nie zwiększa zatrudnienia. To byłby przecież nonsens i ekonomiczne samobójstwo. Tak więc moce produkcyjne fabryk i hut „Bundesre-

Tylko, że teoria teorią, a życie draży zwykle własną ścieżką, której zakrętów przewidzieć na ogół się nie da.

Skąd pewność, że pracujący zechcą więcej wydawać nawet wówczas, gdy więcej zarobią? Czy będą mogli w ogóle tak postąpić? Ceny przecież wzrastają. Stopy inflacji bynajmniej nie opada. Rosną podatki, stawki ubezpieczeniowe, inne też obciążenia. W tej sytuacji trudno ustalić, jakie mogą być reakcje konsumentów. Gdy inflacja jest wysoka, kupowanie

wszelkiej przyzwoitości. Poczekamy, zobaczymy, niech to poleży, a jak się uleży, to tym gościom tam na górze rura zmięknie i spuszcza z tonu.

Do czego to podobne żeby zwykle mydło do mycia kosztowało 4 marki, pedzel do golienia 24 marki, skórzana torbka damska 80 marek, a najtańszy nocleg w najgorszym hotelu turystycznym kosztował 30 marek. (Dolar wart jest obecnie 2,3 DM). To już rozbój na równej drodze. Te cholerne koncerty chcą nas wykończyć,

CZEKANIE NA MR. PROSPERITY

publiki” są obecnie wykorzystywane tylko w 80 proc. A równocześnie milion bezrobotnych szlifuje bruki i się paleta. Jaka więc rada dla nadania gospodarce RFN nowych przyspieszeń?

Później prosta. Podsuwa ją „Kaufkraft — Theorie”.

Trzeba zwiększyć siłę nabywczą ludności, a recesja, która tak już wszystkim zalaża za skórę, ustąpi jakby kto nożem uciął. Trzeba podnieść zarobki, a wtedy zrodzi się samoczynnie „Kaufkraft”, ochota do kupowania rzeczy nowych i atrakcyjnych. Zakreślić żwawo tą korbką. Silnik zaskoczy. Zagra na wysokich obrotach duży zwłok koniunktury.

Na pierwszy rzut oka jest w tej teorii sporo logiki i zdrowego pomyślenia. Wydaje się mieć ręce i nogi. Bo jak zwiększy się umiejętnie popyt na towary to i przemysł powiększy produkcję. Po to zaś by ją zwiększyć, musi zatrudnić nowych pracowników. Zmniejszy się zatem bezrobocie. Nowo zatrudnieni zgłoszą ze swej strony dodatkowe zapotrzebowanie na towary. I w ten sposób koło się zamknie. Rozpocznie się nowy cykl ogólnej prosperity.

jest formą oszczędzania. Nic z tego. Dzieje się akurat odwrotnie. Przeciętna rodzina odnosi 15 proc. swych zarobków do „Sparkasse”.

Dlaczego tak się dzieje? Prawdopodobnie obawa przed jutrem jest mimo wszystko większa niż obawa przed inflacyjnym złodziejem. A niepokój jest źródłem właśnie niespodzianek. Czy jednak tylko strach przed starością i swoista mentalność skłaniają ludzi do zaciskania pasa, odkładania na czarną godzinę w imię pewniejszej przyszłości? Nie jest to wcale takie pewne. Ekonomści nowszej szkoły uważają, że taki punkt widzenia pachnie już myszka i jest zdecydowanie staromodny.

Na tym polu działa całkiem inny czynnik. Jest nim „Kaufstreik”. Ludzie wstrzymują się od zakupu wielu rzeczy, gdyż są zdania, że ktoś usiłuje nabić ich w butelkę. To nie poza. To rodzaj samoobrony i bojkotu rynkowego. Konsumentci jakby po cichu zastrajkowali. Kupują mniej, niż by mogli. Są przeświadczeni, że większość towarów nie jest „preiswert”. Nie jest warta tych bandyckich cen, które wywindowano wyżej

ale figa im się uda. Oczywiście, każdy chętnie by pobral więcej marek za pracę, którą wykonuje. Mało kto jednak jest skłonny wydawać więcej na czysze usługi. Tym bardziej, że galopada cen kładzie się nieznosnym ciężarem na każdej rodzinie. Trzeba więc odczekać. Stąd ów nasilający się, choć też irracjonalny, trend do zmierzania oszczędności. Dość, że „Kaufkraft — Theorie” tytu ma aktualnie zwolenników co przeciwników.

Pewnie, że najlepszym, być może, wyjściem z tych trudności byłoby gwałtowne obniżenie cen na wszystkie towary i usługi. Ale to raczej marzenie ściętej głowy. W obliczu wrażliwych cen na surowce to jedynie sennie rojenia. W RFN czeka się obecnie z utęsknieniem na nowego Erharda, zwanego „Mr. Prosperity”, twórcę powojennego „Wirtschaftswunder”, cudu gospodarczego. Czekają na nowy cud. Tylko, że czasy już nie te. Po wtóre cud zdarza się na ogół tylko raz. Jeśli zdarza się w ogóle.

HARHARA

INFORMACJE

Łodzianka w konkursie im. H. Wieniawskiego

W Poznaniu zakończyły się eliminacje kandydatów do polskiej ekipy na VII Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. H. Wieniawskiego, który odbędzie się w listopadzie br. w stolicy Wielkopolski. Komisja kwalifikacyjna, powołana przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, wyłoniła zespół młodych muzyków, którzy reprezentować będą nasz kraj na tegorocznym konkursie. Są to: Aureli Błaszczyk (Katowice), Wojciech Czepiel (Kraków), Danuta Głowacka (Warszawa), Zygmunta Kowalski (Gdańsk), Joanna Madraszkiewicz (Gdańsk), Piotr Milewski (Poznań), Małgorzata Młyńczak (Poznań), Zygmunta Solca (Wrocław), Daniel Stabrawa (Kraków), Krzysztof Węgrzyn (Warszawa) oraz łodzianka Anna Wódka.

Nagrody dla twórców ludowych

Po raz szósty redakcja „Chłopskiej Drogi” przyznaje nagrody artystyczne nazwane imieniem przedwcześnie zmarłego, jednego z najwybitniejszych poetów ludowych, rolnika z Lubelszczyzny — Jana Poeka. Nagrody przyznawane są co roku wybitnym twórcom ludowym, zasłużonym w rozwoju i upowszechnianiu ludowej poezji, prozy, pamiętnikarstwa, gawędziarstwa, rzeźbiarstwa, malarstwa itp.

Wśród nagrodzonych znaleźli się: Stanisław Korpa — rzeźbiarz, malarz i wycinarz z Rudy w woj. sieradzkim, oraz Stefan Winnicki z Łowicza — mistrz gry na wielu instrumentach, zbieracz łowickiego folkloru muzycznego.

Łodzianin brązowym medalistą

Na międzynarodowym konkursie akordeonowym, który odbywał się w Klingenthal (NRD) w kategorii młodzieżowej (15—18 lat), brązowy medal zdobył łódzki akordeonista Cezary Jabłoński, uczeń Państwowej Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej II st., z klasy Mieczysława Stajkowskiego. Trzeba dodać, że w konkursie tym brało udział 90 akordeonistów, reprezentujących 12 krajów europejskich. A więc tym większy sukces łodzianina.

Partnerska umowa

W dniu 30 maja Łódzki Zespół Filmowy „PROFIL” podpisał z Zakładami im. Mariana Buczka „ZENIT” w Łodzi porozumienie o wzajemnej współpracy w ramach „Sojuszu światła pracy z kulturą i sztuką”.

Porozumienie dotyczy, między innymi, współdziałania przy organizowaniu na terenie zakładu imprez kulturalnych, pomoc ze strony twórców Zespołu dla zakładowego klubu filmowców — amatorów, udział pracowników „ZENITU” w premierowych pokazach filmów, spotkaniach i dyskusjach z ich twórcami.

Bezpośrednią korzyścią wynikającą z umowy będzie możliwość częstszego kontaktu między filmowcami a środowiskiem robotniczym. Intencją takiego zbliżenia jest inspiracja twórców, okazja do konfrontacji zamierzeń i planów realizacji nowych dzieł filmowych z potencjalnymi odbiorcami. Dla „PROFILU”, od początku zainteresowanego przede wszystkim tematyką społeczną, ma to również znaczenie przy określaniu kierunków polityki twórczej która uwzględniłaby odpowiedź na najbardziej istotne dla współczesności problemy.

Pomyślna realizacja umowy będzie zależała od wypracowania najbardziej korzystnych dla obu stron form współpracy. Ręczony, partnerski charakter porozumienia rokuje nadzieję, że nie zabraknie atrakcyjnych tematów do dyskusji ani takżo konkretnych efektów.

MARIA KORNATOWSKA

KINO NA ZACHODZIE

„WSZYSCY LUDZIE PREZYDENTA”

Syndykaty zbrodni. Groźne macki mafii. Gangi i spiski posługujące się najnowszymi technikami podsłuchu i obserwacji, przenikające do najczystszych komórek życia publicznego, wdzierające się do intymności prywatnych mieszkań. Jednostka — istota bezbronna i bezradna, osaczona i przestraszona ponosi zazwyczaj klęskę w starciu z potężną machiną przemocy i manipulacji. Taki właśnie obraz relacji jednostka — władza zdominował kino amerykańskie lat siedemdziesiątych. Kino stanowi bowiem instrument niezwykle czuły, odnotowujący skrupulatnie utajone nawet wstrząsy i ruchy świadomości zbiorowej, skrywane lęki i niepokoje. Ogólna sytuacja polityczno-społeczno-ekonomiczna sprawiła, że przeciętny, poczciwy Amerykanin utracił jakby grunt pod nogami, poczucie własnej sobie pewności i bezpieczeństwa, dynamiki życiowej.

Poczucie bezradności człowieka w obliczu przerażających go mechanizmów społeczno-politycznych jest zjawiskiem niewątpliwie frustrującym. Na dłuższą metę prowadzi ono do osłabienia lub zaniku wszelkiej jednostkowej aktywności i inicjatywy, będących wszak fundamentem odnowy moralnej i politycznej. „Wszyscy ludzie prezydenta” Alana Pakulla, autora popularnych u nas dzieł „Klute” oraz „Syndyk zbrodni” — to pierwszy chyba wybitny film amerykański ostatnich lat, który usiłuje przywrócić wiarę w potrzebę i konieczność jednostkowego działania. Dodamy jeszcze, że aby amerykańskiej mitologii stało się zadość, nie mamy tym razem do czynienia ze wspaniałym szeryfem, nie-

pokonanym detektywem prywatnym, lub nieustraszoną gangsterem, lecz z dwoma całkiem przeciętnymi dziennikarzami, reporterami gazety „Washington Post”: Bobem Woodwardem (Robert Redford) i Carlem Bernsteinem (Dustin Hoffman). Obaj ci panowie, dość przypadkowo zresztą, w pogoni za jakimś sensacyjnym materiałem wpadają na trop afery Watergate.

17 czerwca 1972 roku pięciu ludzi dokonano włamania do siedziby Krajowego Komitetu Partii Demokratycznej w waszyngtońskim budynku Watergate. Policja ujęła sprawców. Toczy się proces przeciwko drobnym, jak się zdaje, przestępcom kryminalnym. Reporterzy tkwią znużeni na sali sądowej. Kilka twarzy wśród publiczności, kilka rozmów, kilka zrzucanych w przelocie zdań... Instynkt zawodowy każe im zająć się tą sprawą. Bernsteina i Woodwarda zaczynają na własną rękę prowadzić śledztwo. Znalezione w notescie własnywacza nazwisko jednego z pracowników Biąłego Domu, Howarda Hunta, stanowi pierwsze ogniwo ogromnego łańcucha osób zaplątanych w historię nielegalnych poczynań i nadużyć wyborczych. Działalność reporterów zatacza coraz szersze kręgi. Bez patosu i zbędnej retoryki, ożywiłi raczej duchem ambicji zawodowych i nieco naiwnym, iście skautowskim zapałem do gry w podchody, ruszają na poszukiwanie prawdy. Nie śpią, nie jedzą i na ogół całymi dniami nie wypuszczają z rąk słuchawek telefonicznych. Każda rozmowa to jakaś nowa wskazówka, nowy ślad.

Bob Woodward znalazł dodatkowe źródło informacji. Jest nim „Głębokie Gardło” —

tajemniczy i do dziś ponoć nie rozszyfrowany osobnik, zapewne wysoki urzędnik rządu Stanów Zjednoczonych. Spotkania z nim — jedyny w dziele Alana Pakulla akcent inscenizacyjny, odwołujący się do chwytów i efektów właściwych filmom kryminalnym — przynoszą powtórzenie wielu przypuszczeń. Redakcja „Washington Post” notabene aktor grający rolę redaktora naczelnego, Jasona Robarda, otrzymał „Oscara” za najlepszą rolę drugoplanową po burzliwej dyskusji decydującej się na opublikowanie pierwszego artykułu, poświęconego włamaniu do Watergate.

Kości zostają rzucone. „Washington Post” staje się najbardziej poczytnym dziennikiem amerykańskim. Próbuje się zastraszyć reporterów, ale daremnie. Okazuje się, że włamanie było posunięciem maskującym znacznie poważniejsze a niegodne z prawem poczynania zmierzające do sparaliżowania kampanii wyborczej demokratów. Padają nazwiska coraz wyższych dygnitarzy Biąłego Domu, coraz bliższych współpracowników prezydenta... Sieć podejrzeń zaciera się wokół członków tzw. CREEP (Komitet Ponownego Wyboru Prezydenta), finansujących nielegalne akcje.

Redakcja „Washington Post” zdaje sobie sprawę z politycznej wagi publikowanych przez nią materiałów. Potrzebne są ostateczne dowody. Niektóre osoby wycofują złożone uprzednio oświadczenia. Niektóre, te najbardziej niewinne, podają się do dymisji. Telefony zaczynają milczeć, zatraskują się drzwi przed reporterami. Oni jednak nie składają broni, wierzą w swoje racje. Ostatnie ujęcie filmu pokazuje wnętrze

redakcji późnym wieczorem. Jest pusto. Na ekranie redakcyjnego telewizora przesuwają się barwne i stereotypowe obrazy z uroczystości objęcia władzy przez prezydenta Geralda Forda. Obok telewizora, w głębi pokoju, siedzą samotni Bob Woodward i Carl Bernstein i stukają z uporem na maszynie. Potem widać już tylko nagłówek gazety; kolejni dygnitarze przyznają się do winy, opuszczają stanowiska, stają przed sądem. 9 sierpnia 1974 roku składa rezygnację sam prezydent Nixon.

Film Alana Pakulla ogląda się z hieszłabnym zainteresowaniem, choć przeczy on wszelkim zasadom spektakularności. Redakcja, ulice Waszyngtonu, kilka nijakich mieszkań — oto cała sceneria filmu. Bohaterów oglądamy głównie ze słuchawką w ręku, często nawet z kilkoma. Słynne gwiazdy aktorskie nie ograwiają swego gwiazdorstwa. Wręcz przeciwnie, kryją za maską przeciętności i zwyczajności. Ponoć wybór aktorów podyktowany został ich niezwykłym podobieństwem do autentycznych bohaterów tej historii, słynnych dziś reporterów z „Washington Post”. Na podstawie ich książki William Goldman opracował nagrodzony „Oscarem” scenariusz filmu Alana Pakulla. Scenarzysta i reżyser relacjonują fakty w sposób maksymalnie oszczędny. Żadne wątki romansowe, żadne próby heroizacji postaci nie zdoła tego filmu, zbudowanego na kształt telewizyjnego reportażu, nie odwracać uwagi od jego pasjonującej w istocie, choć pozornie monotonnej akcji. „Wszyscy ludzie prezydenta” nie są filmem politycznym sensu stricto. Reżyser nie próbuje też ukazywać — w zbyt ostrym świetle — co już kilkakrotnie czyniono na Zachodzie — potęgę prasy i jej roli w grach politycznych i manipulowaniu opinią publiczną. Pa-

sjonująca w tym filmie jest przede wszystkim postawa bohaterów, ich walka o prawdę i ład etyczny prowadzona nie w imię wzniosłych hasel, wielkich spraw, ale w wymiarze głęboko ludzkim, z pozycji przeciętnej jednostki, poczciwego Amerykanina. Zrealizowany po paranoicznym „Syndykacie zbrodni” film Alana Pakulla odwołuje się — być może naiwnie jak na europejski gust i doświadczenia — do wiary w uczciwość, w odwagę na co dzień, w siłę prawdy, kult zawodowej perfekcji i ducha skautingu. Dlatego też scenarzysta i reżyser, trzymając się wiernie książki Carla Bernsteina i Boba Woodwarda, nie zajmują się analizą sił politycznych kryjących się za aferą Watergate i jej konsekwencjami.

Tendencja zapoczątkowana przez „Wszystkich ludzi prezydenta” znajduje już swych kontynuatorów. W tegorocznym laureacie „oscarowym” — w filmie „Rocky” Johna Avildsen — bohater, trześciordny bokser, stawia czoła ogromnej machinie sportowo-widowiskowej, machinie manipulującej emocjami Amerykanów. I odnosi zwycięstwo.

Niektórzy skłonni są widzieć w tych filmach echo dawnego Hollywood, echo owych wzruszających i krzepiących ducha historyjek o ubogich i dzielnych chłopcach, robiących oszałamiającą karierę dzięki pomysłom i zręczności fortuny i szlachetności charakteru. Sądzę, że w dzisiejszej sytuacji filmy te mają odmiennie znaczenie. Przywracając jednostce wiarę w sens jej postawy i działania, mobilizują społeczeństwo amerykańskie do ujęcia w swe ręce odpowiedzialności za los narodu. Ujawniają potrzebę wielkiej odnowy.

Redaguje zespół: JERZY WAWRAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŚDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RYZMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCYJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) JERZY WILMAŃSKI, (sekretarz redakcji) Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF OGÓRZELEC, WITOLD ŚLAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

ODGŁOSY

DZIECI



Foto: Archiwum

ALA NIE CHCE KOTA?

Dalszy ciąg ze str. 1

W oczach psychologa

Problemy gospodarcze oraz techniczne łączące się z produkcją zabawek odstawmy jednak na razie do kąta, niech tam czekają na swoją kolejkę, przyjdzie i na ten temat

W Polsce produkcja zabawek zajmuje się spora grupa przedsiębiorstw, dysponujących niekiedy bardzo nowoczesną techniką, ale w większości przypadków są to zakłady niewielkie, a nawet o charakterze wytwórni rzemieślniczych. Oto liczby charakterystyczne nasz stan posiadania w tej dziedzinie: w roku 1976 mieliśmy 150 zakładów i zatrudniały one ok. 11 tys. osób.

czas. Teraz natomiast chciałbym oddać głos psychologom mającym przecież bardzo wiele do powiedzenia jeśli zabawce — a to nie ulega najmniejszej wątpliwości — przypisuje się tak wielkie znaczenie wychowawcze, w kształtowaniu wrażliwości, zainteresowań, poczucia piękna. Od tego już tylko krok do sformułowania pewnych ogólnych wymagań, które powinna spełniać zabawka, jeśli ma

dobrze „mieścić” się w przed chwilą wyliczonych funkcjach, przypisywanych jej zadaniach.

A więc?

No cóż, ZABAWKA powinna PRZEDE WSZYSTKIM ROZWIJAĆ.

Oznacza to nie innego, jak oddziaływanie na psychiczną osobowość dziecka, na kształtowanie i wyrabianie zdolności manualnych, rozbudzanie wyobraźni i... zaspokajanie ciekawości. Psycholodzy, uważają, że zabawka przybliża dziecku otaczającą je rzeczywistość, a z tego już blisko do wniosku, że powinna to być zabawka mieszcząca się w tej rzeczywistości w naturalny sposób, odbijająca świat otaczający dziecko. Tak więc w przypadku małego „Jasia Kowalskiego”, taką funkcję dobrze spełnia poczciwy misiek, pluszowy piesek czy kotek, a nie egzotyczna żyrafa. uszyta — w dodatku — z różowej tkaniny w zielone ciapki. Naukowcy formułują też niezmiernie ciekawe uwagi co do wyraźnego różnicowania charakteru, kształtu zabawek w zależności od „grupy wiekowej” dzieci, do których ręk one trafiają. Tak więc dla przykładu największe chyba zmiany zachodzą gdy dziecko wkracza w piąty rok życia. Wtedy na półce z zabawkami następuje prawdziwa rewolucja. Przynajmniej powinna nastąpić. Wtedy wła-

nie na miejsce zabawek rozwijających wchodzą manipulacyjne, rozszerzające sprawność rąk. Idąc dalej: w siódmym roku życia dziecka powinno ono otrzymać zabawki dające szansę sprawdzenia sił i możliwości również intelektualnych. Wtedy też zaczynają się pojawiać takie zainteresowania jak np. kolekcjonerstwo, zabawy przegodowe, co też powinno znaleźć praktyczną odpowiedź na półce z zabawkami. I tutaj ciekawostka: wprawdzie w wieku lat 9—10, dziecko zaczyna się pasjonować przedmiotami zmuszającymi do kombinowania, do myślenia, ale — bardzo często — wraca okresowo chęć sięgnięcia do przyjaciela... pluszowego misia, pamiętającego czas niemowlęctwa.

Na przekór technice?

Tutaj parę zdań, które sporej części PT Czytelników mogą się wydać wysoce kontrowersyjne, a nawet w swojej wymowie staroświeckie, jeśli zgoda nie fałszywe.

O co chodzi? No cóż, żyjemy w epoce elektronicznej, wszechogarniającej techniki, chemizacji, automatyzacji, za pasem mamy rok 2000, a z tego już blisko do przekonania, iż również świat zabawek powinien być podporządkowa-

ny zjawiskom wyznaczającym oblicze współczesnego świata. Odmienne poglądy prezentują psycholodzy. Z uporem twierdzą oni, że preferowanie przez rodziców zabawek mechanicznych, jest niczym innym, jak tylko pośrednim zaspokajaniem ciekawości... dorosłych, a w znakomicie mniejszym stopniu odpowiada zainteresowaniom i potrzebom dziecka. W świetle tej opinii dosyć dziwnie wyglądają ci z nas — dorosłych, którzy z uporem wartym lepszej sprawy fundują swoim pociechom skomplikowane gry mechaniczne, automatyczne pojazdy kosmiczne, czy nawet kolejki elektryczne, które w gruncie rzeczy przemawiają bardziej do wyobraźni dorosłych. To najczęściej oni twierdzą, że mała Ala, nie chce pluszowego kota...

Na zakup zabawek wydajemy w Polsce wciąż nie małe pieniądze. W roku 1970 statystyczny Polak przeznaczal na ten cel około 140 złotych. W cztery lata później kwota ta urosła już do 325 złotych. W roku 1975 na zakup zabawek „poszło” w naszym kraju 5.626 mln złotych. Ten szybki wzrost jest jedną z cech poprawy warunków życia społeczeństwa.

Gospodarka i nauka

Niestety wypada tutaj stwierdzić, iż ciągle jeszcze tak produkcja, a co za tym idzie zaopatrzenie rynku w zabawki, odbiegają od ustaleń psycholodów.

Składają się na to rozmaite przyczyny, ale niewątpliwie jedną z nich jest w gruncie rzeczy słabość krajowej bazy wytwórczej, rozproszona w minionych latach, zamiebywanej w sensie inwestycyjnym, choć jak się tu już powiedziało, zabawkarstwo należy do tych dziedzin gospodarowania, które przynoszą duży profit ekonomiczny, nie mówiąc już o skutkach pedagogicznych. Nie jest też tajemnicą, że niemal wszystkie nasze zabawki rodzimej produkcji wytwarzane są z surowców odpadowych, jeśli nie wtórnych. Co nie jest czymś nagannym, jeśli produkty te są odpowiednio, właściwe w stosunku do celu stawianego w założeniu przed wyrobem finalnym trafiającym do rąk dziecka. Mówiło się tutaj o potrzebie dostarczenia na rynek, jako odpowiedzi na społeczne zamówienie, potrzebę, różnego rodzaju „drobiazgow” dających się w ciele spożytkować na konstruowanie prostych zabawek — co oczywiście odpowiada

tezie psychologów o stopniowym kształceniu wyobraźni i umiejętności manualnych i kombinacyjnych u dziecka. Niestety już pobieżny przegląd zasobności sklepów zajmujących się sprzedażą takich detali dla przyszłych konstruktorów nie daje najmniejszych powodów do optymizmu. Można oczywiście powiedzieć, że nie są to dla nas aktualnie problemy najistotniejsze, z drugiej strony — nie ma wyraźniejszych powodów, by te braki nie mogły być uzupełnione, usunięte. Wydaje się, że w tym przypadku daje o sobie znać właśnie niedostatek bazy, a także tradycji w produkowaniu tych detali. Wcale nie małym problemem jest też ciągły

charakter importu zabawek, które przyciągają oko precyzją wykonania, techniczną sprawnością i pomysłowością, natomiast bardzo często nie mają nic wspólnego z rzeczywistą strukturą potrzeb naszego rynku, celami wychowawczymi, nie mówiąc już o ich ocenie.

Wszystko to jest tym bardziej zastanawiające, że dysponujemy w kraju odpowiednią kadrą świetnych artystów, projektantów, są ogromne, potencjalne możliwości rozwoju tego rodzaju wytwórczości, która niekiedy musi być prowadzona w zakładach — gigantach, ale właśnie powinna i może opierać się na wytwórczości niemal chałupniczej, a tylko odpowiednio zorganizowanej. Mamy też jeszcze coś innego, a mianowicie specjalny Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Przemysłu Zabawkarskiego i Artykułów Politechnicznych z siedzibą nie gdzie indziej tylko w Łodzi. Nie licząc krajów socjalistycznych, gdzie działają podobnego typu placówki — tyle że znakomicie lepiej wyposażone — jest to instytucja nie mająca swojego odpowiednika. Jeśli dodam jeszcze, że pracują w niej inżynierowie, konstruktorzy — mechanicy, chemicy, elektrycy i plastycy, ekonomiści, lekarz, no i oczywiście — pedagogzy, jawi się nasz ośrodek jako placówka wykonująca bardzo odpowiedzialne, trudne zadania. I tak jest w istocie. Nie jest po prostu łatwo skonstruować dobrą zabawkę. Czas na to potrzebny waha się w granicach od 3 miesięcy do... dwóch lat. Niemal jest też koszt projektowania i wdrożenia wzoru zabawki do produkcji. W przypadku zabawki tekstylnej — tak, choćby tradycyjnego zwierzątka, w grę wchodzi kwota rzędu 20—30 tysięcy złotych, co nie stanowi jeszcze pauprow kosztów, jako że przy projektach zabawek mechanicznych urastają one do 4—5 milionów złotych!

W ten sposób dotknęliśmy niebagatelnej problemu ekonomicznego, nakładów materialnych i finansowych wiążących się z rozwojem produkcji zabawek — to z jednej strony, a z drugiej — dostarczenia rynkowi w odpowiedniej ilości i jakości niezmiernie chłodliwego towaru. Przypomnijmy, że w porównaniu do poziomu z roku 1970 rozmiar obrotu detalicznego takim towarem jakim są zabawki, wzrosły w pięć lat później o 215 proc., a daleko nam do zaspokajania potrzeb.

Aby nie psuć atmosfery towarzyszącej akurat wypadającemu teraz Międzynarodowemu Dniu Dziecka, nie będę już utyskiwał na to co jest, bądź też czego nie ma a może i powinno być na półkach sklepów najmilszych każdemu z nas — tych z zaczerpniętymi misiami, tyślącym drobiazgow dających się zamieniać w fantastyczny świat zabaw dziecięcych, ale — tak naprawdę — czy tylko dziecięcych?

A może jednak — i tutaj dałoby się coś więcej zrobić? Dla wszystkich dzieci, wśród których są też nasze.

KRZYSZTOF POGORZELEC

NIE TYLKO HISTORIA

OLSZTYŃSKIE SPOTKANIE HISTORYKÓW PRL I NRD

Komisja Historyków PRL i NRD jest ciałem zbiorowym, powołanym do życia w latach pięćdziesiątych przez Akademię Nauk obu krajów, odgrywającym ważną rolę w rozwoju polsko-niemieckiej współpracy naukowej. Nie ma przesady jeśli zauważymy, że jeżeli dzisiaj inaczej patrzymy na skomplikowane stosunki polsko-niemieckie w przeszłości, jest to w znacznej mierze dzięki spotkaniom i inicjatywom tej właśnie komisji. Swoje poprzednie posiedzenie odbyła ona w Magdeburgu; teraz spotkali się w dniach od 15 do 19 maja na ziemi polskiej, w Olsztynie. Tematem sesji olsztyńskiej było „Oświecenie w Polsce i w Niemczech”; wzajemne kontakty i oddziaływanie”. Wzięła w niej udział liczna grupa specjalistów z NRD, której przewodniczył prof. dr Heinrich Scheel, wiceprezes Akademii Nauk NRD, znany badacz ruchów społecznych w epoce Oświecenia, a w szczególności, jakobinizmu w Niemczech. Kilkuosobowej delegacji polskiej przewodniczył prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego prof. dr Marian Biskup.

Dobrym zwyczajem komisji jest że jej obrady nie są przeladowane

zbyt wielką ilością referatów, co pozwala na rozwinięcie wielostronnej dyskusji. Referatowi tym razem było niewiele. Ze strony NRD bardzo interesujące studium pt.: „Oświecenie i literatura w europejskim kontekście XVIII wieku” przedstawił berliński uczonec, prof. dr Helmut Grasshoff. Strona polska zaprezentowała referaty prof. dr Emanuela Rostworowskiego (który z powodu choroby nie mógł wziąć udziału w obradach) na temat: „Problematyka badań nad historią Oświecenia w Polsce” oraz doc. dr Ryszarda W. Wołoszyńskiego „Relacje i wzajemne oddziaływanie między Oświeceniem w Polsce i w Niemczech”. Przedstawione podczas pierwszego posiedzenia komisji, które odbywało się w pięknej sali olsztyńskiego planetarium, referaty, stanowiły podstawę dla bogatej, obejmującej najróżniejsze aspekty polskiego i niemieckiego Oświecenia oraz wzajemnych ich powiązań, ożywionej dyskusji. Wzięli w niej udział właściwie wszyscy uczestnicy sesji. Mówiono o zagadnieniach gospodarczych, politycznych i społecznych polskiego i niemieckiego Oświecenia, akcentując podobieństwa i różnice, dyskutowano

zagadnienia sił społecznych, będących nośnikami ruchu oświeceniowego w obu krajach. Wypowiadali się w tych sprawach badacze niemieccy — prof. dr Heinrich Scheel, Gerhard Schilfert, Johannes Kallisch — a także uczeni polscy, jak m.in. prof. dr Jerzy Wojtowicz. Wybitny specjalista od historii stosunków rosyjsko-niemieckich prof. dr Erich Donnert przedstawił zebrałom interesujące odkrycie źródłowe — nieznanego nauce niemieckiego ideologa jakobitńskiego, działającego w Kurlandii, a będącego w bliskich stosunkach z środowiskami polskimi. Mówiono o stosunkach polsko-niemieckich w dziedzinie literatury (m.in. doc. dr Zofia Sínka), nauki (prof. dr Jerzy Michalski), prof. dr Helmut Grasshoff, prof. dr Andrzej F. Grabski), drukarstwa i księgarstwa (doc. dr Józef Szczepaniec), sztuki plastycznej, teatru i muzyki. Miejscowi badacze przedstawili interesujące komunikaty dotyczące Oświecenia na Warmii i Mazurach.

Komisja Historyków PRL i NRD została nad wyraz gościnnie przyjęta na ziemi olsztyńskiej. Przewodniczący obu sekcji — polskiej i niemieckiej — zostali przyjęci przez I sekretarza KW PZPR w Olsztynie Leona Kłonicę, który podczas spotkania podkreślił, że działalność komisji przyczynia się do umocnienia przyjaźni między naszymi narodami, do wzajemnego lepszego poznania i zrozumienia. Uczestnicy sesji byli gościnnie podejmowani w Ośrodku Naukowym im. W. Kętrzyńskiego, w Muzeum Warmii i Mazur oraz innych miejscowych placówkach nau-

kowych i kulturalnych. Zorganizowano ciekawą wycieczkę do Lidzbarka Warmińskiego — gdzie podejmował nas I sekretarz KM PZPR — oraz Moraga, gdzie zwiedziliśmy otwarte przed dwoma tygodniami Muzeum im. J.G. Herdera, który urodził się w tym mieście.

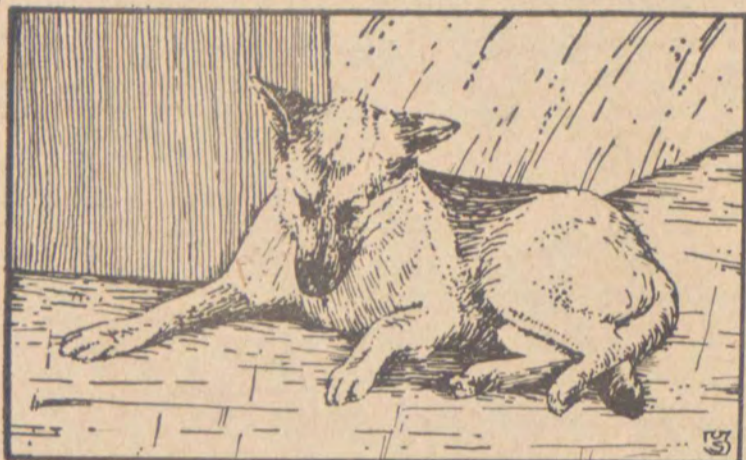
Wieczorem dnia 18 maja w pięknych salach zamku olsztyńskiego odbyło się uroczyste podpisanie protokołu z obrad XXIV sesji Komisji Historyków PRL i NRD, na które przybyli przedstawiciele miejscowych władz. Obie strony stwierdziły, że wymiana poglądów naukowych, jaka miała miejsce podczas olsztyńskiego spotkania, była bardzo owocna. Wymiana opinii przyczyniła się do lepszego zrozumienia stanowisk badaczy z obu krajów i zapoznania się z osiągnięciami obu stron. Licząc 17 paragrafów protokołu nie ograniczył się do podsumowania rezultatów dyskusji o Oświeceniu. Zawiera on wiele punktów o istotnym znaczeniu dla dalszego rozwoju wzajemnych stosunków naukowych między PRL a NRD. Podkreślono w nim, że komisja popiera przygotowywanie przez Instytut Historii PAN oraz Zentralinstitut für Geschichte AN NRD tomu studiów o stosunkach kulturalnych Polski i Niemiec w XIX i XX w. Oceniono pozytywnie przygotowanie do wydania polskiego tomu Jahrbuch für Geschichte i NRD-owskiego numeru Kwartalnika Historycznego. Uchwalono, że komisja popiera inicjatywę publikowania materiałów, dotyczących udziału Polaków wywiezionych podczas wojny i okupacji na roboty do Niemiec, w niemieckim ruchu antyfaszystowskim.

Strona niemiecka zobowiązała się do popierania inicjatyw, odnoszących się do tłumaczenia niektórych polskich prac historycznych w NRD, strona polska podjęła analogiczne zobowiązanie. Zaakcentowano, że obie strony będą nadal czyniły wysiłki celem udzielania pomocy placówkom i osobom, zainteresowanym w prowadzeniu badań archiwalnych i bibliotecznych w każdym z zaprzyjaźnionych krajów. Protokół, odczytany w re-dakcjach niemieckiej i polskiej przez sekretarzy obu delegacji — doc. dr Reinholda Jeske oraz doc. dr Jana Kosima poinformował zebranych, że przedmiotem następnego, XXV posiedzenia komisji, które odbędzie się w jednym z miast NRD, będą „Przesłanki historyczne powstania partii komunistycznych w Niemczech i w Polsce”.

Po akcie podpisania protokołu przez przewodniczących obu delegacji sekretarz KW PZPR w Olsztynie Wincenty Chęłchowski w krótkim przemówieniu złożył uczestnikom obrad gratulacje z powodu domyślnych obrad oraz podkreślił, że poszukiwanie na gruncie dawnych wartości dobrze służy umacnianiu i pogłębianiu istniejących więzi między narodami socjalistycznej Polski i Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

XXIV sesja Komisji Historyków PRL i NRD była z całą pewnością udana. Zaowocuje ona w przyszłości, w rozwoju nauki historycznej obu krajów.

ANDRZEJ F. GRABSKI



Bywa tak czasem, że czyn zwycięski staje się z wolna przyczyną klęski.

Dawniej, gdy Bury wszedł w próg mieszkania, wciąż tylko słyszał: pójdziesz stąd, pójdziesz! Każdy go ciągle tylko przeganiał, miejscem psa — mówił — jest miejsce w budzie! Lecz od tej chwili, gdy uratował tonące dziecko, nikt złego słowa na psa nie pisał. Teraz — inaczej: nie pies lecz człowiek koło psa skacze. Jak manna z nieba tak ludzka łaska spływa na niego: ten by go drapał ciągle za uchem, ten by go głaskał, gładził po karku, po czole, chrapach; doktor Burego na spacer bierze, ksiądz na kanapie pozwala leżeć, radea do baru wziął go „Pod śliwką”, przymilał doń się, łapy mu ścisnął, wreszcie gdy wypił już trzecie piwko, rzekł do Burego: „Stary, daj pyska!”.

Bury jał wietrzyć niebezpieczeństwo i gdy pewnego dnia dama jakaś mówiła o nim „słodkie maleństwo”, o mało z domu nie dał drapak. Bo to „maleństwo” wcale nie było już takłe male. Rosło aż młilo: grzbiet mu sierść gesta porastała jela. Układał jakoś się kudł nieład, kark mu pogrubiał, łeb się wydłużał, i pieska się z wolna robił pies duży.

Zaczeli mówić: pies obrósł w sadło. O, bo też Bury miał teraz jadło! Każdy pod mordkę mu coś podtyka, to smaczna chrzastka, to krem z torcika, migdałek z babki, orzech z ciasteczka, słodkie bakalie, słodkie słoweczka. I — mając wszelka słodycz na co dzień zaczął w niej tonąć, jak mucha w miodzie.

Aż — w poobiedniej drzemce raz poczuł, że ma — roździnki dwa zamiast oczu, dotyka nosa, a nos cukrowy, babke ma z kremu na miejscu głowy i cała sierść jest polukrowana, a wszystkie nogi są z marcepana, kości z piernika mu się zrobiły, miast krwi — syropu są pełne żyły. Szczekał ze strachu i — przerażony ocknął się ze snu. Ach, więc to tylko sen go okropny meczył przed chwilą, lecz — czy naprawdę psu się zdawało, że poczuł w mięśniach słodką omdalność?

Przeciąga pies się, próbuje mięśni, nie, to się jednak mu wcale nie śni: mięśnie są z mięsa, nie z galarety, lecz czy jak przedtem przeżne? Niestety. Spojrzał na łapy: mocne pazury lecz jakieś tepe, niezmy u kury.

Podniósł łeb, nagle — westchnął głęboko, przetarł łapami zaspane oko, patrzy: śpia — lekarz, radea, ich żony i pies ma drzemać — rozleniwiony? Tak go te ludzkie łaski ospiły, że miałby stracić swoje psie siły?

I właśnie wtedy przez drzwi szerokie wpadł do salonu powiew z głębokiej puszczy biegnący, z leśnych rozlogów; przyniósł żywicy wonie i głogu, zapach ostępów i mateczników, a z nimi — jakby — wołanie wilków.

Zadrżał pies, stanął i krew mu w żyłach zapulsowała, w skroniach zabiła, poczuł tęsknotę za czymś nieznanym, obcym i groźnym, i nie nazwanym.

Wyciągnął w górę pysk, słucha, czeka — I — znów zew puszczy nadbiegł z daleka.

Na nie niepomyślnie skończył przez okno i jak szalony przed siebie pomknął



przez płot, przez rów,
przez dół i znów
i hop, i hop
wypreżył grzbiet
i biegł i biegł —

Padął, wstawał, łamał nogi,
biegł przez krzewy, ciernie, głogi,
kolce darły mu nos, skórę,
wydzierały kudły bure.
Biegł to prosto, to zakosem,
wpadał w nory, ryl piach nosem,
biegł zmęczony, zmordowany,
zagańnikiem, lasem, borem,
jak pijany, jak pijany,
z wywieszonym biegiem jezorem —

Zakrwawiły mu się łapy,
zadymity wzdete chrapy,
piana mu kapła z pyska,



że — zanim umknął — zamarł na chwilę.
A konie nagle stanęły deba
i rwąc wędzidla w swych końskich zębach
popędziły jak szalone.

Grzywy mają rozwichrzone,
tłuka wozem po zakretach
jakby gwałt im kasał zady
albo szatan je opętał.

W przerażeniu pan leśniczy
koniom dać nie może rady
krzyczy, przeraźliwie krzyczy:
siwy, gniady, stójże, stój!
Ratuj mnie, patronie mój!
Patrzeć tylko kiedy powóz
gruchnie razem z nim do rowu.
Krzyk rozpaczliwy zatargał lasem
a pies tymczasem —

biegiem
prze już naprzód lasu brzegiem
ile sił mu w pierśi starczy,
aż powletrze w uszach warczy:
dogać, dogać wóz szalony,
dopaść, wstrzymać z tamtej strony!

Ziemia koniom spod nóg bryzga,
platy plany leca z pyska,
a pies gna, a pies gna,
już jest blisko, już je ma!

Niedaleko dom i ludzie
jakby głośno się modlili
bo krzyżeli coś o cudzie.
Jeszcze chwila, nie, pół chwili
do parowu wóz się stoczy,
jeszcze chwila, chwili pół,
runię zaprzęg z końmi w dół.

Już, już wisiał koń nad zboczem,
kiedy z lasu pies wyskoczył,
z lewa koniom drogę zabiegł,
pod kopyta wdarł się prawie,
w bok kopniety, zaczął broczyć,
odpadł w tył lecz znów przeskoczył.

Tak się czepiał koni, łmał
aż nareszcie je zatrzymał.
Teraz sobie, siwy, szalej
ale — ani kroku dalej!
Prześlą, gniady, deba stawać,
no, no, siwy,
ze mną sprawa,
ze mną mocnym psem, prawdziwym!

Prychał, warczał, szczekał jeszcze
aż łeb spuścił gniady, siwy,
aż naczelnik wysiadł wreszcie
połuczony ale żywy.

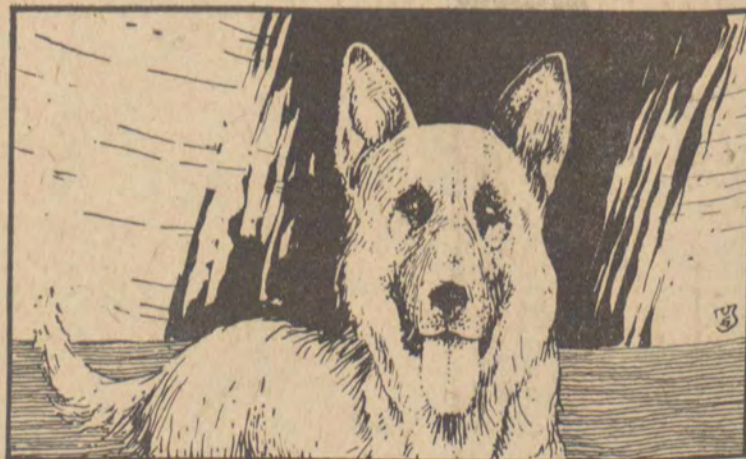
Usiadł pies. Poczuł jak się za końmi
strasliwie zgonił,
jak bardzo rana boli go w łapie,
jak mu krew z boku na ziemię kapie.
Stanął, opuścił ogon, łeb, uszy
chciał iść lecz nie mógł się nawet ruszyć.
A tu nadbiega już pan leśniczy
i woła: ludzie, coś to za wyczyn!
choź tu, Bureczku, bierz ze spżarni
na co cię tylko chetka ogarnie.
Fladry i combry, udźce baranie
co tylko zechcesz, zaraz dostaniesz.

Odrócił pies łeb. Nie te zaszczyty
dla niego teraz. Tych jest już syty.
Za ten ratunek, za rany, pościg
nie pragnie ludzkiej już łaskawości.

Milezał, gdy lekarz mu bandażował
rany na grzbiecie, patrzac w podziwio,
jak Bury wszystko znosi bez słowa.
I — tym milczeniem doktor — psa ujął.
Bury zrozumiał już, że — właściwie
lepiej niech za to, czego dokona
nie głaszczą go tak. Niech go szanują!

Na tym pieśń piata o psie — skończona.

(fragment opowieści dla dzieci „Niezwykłe przygody Burego”)



PIEŚŃ O NIEZWYKŁYCH PRZYGODACH BUREGO

WANDA KARCZEWSKA

a on biegł i biegł
aż się zaszył w legowiska
nieostępne — i tam leżł.

Gdy odpoczął, oddech schwycił,
gdy się cisza już nasycił,
rozognione chłodził chrapy,
skaleczone lizał łapy
I — czuł teraz się szczęśliwym,
zdrowym, mocnym psem prawdziwym.

Sprężył mięśnie; twarde były!
Poczuł w sobie tyle siły,
tyle mocy odrodzonej,
że rozearzał się na strony:
z kim by mógł spróbować mięśni,
z jakim drapieżnikiem leśnym?
Sprostajby dziś lisom, wilkom,
lecz tu cisza, cisza, tylko
kuna chyłkiem się przemyka,
a gdy podnieść oczy w górę,
rude kity mkną wiewiórek.
Nie ma, nie ma przeciwnika!

A tu siła w psie się klebi,
drża pragnieniem walki zęby.
Porwał się na nogi Bury,
skowyt z gardła rzucił w chmury:
Uuuuuu! Uuuuuu!
Ale wycia nikt nie słyszał,
wszędzie cisza, leśna cisza.

I wtedy walki spragniony Bury
siadł w środku puszczy z psikiem do góry
i dobył z siebie pieśń psiej tęsknoty.
Wyl długo, śpiewał przedziwnie o tym,
jak by wedrować chciał w świat daleki,
w odmiennie kraje, nad obce rzeki,
w tundry śnieżyste, dżungle bezbrzeżne,
ścigać zwierzęta, ptaki drapieżne,
wieść znojne życie, inne niż teraz,
psa — myśliwego, łowcy, trapera —

Znów broczy w sercu psim stara rana,
do straconego pies tęskni pana,
w jego by patrzeć chciał teraz oczy,
przy jego nodze w napieciu kroczyć,
iść, weszac czujnie, zwierzyzny tropem,
znaleźć odciski jeleniej stopy,
czatować w puszczy, przecznać po bagnach,
o, tego teraz, tego pies pragnął.

Długo wyl Bury tęsknota głośna,
aż nią zaszumił dąb, co tuż rosnał,
aż się nią sosny rozkołebały
i bór się pieśnią rozpiewał cały.
Wstuchał się Bury w echo swej pieśni,
a ona biegła w rozlogach leśnych,
w ciemnych parowach gubila dźwięki,
cichła, stając po trawach miękkich,
drzew się czepiała na pół osłabia,
aż zatoneła hen, na mokradlach.

Wstał wtedy Bury, postawił uszy,
w drogę powrotną do domu ruszył.
Biegł dosyć długo. Naraz w pustkowiu
echo końskiego klaskania zловіł.
Skreślił, do drogi dotarł szerokiej,
która, rzucona przez bór głęboki,
łączyła miasto z brzegiem jeziora.
Była już widać dość późna pora,
o niej, jak zwykle z miasteczka wracał
jak nie leśniczy sam to pan radea.
Konie widocznie czymś przestraszone
rwa się to w jedna, to w druga stronę.
Gryzie wędzidło siwy i gniady,
leśnik próbuje batem dać rady.
Targnęły konie, ruszyły stępa
aż tu rosnąca przy trakcie kepa
zadręgała naraz i jeleni rosły
znieścacka ruchem nagłym i ostrym
skończył przed zaprzęg i tylko tyle

Kiedy jechałem pośród lasu, mijając przydrożne planieże, które sławiły 550-lecie miasta Głowna, przypomniała mi się scena z książki de Saint-Exupéry'ego, kiedy to Mały Książę rozmawia z uwięzionym na pustyni lotnikiem. Władca asteroidy B 612 mówi, że ludzie na ziemi hodują w ogrodach po kilka tysięcy róż, nie znajdując wśród nich tego, czego szukali naprawdę. Lotnik potwierdza, że właśnie tak jest najczęściej. A przecież, podejmując najwiecej Mały Książę, to czego szukamy zawiera się w jednej tylko róży albo nawet w małej kropki wody? Lotnik znowu potwierdza. Wówczas Książę konkluduje: „Czy są ślepe. Trzeba szukać sercem”.

Jakże niedoskonałe jest reporterskie credo: widzę i opisuję. Ale oto urywa się droga i las ustępuje miejsca parkowi, w którym chodzą spalone pawie. W przeswicie drzew widać pałaców o krzyżujących jaskrawych barwach, chybach letnisk. Nieprzypadkowo chyba fabrykant Ramisch obrwał Głowno na swoją wakacyjną rezydencję. Było to w roku 1912, o czym uświadamiają wyrażone cyfrą na frontonie willi. Sikromny wysiłek prawie żadnych ornamentów, jak przystało na wyznawcę wiary Lutra. Tylko jeden wyjątek: przeraźliwie biała, gipsowa główka dziecka zdobiona główne wejście. Już nie symbol, ale jednoznaczne potwierdzenie tego, czym ta pofabrykantska rezydencja stała się z wyroku historii.

Bo chociaż park leży na uboczu miasta, zrosił się nierozważnie w wojennym losami Głowna. To miasteczko położone na granicy Generalnego Gubernatorstwa i włączonych przez okupanta do Rzeszy ziem dawnego województwa łódzkiego stanowiło po Powstaniu Warszawskim ważny punkt tranzytowy dla uciekinierów ze stolicy. Przybywali i całymi rodzinami, albo poszukując rodziny. Był to szlak bezdomnych i sierot, krzyżowa droga rozbitek, którzy już nigdy nie mieli połączyć się z najbliższymi. Rzuconych na pastwę losu dzieci przybywało, lokowano je spiesznie w obcych ludzi, a kiedy ta pomoc okazała się niedostateczna, zakonnice powoływały do życia sierotki.

Gdy przez Głowno przetoczył się front i w mieście organizowała się nowa władza, o dzieciach jakby zapomniano. Do pałacyku Ramischa wprowadziło się nadlesnictwo. Ale krótko cieszyło się drewnianymi boazeriami, kominkami i ozdobnymi piecami z berlińskich kafli. Pewnej nocy do willi włamały się dzieci z sierotnicy, którym towarzyszyły broń w lomy zakonnice. Świętobliwie niewiasty dobrze odczytały intencje ludowej władzy, że w sporze o przyszłość dla bezdomnych przegrane okaże się nadlesnictwo. Sierot nikt nie odważył się usunąć, zostały na zawsze w zdobycznej willi, która dziś nosi nazwę Państwowy Dom Dziecka.

Tamte wojenne dzieci opuściły już dawno pałacowe mury. Można je spotkać w Łodzi, Wrocławiu, Krakowie. Pierwszych wychowanków pamięta jeszcze jedna Władysława Klimaszewska, która pracuje trzdziela lat jako inwententka. Nawet wychowawca Marian Urban, choć postarzał się w tych murach, nie spamiętałby wszystkich, którym Dom Dziecka musiał zastąpić rodzinę. Trudna praca, przez te roztępienie, kiedy wychowankowie dorastają, a jak tu się nie przyzwiać do dzieci. Kto wsiadnie w te prace już nie potrafi się z niej wyzwoić. Pani Feliksa Gibala, choć ma sześćdziesiąt dziewięć lat, dopiero w tym roku przeszła na emeryturę. Wstawała o czwartej rano i do dziesiątej wieczorem była na nogach nie pytając o zapłatę, bo nie potrafi żyć poza murami Doma.

Trudno o jednoznaczną odpowiedź. Trudno, głównie dlatego, że w osiemdziesięciu procentach przypadków, chodzi o rodziców pozbawionych władzy rodzicielskiej na mocy orzeczenia sądu. To mówi samo za siebie. W kancelarii Doma stoją w równym rzędzie oprawne w płótno tecki o różnokolorowych grzbiętach. Każda barwa symbolizuje grupę wiekową. Wystarczy otworzyć jedną z nich, aby zrozumieć niemal wszystko. To najbliżsi zgotowali najbliższym ten los. Uprzyłżniamy się natchmiast krzycząca czystość moralna prostytutki Fantyny z „Nędzników”, która sprzedała swe włosy, a potem zęby, aby zapewnić opiekę opuszczonej córeczce. Gdyby ktoś chciał w tych papierach szukać podobnych dramatów, srodze się zawiedzie. Są tu sprawy niepedagogiczne, banalne, płaskie, z których rodzi się sierotwo społeczne.

Słowo „matka” stanowi tabu. Nietakowne pytanie o rodziców, zrazu wywołuje u dzieci niepokój, a potem uśmiech maskowanej wyższości. Starając się przechytrzyć wścibskość rozmówcy.

- Normanie. Pracują — pada jednoznaczną odpowiedź.
- Obrabowy ten sposób obrony dziecko śmiało podają złośliwi fantazy. Już nie trzeba go ciągnąć za język. Teraz zdania spłyła się szybko. Rodzice są bardzo fajni, tylko ogromnie zapracowani. Nie miał kto rotować obiady i do szkoły było daleko. No a tu jest opieka, są koleżki. W pilkie można grać, jeździć się na rowerze. Jest park, trzy hektary.
- Listy pisujecie?
- Wczoraj wysłałem!
- Nie, nie wolno pisać, czy dostaje czasem wiadomości z domu. Więc tylko, przejmując narzuconą konwencję:
- Swoich odwiedzają?
- No pewnie.

Nie wypada dociekać prawdy, która jest bardziej bolesna. Raz w roku, przed Świętem Dziecka, odnosi się z kancelarii na pocztę listy do wszystkich rodziców wychowanków. Stalo się już tradycją głowieńskiego Domu zaprosić się do odwiedzenia swych dzieci. Przyjeżdżają tylko nieliczni, choć dużo przysła potwierdzenia. Dla większości dzieci dzień ich święta jest najsmutniejszym dnem w roku. Mity rojmutują się w proch w tej godzinie nieskomplikowanej próby. Dzieci snują się smutno po parku podchodząc do bramy, za którą nie ma nikogo. Jutro znajda uspra-

wiedliwienie dla swych najbliższych możnolnie budując od nowa legendę.

- Rodzice odwiedzają cię?
- No jasne.

Dyrektor Mieczysław Wołodzki, kiedy jako repatriant znalazł się w stołecznym wówczas Lublinie, zgłosił się do Komitetu Opieki Społecznej. Zamiast zapomogi otrzymał propozycję pracy, bo miał przypięty do kłapy Harcerski Krzyż, który miał swoją cenę.

— Druh nam spada z nieba! — nie dano mu dojść do słowa.

Za godzinę znalazł się na placówce, która nie cieszyła się najlepszą opinią w okolicy. Zajmowali ją „beprzizorni”, dzieci wojny. Niektórzy wychowankowie byli starsi od świeżo upieczonego kierownika, ale dogadali się. Dom

KONRAD FREIDLICH

POEMAT NIEPEDAGOGICZNY

zmienił wygląd i atmosferę, poprawiła się też o nim opinia.

Owszem, ma wychowanków z tamtego okresu, na wysokich często stanowiskach. Nazwiska może nie nie powiadają, ale taki inżynier Antoni Marian-ski, który odbudowywał Nysę, jest dziś szefem inwestycji województwa opolskiego. Wielu innych mieszka w Szwed-niku. W okresie Świąt Listonosz przynosi ponad sto kart z pozdrowieniami.

Taka biografia prowokuje do porównań, zawiera się w niej bowiem doświadczenie kilku generacji wychowanków. Tamtych, z najwcześniejszych roczników, pozabawia rodzina wojna. Grochowa z chlebem uchodziła za przysmak. Ale w nocy trzeba było zabierać latarki, bo chłopcy czytali pod koldrą, już po zgaszeniu światła. Dziś jedzenie jest lepsze, ser czy wędlina wędrują do zlewu, bo jest ich do dostatkim. Dom zakupił pięć telewizorów, aby dzieci mogły oglądać w pidzamacz program, nie opuszczając swych sypialni, lecz sierotwo społeczne jest dokuźliwsze od rzeczywistego. Krzywdą od swoich jest dotkliwsza niż krzywdą doznana od ślepego losu.

Jest takie zdanie Rilkego, które zmusza do refleksji: „Nie sądzicie, że los człowieka jest czymś więcej niż tym, co streszcilo się w jego dzieciństwie”. Wychodzę do foyer. Pojedynczo i grupami dzieci wracają ze szkoły, znikają w drzwiach świetlicy sąsiadującej z jadalnią, gdzie posród stołków stoją zielone, dobrze utrzymane palmy. Ten ledwie dostrzegalny przepych, dyskretnie podkreślony przez przyćmione światło, ma wynagrodzić sierotom całą resztę, choć trudno tu o wyrównanie rachunków. Im trudno nawet o zapamiętanie, chociaż chodzą do normalnej szkoły w mieście z dziećmi posiadającymi rodziców. Najmłodszy uczęszcza do przedszkola, bo wśród dzieci jest ogromna rozpiętość wieku, od 3 do 18 lat. Starsze dzieci uczęszcza do szkoły, której dyrektorka Zofia Potakowska zyskała sobie opinię wielkiego przyjaciela Domu Dziecka.

Dzieci nie chodzą tu w mundurkach. Dąży się tu do tego, aby same ubierały się tak jak zechca. Zakład może przeznaczyć na ich ubranie 8 tysięcy złotych rocznie i wychowankowie sami wybierają stroje, według swego gustu. Na ogół nie ma ekstrawagancji, ale też nie zauważa się uniformizmu. Na ulicy te dzieci nie różnią się wyglądem od swych rówieśników, często są nawet bardziej zadbane. Ale ich śmiech jest jakiś inny, bardziej zgaszony. Większość trafiła tutaj przez łódzkie Pogotowie Opiekuńcze, gdzie niejednego doświadczyły i nie na jedno napa-

starsze dzieci opiekują się młodszymi, nikt ich do tego nie zmusza, powoduje nimi potrzeba serca. Dzieciwczynki a nawet chłopcy ochotniczo biorą dyżur w przedszkolu. Niektórzy mają stałe dzieci podopieczne. Grażyna Warzywoda stara się zastąpić maluchom starszą siostrę. Ta więź rozciąga się niekiedy na całe życie.

Wielkim autorytetem cieszy się Wojciech Famulski. Jeden z tych, którzy się usamodzielnili. Mieszka w Piotrkowie, pracuje jako ślusarz, ale często powraca do Głowna, gdzie spędził dzieciństwo i zastępuje na dyżurze wychowawców. Kiedy dowiedział się, że Dom ma kłopoty z nabyciem anteny do telewizora, sam ją wykonał i zainstalował przy kolejnej wizycie. Jego brat, który także wychował się w tym Domu, ma wyższe studia ekonomiczne, Mgr Andrzej Famulski ukończył handel zagraniczny. Najmłodszy z braci, Bazyl, studiuje na pierwszym roku Politechniki Łódzkiej.

Malcy patrzy na te przykłady. Te dzieci czesząc od swych rówieśników z normalnych rodzin zastanawiają się nad przyszłością. Najchętniej połączyłyby się ze swymi najbliższymi, ale dla większości okazać się to niemożliwe. W momencie ukończenia szkoły podstawowej dzieci zaczyna ogarniać niepokój, ich sytuacja stale się złoźona podwójnie. Na ogół opuszczają Dom przenosząc się do internatów poza Głownem, część dzieci uczęszcza do Technikum Ekonomicznego w Zgierzcu, ale Dom Dziecka nie przestaje być ich jedynym domem, chociaż przejeżdżają tu tylko na ferie i już nie mają swoich stałych miejsc w szafach i sypialniach. Ścisnie się wtedy maluchów, żeby wygo-

spodarować miejsca na noclegi, bo to wcale nie jest tak łatwo znaleźć dodatkowo dwardzięcia pięć łózek, chociaż zakład zwiększył swój stan posiadania.

Kiedyś wszystko słożone było w willi po Ramischu, która nosi nazwę „Jutrzenka”. Ta poranna gwiazda, która kojarzy się z nadzieją, nieprzypadkowo chyba znalazła się na sztydzie Domu Dziecka. W „Jutrzence” znajdują się teraz pokoje administracji, kuchnia, sale do zajęć, ambulatorium. Sypialnie mieszczą się w oddzielnym pawilonie o nazwie „Zacisze”. Wszędzie wzorowa czystość, chociaż Dom zatrudnia tylko jedną etatową sprzątaczkę, zresztą dział kadru uskarża się na wieczny niedobór pracowników obsługi. Rozbudowujący się w Głownie przemysł zatrudni natychmiast każdego, kto się zgłosi, więc finansowany przez resort oświaty Dom Dziecka, stoi z góry na przegranej po-

zyci. Zresztą tutaj nawet sprzątaczką musi być po trosze wychowawczynią, a to nie każdy potrafi.

Znaleziono rozwiązanie najlepsze z możliwych, które podsunął samorząd wychowanków. Kojarzy ono inicjatywę dzieci z mądrą zasadą wychowania przez pracę. Nieraz zresztą dawają one przykłady, że potrafią sobie radzić. Taka grupa kwaternistrzowska, która co roku w końcu maja wyjeżdża nad morze, żeby przygotować obozowisko dla stu dzieci, praktycznie bez pomocy dorosłych.

Wołodzki śmieje się: — Kiedy chcą zmieniają się w wółki robobce. Dźwigają namoty jak muły, aż mi ich żal, ale praca stale się przedmiotem ich ambicji. Nie można ich odpuścić od roboty. A tu bywa różnie. Różnie, ale w sumie chyba nieźle, o czym świadczy wygląd sypialni. Dzieci mieszają w nich po troje, czworo, wszędzie nakryte czystymi obrusami stoły, równo ułożone książki, aż się prosi o trochę balaganu. Wychowawcy skarżą się, że najmłodszy nie chce bawić się na wspólnej sali specjalnie przeznaczonej do tego celu, choć szafy uginają się od zabawek. W sypialniach maluchów odkrywam prawdziwą przyzwoć. Koło każdego łóżka ulubiony misiek, lalka, pluszowy piesek. Dobór tych cacek wskazuje na potrzebę ciepła. Żeby było do kogo przytulić się, gdy zapada ciemność, zwierzyć się ze swych dziecięcych marzeń. Takie ciepło może dać tylko rodzinny dom, bliskość ojca i matki. Te ufnie pokładane zabawki najbardziej oskarżają rodziców, którzy zapomnieli o swoich dzieciach.

Wychowankowie są od najwcześniejszych lat zahartowani na przeciwności losu, a jednocześnie miękka jak wosk na pierwszy oddech dobroci. Najtrudniej jest nowo przybyłym, którzy tu trafili wprost z Zakładu Opiekunczego. Ci są nieufni, często nawet agresywni. Ale kiedy włącza się do pracy, chcą udowodnić, że są coś warte. To nie slogan, że tutaj wszystkie dzieci traktują siebie jak jedną, wielką rodzinę. Zresztą inaczej nie mogłyby tu żyć. Wzajemna sympatia pozwala przeżyć samotność.

Ale ten Dom nie jest wieczny. W zasadzie można tu mieszkać do szesnastego roku życia, potem zaczyna się powolny wyjazd do internatów, aż do całkowitego usamodzielnienia. Dom może roztoczyć opiekę nad wychowankiem poza limit wieku dojrzałego i często się to robi. Ze względu na studia czy na ukw w szkole. Albo też dlatego, że za murami Doma nikt nie czeka. Kiedy przychodzi pora pożegnania się z „Jutrzenką” i „Zaciszem” odchodzą stad zaprzyjaźnione grupy, które utrzymują ze sobą kontakt także w dorosłym, już samodzielnym życiu.

Zupełnym sierotom funduje się mieszkanie. Spółdzielnia im. Władę Bytomskiej, która od lat współpracuje z Domem Dziecka, finansuje kilka wkładów mieszkaniowych, ale do akceli nazywanej potocznie „Konto naszych serc” włączają się samorzutnie także inne zakłady. Dwoje dzieci dostało ostatnio mieszkanie w Warszawie. Inni wychowankowie muszą sami dochodzić swych praw, u nie widzieliwch przez lata rodziców, tym jest znacznie trudniej, chociaż Dom Dziecka stara się uczyć zaradności życiowej.

Tym celom podporządkowany jest cały system wychowawczy, który sprawdza się w opiekuńczych murach „Jutrzenki”, ale jak będzie tam, na zewnątrz, poza nolaconym przywiązania kolektywami? Nikt, łącznie z samymi zainteresowanymi, nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie. Są nad wiek dojrzałi, bo takimi ukształtowali ich życiowe konieczności.

Spśród wychowanków wyróżniają się chłopcy ochotniczo pracujący w kółtowni. Ścisłej w trzech kółtowniach, o każdy budynek ma własny system orzwezczy. Radza sobie doskonale jak najprawdziwsi palacze, nikt nie narzeka na zmięno. Za swoją pracę otrzymują raz w roku dodatkowo gnatniru. Ci palacze słyną z elegancji.

Od piętnastu lat bramy Domu Dziecka nie przekroczył Malarek. Chłopcy są zdania, że nie warto wydawać pieniędzy, sami mogą odświeżyć pomieszczenia. Przy takiej praktyce doszli do

fenomenalnych umiejętności, choć kieruje nimi sam Wołodzki przebrany w robobczy kitel. O Wołodzkiem mówią na mieście, że odbiera chleb malarzom. Dyrektor wie o tym, ale tylko się śmieje.

Mówią o nim także, że bez reszty poświęcił się dzieciom. W końcu to jeszcze całkiem przystojny mężczyzna, a uparcie trwa w swoim starokawalerstwie. Kiedy założy mundur harcerski, bo społecznie wciąż pracuje w harcerstwie, niejedna nie może oderwać od niego oczu. Ale on nie dostrzega tych spojrzeń. Wszyscy wychowankowie Domu Dziecka należą do harcerstwa, albo do drużyny zachowcy.

Rozmawiam z nimi w tej sztywnej świetlicy, która była niegdyś teatrykanckim saloniokiem. Piannno, klubowe fotole. Na ścianach obrazy przedstawiające głowieńskie pejzaże peżaża miejscowej malarki-amatorki, która hojnie odarowała mił zakladi.

Z początku rozmowa nie klei nam się, są stremowani obecnością dziennikarza. — I to wszystko podane będzie na gazety?

— Może — odpowiadam robiąc tajemniczą minę.

Śmieją się. Kiedyś mieli podobne spotkanie, ale to był pisarz, który pisał powłkowe książki.

— Chyba wojenne — poprawia któregoś z dzieci.

Znowu śmiech. Opowiadają o swoich lekturach, o zespołie mandolinistów, o teatryku kukielkowym. Ważne przepłata się z mniej ważnym. Czy zakwalifikujemy się do tytułów mistrzostw świata w pilce nożnej w Argentynie?

Na pierwszy rzut oka można rozpoznać dzieci zaszklone, znające na wylot Dom i jego sprawy, i te, które przybyły tu niedawno, mają staż kilku-miesięczny. O swobodzie zachowania i obyciu decyduje tutaj nie wiek, ale staż właśnie, dwuletni, trzyletni. Czy będą tu przebywać do końca, aż do osiągnięcia dojrzałości? O to pytać nie można. Wołodzki pyta o korespondencje z kolegami za granicą. Okazuje się, że wzięli adresy z gazet, ale z tą wymianą listów niezbyt tego. Przeszkadza bariera języka.

Jutro piątek. Dzień generalnych porządków, wszyscy włączają się do pracy, już nie tylko dyżurni. W piątek nie przepuszczają się najmniejszej fuszerki, wszystkie pawilony spływają mydłem i środkami czyszczącymi. O tych porządkowych piątkach także krąży po mieście legendy.

Bo chociaż Dom Dziecka położony jest w dzielnicy Zabrzeżnia, daleko od centrum, które wyznacza sztuczny zalew z tarasowymi brzegami, zakładem interesują się tu wszyscy. Głowieńscy nie zapomnieli ciężkich dni okupacji, kiedy ratowali sieroty z Powstania i darzą nowych lokatorów Domu autentyczną sympatią. Jeden z dyrektorów Zakładów Motoryzacyjnych, który „habyl” w pobliżu leśna dzialka, gdzie wybudował weekendowy domek, zdziwił się, że dzieci prawie nie słychać, choć z początku obawiał się kłopotliwego sąsiedztwa. Ale inżynier niedługo mieszka w Głownie i nie znał tradycji tego Doma.

Kiedy się myśli o zakładzie dla sierot, mimo woli przychodzi na myśl metody wychowawcze Makarańskiego popularyzowane przez jego „Poemat pedagogiczny”. Dyrektor Wołodzki z miejsca wprowadził mnie z błędu:

— To były inne czasy, inne warunki.

Ma chyba rację, choć nie zdewaluowało się przecież pojęcie kolektywu czy zwykłej ludzkiej przyjaźni. Potwierdza to organizowany raz w roku specjalny dzień „Mój najlepszy kolega”. Okazuje się, że odwiedza wtedy Dom wiele dzieci z Głowna, tych ze zwykłych rodzin. Dzieci mogą się wzajemnie zapraszać i odwiedzają się wzajemnie, ale w tym jednym dniu zaproszenie jest specjalnym wyróżnieniem i wszyscy o tym wiedzą.

Przyglądam się Wołodzkiemu, coś go wyraźnie dreczy. Jest popołudniowa godzina zachęcająca do zwierzeń. Przeglądamy wspólnie prowadzoną od trzydziestu lat „Kronikę Domu Dziecka”, pełną zdjęć, odręcznych rysunków, zapisków z podziękowaniami. Długich szesnastie lat w tej kronice związanej jest z działalnością Wołodzkiego.

— Widzi pan — ożywia się dyrektor — chciałbym doprowadzić tę placówkę do takiego stanu, żeby ktoś mógł po mnie tylko spartaczyć, ale nie poprawić.

Nie odzywam się, bo wiem, że jeśli coś teraz powiem, Wołodzki zamknie się w sobie i znacznie opowiadać o pawiach, albo o fontannie, która od kilku lat tryska w parku przypominając o upływie czasu. Bieży czas młoczymi obaj, szleszczą tylko kartki w albumie, których już nie czytamy, mechanicznie przerzucając stronic.

— W domu przejechała na emeryturę — odzywa się z zamyśleniem Wołodzki — Będzie musiał wyjechać z Głowna.

— Przecież to panu długo jeszcze nie grozi — rzuciłem swobodnym tonem, że by rozładować napięcie.

— Bo nie umiałbym patrzeć na Dom, w którym już nie będę pracował. Wtedy trzeba być daleko, najdalej — zakończył dyrektor.

Zaczęłam się żegnać i wyszedłem z „Jutrzenki” odprowadzany ciekawymi spojrzzeniami dzieci.

— Już pan wyjeżdża?

Przybliżył zdyszany kierowca, który na placuży za palacem kopał z wychowankami piłkę i dostał od nich porządnie w kosć. Ale wyglądał na zadowolonego, — A niech pan nie zapomni o tej głipszej główce dziecka na froncie — rozległ się głos Wołodzkiego.

Skinalem głową. Odjechalismy szybko, jakbyśmy uciekali.

— Wygrał pan chociaż? — przerwałem milczenie kierowcy.

— Przegrałem — powiedział bez żalu. — Przyjemne dzieciaki. Ale wie pan co? Ja myślę o rodzicach. Ze że na takich nie ma kary.

— Ma pan dzieci? — zapytałem.

— Skład, jestem kawalerem.

I zaklął. Zrozumiałem go. Wyjechałsmo na międzynarodową szosę mijając ostatnią planszą sławiającą 550-lecie miasta Głowna.

Z HAMBURGA DO OSOWEJ SIENI

Dalszy ciąg ze str. 1

gami, jest dziś w użyciu 58 kombajnów zbożowych, 50 rodzin zatrudnionych w tym kombinacie rolnym zajmujące własne domki jednorodzinne. Dalsze tego rodzaju domki znajdują się w budowie. Roczne obroty gospodarstwa przewyższają 150 milionów złotych. Zysk sięga 50 milionów”.

Leonie Ossowski opisuje następnie swe samotne i pełne zadumy wędrowki po włosce, w której przyszła na świat w 1925 r. Niektórzy z mieszkańców Osowej Sieni poznawali ją. Patrz tylko, to jest „ta Jolanthe von Schloss”. I nie więcej, żadnej ciekawości nawet. Zupełna obojętność. Wreszcie Leonie Ossowski, nie mogąc się opędzić jakże naturalnym wspomnieniom dzieciństwa, trafiła do zamku swych rodziców. To wielka pańska rezydencja o kilkupiętrowej neoklasycystycznej wieżycy. Pozostałość czasów, kiedy cała ta okolica leżała poniekąd u stóp rodziny Ossowskich.

Literatka z RFN pisze:

„Za moich czasów parter tego zamku był używany wyłącznie do celów reprezentacyjnych. Życie gościło tu jedynie podczas polowań, przyjęć i rodzinnych uroczystości. Sypialnie i pokoje dziecięce mieściły się w górnych piętrach. W tym zamku, gdzie niegdyś 6-osobowa rodzina zajmowała 30 pokoi, spotyka się dziś codziennie wieczorem od 80 do 100 młodych ludzi. Ten dom objęła młodzież w posiadanie. Tu spędza wolne chwile. W ten miłośni się sala taneczna, biblioteka wiejska, pokój muzyczny, laboratorium fotograficzne, salon telewizyjny i kawiarnia. Czynne tu jest również ambulatorium lekarskie i gabinet dentystyczny”.

W tym momencie Leonie Ossowski w pewnej mierze upokorzona przyznaje, że była bliska zamknięcia. Świadomość, że otacza ją coś nowego, co zrodziło się dopiero po wojnie, była chyba dla niej nieznośna. Ciążyła. Przyprawiała o ból głowy. Zbierało się jej na plac. Trudno, myślała, nie tu po mnie. Już miała ruszyć z powrotem do domu, do Bundesrepublik, gdy przypomniała sobie, że kielszek dobrej wódki wcale by nie zaszkodził. Kiedyś w Osowej Sieni były czynne 4 karczmy. Dziś nie ma ani jednej. Zostały pozamykane. Ale na miejscu znajdował się sklep GS zaopatrzony bogato we wszystkie możliwe spirytuali. Na widok Leonie kierownik mrugnął okiem i powiedział po niemiecku:

— No, jetzt werden sie einen Wodka bekommen.

Rzeczywiście, nalał pełną szklankę i postawił na ladzie.

— Tu nie wolno pić — wyjaśnił — ale dla pani zrobię wyjątek.

Leonie Ossowski wspomina:

„Wypitał z ochotą, ale zapłacił mi nie było wolno. To był poczęstunek w stylu polskiej gościnności. Muszę przyznać, że od tej chwili zacząłem spotykać we wsi więcej przyjaznych twarzy. Mieszkańcy Osowej Sieni już wiedzieli, po co tu przyjechałam, ja wiedziałam, czego się trzymać. Zaprzyjaźniłam się z proboszczem, młodszym małżeństwem nauczycielskim, poznałam wielu miejscowych robotników rolnych. Te pierwsze lody zostały przełamane. Nieufność zniknęła. Nikt mnie już nie pytał, czego tu chcę i czego szukam. Odczułam nawet coś w rodzaju serdeczności. Miejsca młodzież zaprosiła mnie na dyskusje do wiejskiego klubu, który mieścił się w zamku. Wydawało mi się, że będę wypytwana o rodzinę, zamek, o lata przeżywania i wojenne. Nic z tych rzeczy. Pytano mnie kogo z polskich poetów czyta się w Bundesrepublikie najchętniej, czy wiejskie kluby młodzieżowe są na Zachodzie lepiej urządzone, jakie sprawy najbardziej interesują obywateli RFN i czym niemiecka młodzież wypielnia wolny czas”.

Leonie Ossowski miała oczy otwarte. Co ujrzała, wyraźnie ją zaskoczyło, żeby nie powiedzieć zdumiało. Więc te wszystkie fakty pozostała bez komentarzy. Słusznie. Mówia za siebie. W ogóle uderza w jej reportażu dużymozmian zdaniem, bezstronność i spora doza obiektywizmu. Przyjechał ktoś do nas nie uprzedzony i opisał swe wrażenia. Uczynił to w zgodzie z prawdą i w zgodzie ze swym sumieniem. Co na pewno Leonie Ossowski łatwo nie przyszło, jeśli się zważy, że utraciła w Polsce milionowe dobra.

Teraz ten drugi reportaż, zamieszczony w hamburskim tygodniku „Die Zeit” pod tytułem „Nie oczekiwaliśmy Ziemi Obiecanej”. Jego autorem jest dziennikarz Gerhard Seebase. Autor opisuje los kilku rodzin

Dalszy ciąg na str. 6

Z HAMBURGA DO OSOWEJ SIENI

Dalszy ciąg ze str. 5

które z Polski wyjechały i przez obóz dla przesiedleńców we Friedlandzie trafiły do milionowego Hamburga. A raczej utknęły pod bramami tego ogromnego portu w osiedlu Bergedorf-West. Przebywa tu 87 rodzin. Wszystkie „ze Wschodu”, jak to określa autor reportażu. Hamburgski dziennikarz zauważa nie bez sarkazmu:

„To osiedle jest rodzajem getta. Tyle, że mieszka się tutaj tanio. Miesięczny czynsz za trzypokojowe mieszkanie wynosi w Bergedorf-West 175 marek. Takie samo mieszkanie w tych lepszych dzielnicach Hamburga kosztuje minimum 500-600 marek”.

Sechase relacjonuje rozmowy z rodziną Petrowitz spod Olsztyna, z Adamem Rosenbuschem, który swego czasu pracował na uniwersytecie we Wrocławiu, z Tadeuszem Szwakopem, który też był dawniej kimś. Pracował w Gdańsku jako konstruktor. Manfred Petrowitz po niekończących się staraniach uzyskał w końcu „posadę” stażowego w hamburskim klubie jeździeckim. Skarży się na samotność. Na izolację społeczną. Na trudności w nawiązaniu bliższych kontaktów z rodowitymi Hamburgczykami. Rosenbusch twierdzi, że właściwie nie oczekiwał na Zachodzie „Ziemi Obiecanej”. Wiedział, że będzie trudno, mimo wszystko chciałby jednak uchodzić za optymistycznego pesymistę. Jego pesymizm budzi biurokracja. Jest ona w Bundesrepublik bardziej rozkorzeniona i trudniejsza do zwalczania niż w Polsce. To Rosenbuscha ogromnie zaskakuje. Weale się tego nie spodziewał. Toteż rezerwuje sobie prawo do krytyki.

— Jaki podstawowy błąd popełniają w Hamburgu przesiedleńcy z Polski? — pyta w pewnej chwili dziennikarz.

— Jaki? — odpowiada Rosenbusch — Powiem panu jaki, wielu żył. Że jak tu przyjechał, to już musi złożyć i wymyślić na stosunki panujące po tamtej stronie. Wydaje im się, że w ten sposób zasłużą sobie na „Orden”. A potem ten zawód. Nikt ich nie słucha, reakcją na to ich społeczeństwo nie ma żadnej. Wtedy raptem ten i ów chce szybko wracać do Polski.

Hamburgski dziennikarz dodaje od siebie, że przesiedleńcy mają prawo do pożyczki w wysokości 10 000 marek. Ten kredyt jest oprocentowany nisko, 6 procent rocznie.

— Często się zdarza — pisze Sechase — że ci ludzie kupują przede wszystkim auto za tę pożyczkę. Jadą do Polski w odwiedziny, żeby tym samochodem znanym zaświetlić w oczach i pokazać jak to im się dobrze powiodło. Później przez długie lata nie mogą wyjść z długów”.

Konstruktor z Gdańska Tadeusz Szwakopf skapitulował. Poddał się przeciwnościom. Jest w Hamburgu bez pracy. Jest na zasiłku dla bezrobotnych. Czuję się niepotrzebny, a to boli najbardziej. Wciąż czeka na swoją „Chance”. Ma jednak pecha, zawsze coś mu staje na drodze.

„Z ust Szwakopfa — dodaje dziennikarz z Hamburga — nie usłyszy się „kein Wort der Verbitterung gegenüber dem Land, das man verliert”, żadnego słowa rozgoryczenia pod adresem kraju, który się opuściło.

„Die Zeit” podaje, że w tym roku przybędzie prawdopodobnie z Polski do RFN 30 000 przesiedleńców. Według bardzo ostrożnych szacunków około 3 000 dawnych przesiedleńców zechce w tym samym czasie wrócić do Polski. Ciekawe, prawda? Coś jest zatem w naszym kraju, co działa jak magnes. Przyciąga. Skłania do przejścia do porządku dziennego nad kłopotami, których i nam życie nie oszczędzi. Cóż to jest takiego? Pewność jutra? Spokojna praca? Inny miernik oceniania wartości człowieka? Odejście od kultu złotego ciela?

Cl, którzy wyjechali, liczyli na wiele. Gdyby nie liczyli, to po cóż by wyjeżdżali? A tu raptem udziałem wielu stało się życie marne, żeby nie powiedzieć niedzne i bez żadnych perspektyw. Jest bardziej niż prawdopodobne, że tych wychodźców wróciło do Polski dużo więcej. Większość z nich mosty jednak pozrywała. Ci ludzie nie mają do czego wracać. Zresztą nie wszystkich nasz kraj by przyjął z powrotem. Wielu robi zatem dobrą minę do złej gry, choć wahałoby się wychylać się w coraz niekorzystniejszym dla nich kierunku. Cóż, nie każdego stać na to, by się przyznać otwarcie do życiowej klęski.

JAN BĄBIŃSKI



Foto: J. Sadowska

— Przystępuję do rozmowy w przekonaniu, że osiągnął Pan ogromny sukces zawodowy i osobisty...

— To właśnie sformułowanie charakterystyczne dla prasy i w ogóle środków masowego przekazu. Od razu uprzedzę — nie uważam się za człowieka sukcesu. Jeśli udało mi się dotąd cokolwiek zrobić — mnie samemu i zespołowi ludzi, którzy zgodzili się ze mną współdziałać — to nie jest sukces, ale po prostu ciężka i wytrwała praca. W jednym z niedawnych numerów „Trybuny Ludu” przeczytałem artykuł o muzealnictwie sztuki współczesnej w Polsce. W jednym z akapitów autor stwierdza, że nie ma u nas takiego muzeum, z prawdziwego zdarzenia, bo Muzeum Sztuki w Łodzi, jeśli robi nawet ciekawą wystawę (jest to podkreślone i bardzo nas ucieszyło), to w wyniku pracy dyrekcji tegoż Muzeum, którym dysponujemy. Nie chcę być nadwrażliwie skromny. Moglibyśmy osiągnąć znacznie więcej niż to, co udaje nam się realizować w skromnych warunkach lokalowych.

Należę do generacji ludzi, którzy już w okresie wojny przeżywali swoją dojrzałą młodość. Przeżywałem wojnę świadomie, jak wszystko to, co spadło na nasz kraj i naród. Równie świadomie przeżywałem okres powojenny i starałem się swoją pracą wypełnić jakąś lukę, którą — jak mi się wydawało — należało wypełnić. Człowiek nigdy nie działa w osamotnieniu i jeśli czegoś dokonał — to razem z innymi ludźmi. Szereg przypisywanych mi zasług byłby nie do pomysłenia bez wsparcia całego zespołu muzealnego, ludzi przepelnionych taką samą inicjatywą i taką samą wolą uczestniczenia we wspólnym programie, który realizujemy.

— Chciałbym prosić Pana o odpowiedź: jakie były początki zainteresowania sztuką współczesną?

— Miałem okazję pracować od 1951 roku w Państwowym Instytucie Sztuki, prawie od początku jego organizacji, z prof. Juliuszem Starzyńskim. Współpracowałem z obecnym profesorem UJ, Mieczysławem Porebskim, w zespole, który zajmował się problematyką teorii sztuki współczesnej. Później redagowaliśmy „Przegląd Artystyczny”. Przedtem miałem okazję kilka lat studiować we Francji. Zauważyłem tam, że właściwie o nas, sztuce współczesnej niewiele wiadomo. Nie było jej w muzeach. Jedyny obraz polskiego artysty, jaki pamiętam, Tadeusza Makowskiego, wisiał w zakamarku Musée National d'Art Moderne — obok obrazów jego przyjaciela Gromaire'a. Brak jakiegokolwiek innych dzieł polskich twórców wydawał mi się nieporozumieniem. Później, dostrzegłem, że w ogóle brak jest dostatecznej informacji na temat sztuki polskiej w podręcznikach światowej historii sztuki czy w encyklopediach. Mało się o naszej sztuce wiedziało, albo też nie wiedzieli o niej. Odtąd moje zainteresowania osobiste poszły w kierunku znalezienia — jak gdyby — szans dla prezentacji naszej sztuki na świecie. Starałem się opracować pewien program...

— ... który do dziś Pan konsekwentnie realizuje i który przyniósł Panu wyróżnienie dla „ambasadorów” kultury polskiej za granicą.

— Nie wyznaczyłem sobie z góry roli — jak pan to określa — ambasadora polskiej sztuki. Program taki nie mógł być oderwany od rzeczywistości. Ale ta właśnie myśl przyswiecała innej dziedzinie mojej działalności — krytyce. Zajmowałem się wieloma problemami sztuki obecnej, pisywałem sporo na ten temat, prezentowałem w Polsce wiele wystaw wybitnych artystów zagranicznych. W międzynarodowej wymianie kulturalnej realizowały się problemy wzajemnego poznania narodów, przybliżenia wartości. Zajmując się współczesną kulturą — otrzymałem szansę uczestniczenia w realizacji programu ekspansji polskiej sztuki za granicę. Zrealizowałem w sumie kilkadziesiąt

SZTUKA POLSKA W ŚWIECIE

Z RYSZARDEM STANISŁAWSKIM, dyrektorem Muzeum Sztuki w Łodzi, wiceprzewodniczącym Międzynarodowego Komitetu Muzeów Sztuki Nowoczesnej, laureatem tegorocznej nagrody Ministra Spraw Zagranicznych za upowszechnianie kultury polskiej za granicą rozmawia Andrzej Majer

mniejszych i większych wystaw. Pierwszą z nich była ekspozycja 6 współczesnych malarzy polskich w Belgii. Duże znaczenie, sądzą, miała np. wielka wystawa: „50 lat sztuki polskiej” w roku 1959 — najpierw otwarta w Wenecji, następnie w Genewie; miała ona za zadanie przekazanie informacji o tym, jak ciekawie i różnorodnie kształtowała się sztuka polska ostatnich pięćdziesięciu lat. Wystawa ta spotkała się z prawdziwym i bardzo szerokim zainteresowaniem publiczności i krytyki. Miałem okazję również wielokrotnie prezentować dzieła artystów polskich na różnych wystawach międzynarodowych. Czterokrotnie zasiadałem w jury Biennale w São Paulo — będąc jednocześnie komisarzem działu polskiego.

— Prezentowani przez Pana artyści: m. in. Tadeusz Kulikiewicz, Józef Gielniak, Tadeusz Kantor, Henryk Tomaszewski, Magdalena Abakanowicz, Władysław Hasior odnosił na tej wystawie tradycyjne już sukcesy. Jeśli mimo wszystko pozwolę Panu, abymy pozostali przy publicystycznych sformułowaniach — chciałbym spytać, w jaki sposób udało się pokonać kolejne bariery; jakie były kierunki wyboru, który okazywał się szczęśliwy dla tych wystaw?

— Wie pan, każdemu działaniu artystycznemu — czy będzie to problem wystawy, nawet najprostszego czy działalności muzealnej — zawsze towarzyszy konieczność dokonania określonego wyboru. Każda wystawa jest w końcu produktem wyboru zawsze arbitralnego, choćby wydawało się on mógł najbardziej obiektywny. Jeśli w Polsce tworzy około dziesięciu tysięcy artystów, to wystawa, na której pokazuje się dzieła ośmiu czy dziesięciu artystów jest właśnie kwestią wyboru i równocześnie ogromnej odpowiedzialności, jak zabieg chirurgiczny. Dlatego starałem się — szczególnie w przypadku moich pierwszych, najtrudniejszych przez to wystaw — zawsze wychodzić z określonego ideowego założenia. Chodziło mi o ukazanie wartości najbardziej charakterystycznych dla sztuki w Polsce, związanych z jej społeczna, socjalistyczna rzeczywistością — na które to wartości właśnie w krajach zachodnich szczególnie liczone. Artysty, środowisko, które w pierwszym rzędzie jest odbiorcą wystaw, bo dopiero za nimi przychodzi krytyka i szeroka publiczność, należą zwykle do ludzi, o których można najogólniej powiedzieć, iż związani są z postępowaniem. Ich zawsze najbardziej interesowało: co dzieje się w dziedzinie kultury w krajach socjalistycznych. Należało więc w naszych wystawach pokazać przede wszystkim to, co mamy charakterystycznego, co jednocześnie jest synonimem szczególnej swobody twórczej — którą artyści stworzyć może socjalistyczne społeczeństwo. To był punkt wyjściowy, jaki towarzyszył moim zabiegom wyboru. Byłem i jestem nadal przekonany, iż nie wystarczy pokazywać na wystawie, że w Polsce również się maluje, bo o tym wszyscy wiedzą. Chodziło mi przede wszystkim o to, aby pokazać autentycznie polski wkład do sztuki światowej; to, co stanowi o odrębności poszukiwań niektórych artystów polskich.

— Najtrudniejszym problemem był więc wybór odpowiednio reprezentatywnych dla polskiej sztuki artystów, wyznaczenie moich „nazwisk”?

— W sztuce światowej w ogóle nie ma wielu takich twórców, którzy naprawdę posuwają się naprzód. Pojawienie: malarstwo francuskie czy angielskie bardzo sprawnie upraszcza, jest ogólnikiem. Oznacza to po prostu kilka nazwisk wybitnych artystów, za którymi postępuje cała rzesza uprawiających sztukę — nazwijmy to — w sposób bardziej banalny. Starałem się zawsze odnajdywać właśnie tych nielicznych, choć relatywnie słabych nie ułatwia wyboru. Jeśli jednak przyjąłem podobną zasadę — nie mogło się to nie spotkać z odpowiednim zainteresowaniem, a co za tym idzie: odpowiednim odbiciem w prasie, u krytyków. Rozpoczął się łańcuch wyzwoleń reakcji — skoro udało się któryś raz z rzędu zrobić interesującą wystawę, która intrygowała, zawierała jakiś problem ideowy, pokazywała odrębność naszych osiągnięć, a nie naśladownictwo — otwierało to drzwi dla kolejnych prezentacji. U źródeł nieznaności za granicą współczesnej polskiej sztuki znalazła się między innymi nieznaną konstruktywizm polskiego i niezaprzeczalnego, przecieży wkładu

do sztuki światowej tak wybitnych twórców jak Władysław Strzemiński, Katarzyna Kobro, artystów zrzeszonych w grupie „a.r.” czy „Blok”. Teorię unizmu Władysława Strzemińskiego uważam za najbardziej oryginalny, najciekawszy manifest artystyczny lat trzydziestych naszego wieku, jaki powstał w sztuce europejskiej.

— Jednym z największych osiągnięć Muzeum jest przygotowanie i szeroka prezentacja — najpierw w 1973 roku w Europie, a w ubiegłym roku w USA i Kanadzie — dużej wystawy „Konstruktivism w Polsce”, wszędzie doskonale przyjmowanej. Pozwoliła ona właśnie na pełne wykazanie udziału naszych artystów w światowej awangardzie okresu międzywojennego, ogromną rangę ich twórczości...

— Kosztowało to kilka lat pracy, lecz mogliśmy naszą wystawę pokazać rzeczywiście w najznakomitszych placówkach muzealnych Europy i Stanów Zjednoczonych; instytucjach, które przez swój autorytet uczyniły z tego pokazu prawdziwe wydarzenie artystyczne. Umożliwiła ta wystawa równocześnie pokazanie pewnej ciągłości tradycji istniejącej do dziś w polskiej sztuce współczesnej. Obecnie wielu naszych artystów, prezentując swoje wystawy za granicą, przychodzi na podwórko, które jak gdyby jest już przygotowane... Szczególnie w krajach zachodnioeuropejskich krytyka — nie znając źródeł polskiej sztuki — najczęściej niesłusznie łączy twórczość niektórych artystów ze swoją własną tradycją. Dla przykładu: twórczość Jana Lebnsteina, zdobywcy Grand Prix na I Biennale Młodych w Paryżu w 1959 roku, krytyka francuska wyprodukowała od malarstwa Jeana Dubuffeta. Wątpię, czy Lebnstein w ogóle wówczas wiedział, kto to jest Dubuffet. Jego malarstwo wywodziło się w prostej linii z zupełnie innych źródeł, z Polski; z okresu wojny i całego kuba zła, jaki został tu przez wojnę wysypany. Sądzą, że właśnie dla ukazania naszych tradycji trzeba pokazywać za granicą również i tych wybitnych twórców, którzy tworzyli u nas sztukę znacznie wcześniej. Jednym z nich był Stanisław Ignacy Witkiewicz, którego twórczość malarska poza Polską jest stała za mało znana. Urządziłbym kilka jego wystaw, pierwszą poważną w RFN, w Museum Folkwang w Essen. Wszystkie z nich cieszyły się dużym powodzeniem.

— Na czym wobec tego polega tajemnica owego powodzenia i satysfakcja z prezentacji trudnej, trudnej do zrozumienia bez znajomości czysto polskiego kontekstu, sztuki Witkacego?

— Chodzi o to samo, co na przykład trener Jacek Gmoch nazywa „bankiem informacji”. Po prostu rozeznanie: co można pokazać i jak to zrobić w konkretnej sytuacji. Pokazywałem zarówno gwałtowne i obrazy Witkacego — najlepsze, jakie stworzył, ale przede wszystkim osobowość artysty, dokumentację jego działalności, wszystkie druki i wydawnictwa, także przekłady zagraniczne jego utworów literackich, jakie udało się pozyskać.

— Postawił Pan więc na odpowiednio wysoki poziom przygotowania samej wystawy, co sprawiło, że mogła ona być konkurencyjna wobec prezentacji jakiegokolwiek artysty ze światowej czołówki...

— Te wystawy musiały być zrobione na najlepszym poziomie naukowym i dokumentacyjnym, na jaki nas stać! Naszą największą ambicją było to, żeby dać w katalogu możliwość pełnego poznania danego zjawiska czy artysty. Zawsze również w takim wypadku prosiłiśmy o współudział najlepszych znawców konkretnej dyscypliny.

— W ten sposób postępują największe marszandzi światowej sztuki.

— Myślę, że użył pan bardzo niewłaściwego określenia. Od razu przejdę do rzeczy. Otóż nie jestem przeciwnikiem handlu i dziełami sztuki i marszandów tym się zajmujących. Wielu z nich spełnia bardzo pozytywną rolę. Ale muszę powiedzieć, że mam bardzo negatywny stosunek do systemu, który prowadzi do dominacji maszyneryi handlowej w dziedzinie wartościowania zjawisk artystycznych. To wprowadziło odrębny problem, ale muszę powiedzieć, że tym swoim negatywnym odczuciom dawałem nleiednokrotnie wyraz na forum międzynarodowym. Marszandzi, którym znakomicie opłaca się

dzisiaj handlować sztuką, bardzo często nie są do tego przygotowani. W USA istnieją setki galerii, przy czym żadna nie platuje, a więc sztuka jest to świetny biznes. Ci ludzie, zainteresowani najczęściej łatwym i szybkim zarobkiem bardziej niż ożywił miłością do sztuki, zastępują często dzisiaj, niestety, autorytety, historyków sztuki w lansowaniu artystów. Marszandzi w niektórych krajach przejęli rolę, którą powinny spełniać muzea. Powiem panu rzecz zdumiewającą: znam muzea sztuki współczesnej za granicą, które nie odważą się kupić obrazu od żadnego, nawet najbardziej interesującego artysty, zanim nie przesiedzą on przez chrzest rynku i jego wartość nie została uprzednio ustalona przez handlowców sztuki.

— W jaki sposób określiliby Pan swój zawód?

— Jestem muzeologiem i historykiem sztuki. Ale przede wszystkim jestem krytykiem sztuki. Należę od bardzo dawna do Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki AICA.

Należy się tu pewne wyjaśnienie. Był okres, kiedy zajmowałem się krytyką pisaną. W pewnym momencie doszedłem jednak do wniosku, że krytyka pisana dla realizacji celów, które sobie postawiłem, jest środkiem nie wystarczającym. Przygotowanie wystawy uważam również za wypowiedź krytyczną. Dokonanie odpowiedniego wyboru spośród wielu wartości i położenie akcentów — to działalność par excellence krytyczna. Uważam siebie za krytyka, który obecnie częściej operuje innym medium niż pióro i staram się podejść do niego, co nazywam „aktywną krytyką uczestnictwa” w życiu kulturalnym; co oznacza, że niektórzy „momentem obecności” w sztuce. Mogę także dzisiaj szczerze powiedzieć, że nie miałem zaufania do roboty, która była w tej dziedzinie wykonywana w Polsce. Wydawało mi się, że można zrobić pewne rzeczy lepiej dzięki międzynarodowemu rozeznaniu, posiadaniu własnego obszernego „banku informacji”. Byłem takim członkiem jury (i do dzisiaj nim bywam) wystaw sztuki w najbardziej odległych krajach świata: od Biennale w São Paulo do Biennale w Wenecji, wystawy grafiki w Tokio, Lublanie — do Biennale Młodych w Paryżu.

— Niektórzy odbiorcy widzą jednak działalność łódzkiego Muzeum Sztuki jako nieco jednostronna, jedynie przez pryzmat sztuki nowoczesnej...

— U naszego odbiorcy pojęcie „sztuki nowoczesnej” kojarzy się od razu ze sztuką abstrakcyjną. Nic bardziej błędnego: przecież ani Witkacy ani łódzianin Jerzy Krzewczyk — pokazywani przez nas za granicą ku wielkiemu sukcesowi tego artysty — nie mają nic wspólnego z abstrakcjonizmem. W wypadku Strzemińskiego czy Kobro chodził o rzeczywiście o sztukę abstrakcyjną. Ale proszę spojrzeć o jaką? Jakże były odniesienia tej sztuki do architektury, rzeźby, druku! Pragnę też przypomnieć, że w planie krajowym prezentujemy co roku wystawy sztuki dawnej — polskiej i zagranicznej.

— Kieruje Pan muzeum już jedenaście lat. Przez ten okres stało się ono prawdziwym celem wycieczek i obiektem dużego zainteresowania specjalistów. Ostatnie już pytanie: jak pojmuje Pan funkcję swojej placówki w Łodzi?

— Poza dziesięćlatniową architekturą (która jest łódzką rewelacją, pod warunkiem, że zostanie rzeczywiście rewidowana w społecznej świadomości) nie ma w Łodzi co oglądać. Jest to miasto stolicą polskiego filmu, ma doskonałe kino, orkiestrę filharmoniczną i teatry, znakomitą szkołę filmową i plastyczną — wszystko to jednak nie są obiekty „do zwiedzania”. Natomiast rolę taką pełni muzeum, a wśród nich nasze skromne muzeum, jakiego przecież jednak nie ma w Warszawie, Krakowie czy Poznaniu. Zbiory nasze są w Polsce unikalne. Takie założenie było punktem wyjścia obecności na naszej mapie kulturalnej wystawie Łodzi. Przecież wraz z wystawami, które robimy, imię Łodzi pojawia się wszędzie, na plakatach, w setkach artykułów i recenzji; w ponad dwudziestu krajach świata, gdzie były pokazywane nasze wystawy. Chcemy, by nasza placówka była silnie osadzona — w naszym mieście robotniczym i przemysłowym. Nie estetyzująca, dla pięknoduchów, ale dla autentycznych ludzi pracy. Zdajemy sobie sprawę z trudności adaptacji sztuki nowoczesnej. To, co w muzeum robimy — musi jednak być odpowiednikiem nowoczesności, jeśli chcemy mieć wpływ na podnoszenie kultury, a tym samym poziomu nowoczesnej produkcji. Są to rzeczy ściśle ze sobą sprzężone, tym bardziej w dziedzinie przemysłu lekkiego. Nowoczesność wyrobów produkowanych na najnowszych maszynach powinna iść w parze z estetyczną dyktacją, którą staramy się zapewnić przez muzealną działalność.



FOTOREPORTAŻ: EUGENIUSZ KUDAJ



Spotkanie ze Śródmieściem

Właściwie to już zapomniałem jak zrodził się pomysł. A było to zaledwie kilka dni przed godziną zero czy rozpoczęciem festynu — nie w którymś z parków lecz właśnie w sercu miasta — w Śródmieściu na jego placach i pasażach. Myślą przewodnią było pokazanie przemian dzielnicy, jej przyszłego kształtu, a dodatkłem miała być atrakcyjna impreza.

Przed Dniem Dziecka, przed rozpoczynającym się sezonem wakacyjnym, taką imprezą najbardziej pożądaną byłby właśnie kiermasz handlowy na którym można by dokonać niezbędnych zakupów. I dobrze byłoby dla uczniów klas ósmych i maturzystów, tych którzy jeszcze nie zdecydowali o wyborze szkoły czy zawodu zorganizować punkt informacyjny. Pomysłów przybywało i...

W sobotę 21 maja o godz. 11 na udekorowanym placu przed „Centrum” rozpoczęła się niecodzienna konferencja prasowa: architekci — przechodnie. Przed planszami i makietami przyszłej zabudowy Śródmieścia stanęli łódzcy architekci: główny projektant trasy W-Z inż. C. Pietrzko z Biura Projektów Komunalnych, mgr inż. arch. A. Żwierko i W. Miłło z „Miasoprojektu” oraz główny inżynier Biura Rozwoju Łodzi — St. Załobny. Pytania do architektów mogli kierować każdy nie podając swego nazwiska, płynęły one przez głośniki — wszyscy mogli je słyszeć i do każdego docierała odpowiedź projektantów przebudowy „Centrum”. Architekci wykazali niemałą odwagę cywilną stać „oko w oko” z tłumem przechodniów i duży talent w rzeczowym a jednocześnie prostym i zrozumiałym przedstawieniu projektów. Trzy kamery, telewizyjne rejestrowały tę rozmowę. Czasem któraś z nich „la-pała” szubujący nad miastem samolot „An-2”. W tym samym bowiem czasie wyróżniający się pracownicy zakładów „Zenit”, „Marko”, „Emfor” a także czytelnicy „Expressu” oglądali z góry wielki plac robót — Śródmieście. Oni byli w najlepszej sytuacji widzieli bowiem nie wycinek miasta powiększony na makiecie ale całe miasto — całą trasę W-Z, wiele nowych i nowoczesnych zakładów. I nie ma co ukrywać, niemal wszyscy byli zaskoczeni skalą przeobrażenia miasta...

W pasażu ZHP zainstalowali się harcerze z śródmiejskiego hufca. Sami udekorowali przejście, sami ustalili program, sami go prowadzili. Z ogromnym „biglem”. Nie było przechodnia, który by się nie uśmiechnął na widok harcerskiej sprawności i pomysłowości.

W pasażu ZWM w Punkcie Informacyjnym o możliwościach podjęcia nauki w szkołach ponadpodstawowych i oficerskich szkołach wojskowych — zdobyła informacje bardzo wielu młodych ludzi.

W al. Schillera — orkiestra podwórkowa pana Stysliaka wciągała od Piotrkowskiej przechodniów na handlowy kiermasz. Było wiele atrakcji — ogromny wybór obuwia, odzieży, sprzętu sportowego, książek dla dzieci i dorosłych, konkursy dla dzieci, pokazy mody i występy artystów.

Na ul. Moniuszki prezentowały się zespoły MDK i „urzędowali” kolekcjonerzy.

Mimo deszczu, który padał w niedzielę kursował historyczny tramwaj z przewodnikami i pasażerami, szły wycieczki piesze poznając tajemnice łódzkich kamienic i grała w parku Sienkiewicza orkiestra MPK.

— Róbcie także imprezy częściej — mówili naszym kolegom z telewizji przechodnie.

— Śródmieście jest wymarzoną terenem na taki festyn — notowali wypowiedzi działacze DK FJN.

— Po raz pierwszy urządzono taką pogłówną lekcję śródmiejskich przemian i tak atrakcyjną. Prosimy o bis — notowali wypowiedzi uczestników dziennikarzy „Expressu”.

Zastanawiamy się nad tym — choć do dziś czujemy w kościach ciężar przenoszonych ławek, estrad, makiet i plansz.

ADAM LEWASZKIEWICZ



Foto: A. Wach

CZŁOWIEK, KTÓRY ZBUDOWAŁ MIASTO

Dalszy ciąg ze str. 1

— Modne się robią tamte czasy. I czekam kiedy dyrektor powie, że to trudne, że my młodzi nie wszystkiego rozumiemy, że coś pewnie przekreślimy, że jest tyle innych, znakomych, współczesnych tematów. Czekam zjeżony, by te argumenty odparować.

Ale rozmówca jakby nie dosłyszał mojej uwagi. I tu się zaczęło

opowiadanie dyrektora.

Byłem wtedy młodym chłopakiem, tuż po szkole budowlanej i rwałem się do roboty. Przyjechał jeden z tych werbowników, co ludzi z całej Polski ścigał na budowy i opowiadał jakie to perspektywy, jakie zarobki, mieszkanie. Mieszkanie to był ciasny pokój z zapchanymi piętro- wymi łózkami, zarobki — tylko ręką machnąć, a perspektywy... No cóż, jak się ma dwadzieścia parę lat, to perspektywa jest całe życie.

— Budowaliśmy olbrzymią halę. Jej strop miał powstawać w poszczególnych kawałkach wspierających się na przesuwanej olbrzymiej konstrukcji drewnianej. Ciężko budowali ją parę miesięcy. Gdy zakończyli robotę był to rodzaj olbrzymiego przęsła na szynach, które dawało się przemieszczać przy pomocy dwóch wind z ręcznymi kołowrotami. Sprawdziliśmy — wszystko grało pod warunkiem, że równomiernie ściga- gało się liny obu wind.

— Tej nocy po całej budowie rozniósł się przerażający loskot i trzask. Ktoś z idiotycznej ciekawości zaczął kręcić kołowrotem i cała misterna konstrukcja runęła. Kleska, bo w niwecz poszła praca dziesiątków ludzi, bo oddaliła się możliwość szybkiej realizacji budowy.

— Dochodzenie nie wykryło głupiego żartownisia. Dla nas młodych ta sprawa zakończyła się bajką, od- niedziej w tym czasie bowiem otrzyma- liśmy powołanie do wojska.

— Ale ja tu panu opowiadam o sobie, gdy przyszedł pan spotkać się z Kwiecińskim. Ciężko go złapać, ciągle na budowie, jak to kierownik. Więc mu przekazałem czy to telefonicznie czy przez krótkofalówkę o sprawie. Będzie miał dużo do powiedzenia, zbudował przecież tyle do- mów, że byłoby z tego niemalże miasto. Będzie pan miał

materiał na bohatera.

Materiał o moim bohaterze jest jak na razie skromny. Przed wojną Eugeniusz Kwieciński kończył liceum budowlane w Lublinie. Potem oku- pacja i partyzantka. W 1947 roku powrócił ze Związku Radzieckiego. Parę miesięcy w Lublinie, ale szybko wyjechał, bo — to już jego własna uwaga — miałem dość polityki, a tu

albo w jedną, albo w drugą stronę ciągnęli. Łódź i praca w Państwowym Przedsiębiorstwie Budowlanym. Jest kierownikiem budowy, na razie na najniższej stawce.

— Nie chodziło przecież o pieniądze, byłem fachowcem, a kraj takich potrzebował.

Budował zakłady im. Horaka, bibliotekę im. L. Waryńskiego, gmach Komitetu Łódzkiego, szkołę im. Małgorzaty Fornalskiej. Za tę szkołę został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi. O mało co nie byłby na dekoracji. Niby przodownik pracy, ale w życiorysie nie wszystko jasne.

Jednak budował dalej. Domy, szkoły, gmachy użyteczności publicznej w Łodzi, w Bydgoszczy, na Śląsku. Kierował zespołami po 1800 ludzi. Tak się wtedy budowało, bez mechanizacji, cegła po cegle, jeden blok w 2, 3 lata. A dziś gdyby poli- czyć, ile domów wybudował. Reje- stru nie prowadził, ale chyba około pół tysiąca. Faktycznie, to całkiem spore miasto. Czy taki człowiek jest dumny z siebie? Czy kiedy idzie ulicami i patrzy wokół, to myśli moje dzieła?

— No cóż, trochę to jest tak, ale też to powszednie. Przecież to mój zawód. Kiedyś jeszcze, jak córki były małe, to się przed nimi chwali- łem — popatrzcie, ten dom tata bu- dował. Dzisiaj myślę po prostu

co zbudowałem to jest nasze.

Mijały lata, odmieniały się losy ludzi, społeczeństw, państw, zabli- żniały się rany i otwierały na po- wrót, ale domy stoją. To ludzie wy- myśliли im przeszłość. Dom po prostu buduje się i później stoi aż do zupełnego zniszczenia. Z takich nieco historyzoficznych rozważań wyrwał mnie czarny kot przebiegający drogę na podwórku kierownictwa budowy nr 1 przy ul. Tatrzańkiej. Zaczy- się będzie jakiś pech.

Był. Kierownika Eugeniusza Kwie- cińskiego nie zastałem w biurze. Od 8 rano trwała narada w dyrekcji. Popatrzyłem na zegarek — pięć po siódmej. Nie minęły więcej jak dwa kwadransy, wrócił.

— Mamy problemy z tynkarami. Za mało ich. To wyjątkowo ciężka praca i młodzi szybko się wykrusza- ją. A w systemie wielkopłytyowym, jaki my prowadzimy, prac tynkar- skich nie brakuje. Trzeba więc zna- leźć wszelkie możliwe środki i nie opóźnić kończenia budynku — dzielił się wrażeniami z narady.

Slucham, potakuję i rozważam, jakby tu nawiązać do wspomnień, jak skłonić mego rozmówcę do po- wrotu pamięcią w „tamte czasy”. Ale on zaprasza do niedawno kup- ionego „Wartburga” i mówi, że pojedziemy teraz zlustrować jak przebiegają ostatnie prace na nie- których jego budowach.

dzewa-Wschodu, tam gdzie ani krztyny

przeszłości już nie znajduję.

— Kierowniku, co z dachami. Nie dostali, a dźwig musi schodzić — mężczyzna w uwalnym kombinezo- nie mocno podirytowany dopiero teraz dostrzega moją obecność. Wita się — brzdęk... nazwiska nie do- słyszałem, bo znów o tych dachach. — Wiem — uspokaja go Kwieciński — będę montował, a dźwig musi poczekać.

Dachy to jeszcze nie taki problem. Trzeba się rozejrzeć w stanie prac tynkarskich — ile już zrobiono, ile zostało. Odpowiednio ludźmi go- spodarzyć...

— Uszanowanie — podchodzi mło- dy człowiek — to zastępca kierow- nika robót wykończeniowych, II se- kretarz POP — Stanisław Marty- nowski.

— Wiesz już, że jest raban o tyn- karzy? — sekretarz potakuje i do- daje.

— Tynkarzy brakuje, dachów nie dowieźli. No cóż, towarzyszu — to do mnie — tak już jest na budowie. Ciągłe coś wyskakuje. W tym roku tylko jedną niedzielę miałem wolną — na Wielkanoc.

— Ja też — rzuca Kwieciński — ale chodźmy do budynku, trzeba sprawdzić stan wykonczenia.

Wspinamy się po schodach, już umalowanej i właśnie omiatanej Klatki. Przed nami dwoje ludzi — kobieta i mężczyzna, chyba przyszli lokatorzy.

— Może pojedziemy za nimi i spy- tamy jak im się mieszkanie podoba — proponuję.

— Państwo tu będą mieszkać — pyta sekretarz.

Przyszła lokatorka — Cecylia Dąb- kowska potwierdza. — Tak, to zna- czy ja, bo to mój brat. Jest budow- larzem, więc go zabrałem, żeby fa- chowym okiem popatrzył.

W pustym mieszkaniu głucho dud- nią kroki kilku osób.

— No i jak pani ocenia mieszka- nie? — pytam.

— Trudno tak od razu, na pierw- szy rzut oka. O, tu jest trochę gru- zu za rurami.

Gdy już schodzimy, Eugeniusz Kwieciński zatrzymuje się na chwilę przy schodach.

— Proszę pójść do mieszkania i wymieść ten gruz... No, taka mała kupka za rurą c.o.

Już bez sekretarza wracamy do baru kierownictwa budowy, tu przeniesie się cała załoga do rychłej likwidacji zabudowań na Tatrzań- skiej. Na progę oczekuje nas starszy mistrz Nikodem Zaborowski.

— Proszę tu zostać chwilę — mó- wí do mnie Kwieciński — ja mam taką delikatną sprawę. Z ludźmi mu- sze pogadać. Panie Zaborowski, niech pan się zamie redaktorem.

Wiem co to za delikatna sprawa, bo przypadkowo usłyszałem — zgi- nęły wyciągniki w kuchniach w ca- łym bloku, 64 sztuki. Chodliwy to- war.

— No i jak się na budowie podoba? — pyta Nikodem Zaborowski, gdy tak grzejemy się w wysoko już stojącym słońcu. Opowiadam mu o cenzurze wystawianej przez nową lokatorkę.

— Ale raczej zadowolona była? To dobrze. Ja pracuję w budownictwie 49 lat. Różnie się budowało. Przed woj- na jak tynkowaliśmy mieszkania, to chodził majster z poziomica i spe- cjalnym katownikiem mierzył, czy jest choć milimetr odchylenia od pio- nu. No, ale dla kogo i ile się tego budowało. Dzisiaj, że często na łapu capu. Ale tutaj ilość, plany, posłizgi. Gdyby nasze przedsiębiorstwo prze-

szło na inny system, na elementy z fabryki domów, inaczej by wyglądała nasza praca.

Wraca Kwieciński i sam już do mnie o tych kontaktach chyba trochę z ulgą.

— To ktoś z zewnątrz musiał pod- lwać. Ale i tak swoich obstarco- walem, żeby pilnował. No to pójd- ziemy teraz obejrzeć nie wykończo- ne budynki.

Przeskakujemy rowy wykopu, wy- mijamy hałdy piachu, stosy wielkich płyt.

— Dzień dobry, kierowniku — to Maciej Zawada — główny mechanik przedsiębiorstwa. — Słyszałem, że dachów wam brakuje.

Kierownik potwierdza — będzie z 15 elementów. Zawada jakby się na- straszyl.

— Co też opowiadacie, przecież ja wiem, że przywieźli.

— To źle wiecie, inżynierze i da- chy muszą być jak najprędzej.

Zegnają się, a ja odnoszę wraże- nie, że gdyby nie moja obecność dia- log potoczyłby się dalej.

Zbliżamy się do szarej bryły ol- brzymiego, 6-klatkowego bloku. Tuż obok na pionowo ustawionej płycie młody robotnik coś kuje.

— Kolego, a gdzie hełm!

Tamten coś mruczy. Kwieciński podnosi rękę do głowy.

— Ja zawsze noszę, dla przykładu, że bhp to nie żarty.

Nie kończące się schody, prowizo- rycznie wykute przejścia między klatkami, setki zięjących chłodem pomieszczeń, płatanina przewodów i rur. Dla mnie nie zrozumiąły labi- ryncy, w którym już niedługo zamie- szkają ludzie. Będą jeść, spać, kłócić się, kochać — żyć po prostu. Na chwilę zapomniałem o moim przewo- dniku, o jego sprawach — tynka- rzach, dachach, dźwigach, o tym, że co chwila staje, coś notuje, rozgląda się, ocenia. Zdaje mi się, że zanur- łem się w przyszłość, że jakbym swo- ją tutaj obecnością uprzedził losy tych, którzy przeżyją tu dni, miesia- ce, lata. Szukałem historii „tamtych czasów”, znalazłem zaczątek przy- szłych — dom, który powstaje.

Nielatwo jednak filozofować.

Kierowniku, nie mamy ościeży do drzwi i tynkarze nie mogą kon- czyć swojej roboty — mistrz Sobie- rajski dosłownie zastawił nam wy- ściele z bloku prostokątem ościeżnic.

— A skąd to masz? — pyta kiero- wnika.

— No, muszę jakoś chodzić i kom- binować, ale przecież brakuje paru- set sztuk.

Znow wracamy do baru. Mój bohater siega po telefon.

— Pani Ulu, jak te ościeżnice... A z fabryki domów pani rozmawiała... Inna nie produkuje... Co w takim ra- zie na to Zjednoczenie...

Odskłada słuchawkę. Siada za swo- im zastępcą Kazimierzem Renkiem za stołem, odsuwa kubki z nie dopita czarną kawą. I znów słyszę urywa- ne zdania.

— Nie, ty mi nie mów, że nie wyrobicie... Musi być pod koniec miesiąca... Nie, tej brigady nie wysy- laj, za wolni... Tak, jego trzeba im przydzielić...

Przerywa im robotnik, który nagle wpadł do baru.

— Kierowniku, jakieś obce wozy odbierają piasek z naszej koparki. Przecież to k...

— Nie bliźnię mi tu — Kwieciń- ski unosi głowę znad notatek. — Sprawdzić, jakie to wozy i ziożyę gdzie trzeba meldunek.

I znów coś wypisuje, kreśli, usta- la. W notesie rozdzielił się następny dzień budowy — mały krok w przy- szłość wielkiego domu.

TOMASZ JAWORSKI



Foto: M. Zajdl



Foto: L. Jancała

MARIUSZ KULEZA

KSIĘŻY MŁYN

Jest w Łodzi taka ulica, która nosi dość dziwną nazwę. Nazwę, która jest zupełnie odmienna od pozostałych. Mała, zagubiona w olbrzymim mieście, znana oprócz jej mieszkańców tylko raczej nielicznym. Jest również w Łodzi taki zaułek, który stanowi dość ciekawą pamiątkę Łodzi, która coraz rzadziej napotykaemy w swych wędrówkach po mieście. KSIĘŻY MŁYN — tak brzmi nazwa tej uliczki. Kiedyś powszechnie mianem tym określano również cały kompleks domów „familijnych”, wybudowanych w drugiej połowie ubiegłego stulecia, wśród których usytuowana jest właśnie wyżej wspomniana ulica. Obecnie nazwa ta używana jest tylko w zasadzie przez starszych mieszkańców oraz tych wszystkich, którzy w jakiś sposób mają do czynienia w przeszłości Łodzi.

Kiedy idziemy ulicą Przedzalaną od strony ulicy Armii Czerwonej lub ulicy 8-go Marca od strony ulicy Kilińskiego, wchodzimy w Łódź, która jest jakby żywym przeniesioną z czasów jej burzliwego rozwoju. Wchodząc na teren Księżego Młyna spotykamy na swej drodze zespół budynków z brudnoczerwonej cegły bliźniaczo do siebie podobnych, usytuowanych jeden obok drugiego, w równych odległościach od siebie. To budynki mieszkalne, które wraz z sąsiadującą z nimi fabryką stanowią kompleks mieszkano-przemysłowy — tak charakterystyczny dla Łodzi końca XIX stulecia. Cały ten teren stanowił i stanowi jeszcze obecnie pewną zamkniętą całość, niewiele naruszoną przez dzieje. Przebywając na Księżym Młynie ma się wrażenie jakbyśmy podróżowali w wieki przeszłości, wracając do czasów, które były dla nas niekiedy małe, ale dla mieszkańców tamtych czasów były wielkie. Wtedy też cała ta ulica, będąca do tej chwili własnością duchowną, została sekularyzowana i stała się własnością rządową. Po uznaniu w roku 1821 Łodzi za osadę fabryczną, przystąpiono do realizacji szerokiego planu zagospodarowania przestrzennego oraz urbanistycznego terenów wchodzących w skład ówczesnego miasteczka, oraz terenów leżących w jego bezpośrednim sąsiedztwie. Chodziło przede wszystkim o budowę zakładów przemysłowych na obszarze, który obecnie wchodził w skład wschodniej dzielnicy miasta. Decyzja ta obejmowała również swym zasięgiem i teren Księżego Młyna. Podjętym było to tym, iż cały ten obszar usytuowany wzdłuż rzeki Jasieli posiadał bardzo dogodnie warunki, jakie potrzebne były do stworzenia szeregu zakładów przemysłowych. Przede wszystkim chodziło o wodę, która potrzebna była w tym czasie jako niezbędny środek w procesie wytwórczym tkanin bawełnianych, wełnianych czy lnianych. To też zdecydowało o tym, że położone nad dużymi zbiornikami wodnymi młyny stały się atrakcyjnymi celami. Dlatego też prawie wszystkie osady pomysłnicze w krótkim bardzo czasie stały się terenami, na których poczęły wyrastać kominy i masywne mury fabryk.

Jeśli chodzi o Księży Młyn to też postanowiono na jego obszarze wybudować fabrykę. Tak powstał pierwszy budynek, jak to się później okazało, z szeregu budynków fabrycznych, które z czasem utworzyły ten olbrzymi kompleks fabryczno-mieszkalny. Propozycja budowy na tym terenie fabryki wyszła od saksońskiego fabrykanta K. F. Wendischa, który przewidywał wybudowanie na obszarze dawnej osady młynskiej dwóch dużych przedziałów. Miały one swym zasięgiem obejmować, poza Księżym Młynem również trzy inne posiadania pomysłnicze, a mianowicie, wspomniane już wyżej Lamus, Wójtowy i Arasz. Razem obejmowały to około 2 km kwadratowych powierzchni, które K. F. Wendisch otrzymał prawem wieczystej dzierżawy. Teren ten nominalnie przeszedł na własność gminy łódzkiej już w roku 1824, właśnie z przeznaczeniem wykorzystania go pod budowę zakładów przemysłowych.

Przedziałnie K. F. Wendischa, oraz rządowy zakład białkowniczy, a także zakłady L. Geyera, Potempy i Langego wyznaczyły swymi granicami strefę przemysłową nowo utworzonej osady, zwanej osadą Łódka. Po wybudowaniu wspomnianych zakładów oraz po ustanowieniu nowej osady przestaje faktycznie istnieć Księży Młyn, jako oddzielna osada. Nazwa jej pozostaje jednak nadal w ogólnym użyciu mieszkańców tego obszaru. Z biegiem czasu „kompleks fabryczno-mieszkalny Księżego Młyna” coraz bardziej się rozrastał, by już w połowie XIX stulecia wejść w skład wielkiej posiadłości fabryczno-ziemskiej, jednego z największych fabrykantów Łodzi przemysłowej K. Scheiblera. Dzięki różnym spekulacjom handlowym powstała w ten sposób wielka przemysłowa własność zwana przez co poniektórych „królestwem Scheiblera”, rozciągająca się na przestrzeni około 2 km i obejmująca blisko 500 ha powierzchni. Stałoby to ówczesnie prawie jedną szóstą całej powierzchni miasta.

W obrębie tego obszaru powstały m. in. wielkie zespoły parkowo-ogrodowe oraz liczne ponad 100 ha wielkie majątki ziemskie (rolny), zwany od nazwy właściciela „Księży Młyn”. Właścicielami tych terenów stała się na tym terenie, ale wprost przeciwnie była ona bardzo kulturowana i z czasem stała się nazwą całości obejmującej swymi granicami teren zakładów przemysłowych oraz budynki mieszkalne i wspomniany wyżej majątek rolny. Obecnie mianem Księżego Młyna określamy w zasadzie tylko zespół mieszkalny oraz część zabudowań fabrycznych dawnych zakładów Scheiblera i Grohmana. Jeśli chodzi o zespół mieszkalny, najbardziej charakterystyczny z całości, a zarazem ogólnie dostępny dla każdego, kogo interesuje ten problem, to powstał on w roku 1875, z myślą o pomieszczeniach mieszkalnych dla robotników zatrudnionych w pobliskiej fabryce. Powstało wówczas niewielkie osiedle złożone z 18 budynków usytuowanych w trzech szeregach po sześć domów w każdym. Zespół mieszkalny Księżego Młyna powstał pomiędzy ulicami Emilia (dzisiejszy 8-go Marca), Przedzalaną i uliczką Księży Młyn. Osiedle to w późniejszym czasie powiększone zostało o kolejnych siedem budynków. Było to typowe budownictwo kapitalistyczne, nastawione przede wszystkim na zysk, a nie na zaspokojenie elementarnych potrzeb ówczesnych robotników. Budynki te nie posiadały piwnic, ani kanalizacji, z mieszkankami jednolub dwuibudowy. To wszystko można jeszcze zobaczyć, choć oczywiście warunkami współczesnych w tych słynnych łódzkich „famiłiakach” są bez porównania lepsze niż było to niespełna 100 lat temu. Wygląd ich jednak zachował się bez zmian, tak jak podobnie z murem budynków fabrycznych, które dają patetyczny obraz Łodzi, która już odeszła, obraz, ukazujący to nietypowe miasto w tych barwach w jakich było ono, kiedy opanowane zostało gwałtownym trendem rozwoju przemysłowego, urbanistycznego i demograficznego lat XIX stulecia. Dlatego, też godnym wydaje się projekt stworzenia z zachowanych do dzisiejszego dnia w stanie prawie nienaruszonym elementów dawnej Łodzi skansen, który obejmowałby część, najbardziej charakterystyczną tego obszaru.

We wrześniu ubiegłego roku z inicjatywą Muzeum Historii Miasta Łodzi oraz Wojewódzkiej Komendy Straży Pożarnej, z okazji 100-lecia istnienia łódzkiej straży pożarnej, otwarta została w starej, zabytkowej strażnicy przy ul. 8-go Marca wystawa obrazująca przeszłość i teraźniejszość łódzkich strażaków. Jest to właśnie ten początek, z czasem jednak przewiduje się stworzenie tutaj stałego Muzeum Łódzkiej Straży Pożarnej, a także, o czym świadczy plany konserwatorskie, ekspozycji ukazującej obraz wnetrz łódzkich przed 1900 rokiem i muzeum kinematografii. Wiemy przecież, że jako pieczętowała inne miasta chronią i odnawiają zrazem wszystko to, co nazywamy pamiątkami przeszłości, gdyż żaden opis, żadna ilustracja, czy też film nie odda tego co żywe spojrzenie na konkretny przedmiot czy budynek.



Foto: J. Mendychowski

MARCIN RODAK

WIECZÓR NA CHOJNACH

Przychodzi to na człowieka nagle. Maj był już w pełni. Nasi piłkarze szczęśliwie pokonali Cypryjszczyków. Zrobiło się chłodno jak jesienią. W sadach mimo to kwitły jabłonie. I wtedy właśnie to na mnie przyszło.

Eh — powiedziałem sobie — pojechać by w daleki i szeroki świat. Gdzieś na azjatyckiej pustynie. Może w góry Pamiru. Albo do afrykańskiego buszu. Pojechać by tam, gdzie cytryna dojrzewa, albo gdzie wieje wiatr z oceanu

ciągnęło mnie w szeroki świat przemożnie. Nie mogłem usiedzieć na fotelu przed telewizorem. Uporny starość mnie nie interesował, programy rozrywkowe nie bawiły, a pogadanki o hodowli nie uczyły. Nic, tylko lechać w szeroki świat. Aż skręcało człowieka w środku od tej globtrotterskiej ciagoty Narzuciłem więc sztuczny futer podbijaną kurtkę od „Prochnika” i poszedłem.

Nie od razu, oczywiście, w świat. Najpierw trzeba przecież udać się na dworzec, aby zobaczyć jak odchodzą pociągi. Zdecydować trzeba się na kierunek Formalności ratulwić. Bilet kupić. Torbę podróżną przyszykować. Wsiadłem więc w tramwaj, aby pojechać na dworzec Łódź-Chojny. Nie sztuka bowiem ruszać w świat z dworca Fabrycznego, ale sztuka ruszać z dworca Kaliskiego. Sztuka w tym — myślałem sobie — aby ruszyć w świat z dworca Łódź-Chojny.

Tramwaj dowiózł mnie na pętle. Zmierzch już zapadał nad Łodzią. Poszedłem więc wolniutko w stronę bielejącego w mroku stacyjnego budynku. Ale najpierw szlaban mi drogę zagroził. Torami pociąg towarowy jechał

— „24, 25, 26, 27, 28... Czesiu! Jeszcze mi się chce — powiedziała dziewczę stojące przy szlabanie do młodzieńca w błękitnej kurtce.

— Lecz dalej? — odpowiedział jej młodzieńiec. — Na dworcu kupię ci kanapkę.

— „32, 33, 34, 35... A z czym mi kupisz kanapkę? — zapytała dziewczę.

— Z żółtym serem, bo z innym innym pewnie nie będzie — spokojnie odpowiedział młodzieńiec.

Dziewczę liczyło dalej, a ja śmiałem się serdecznie, ale tylko w duchu. Pociąg miał 42 wagony. A dziewczę miało ochotę na kanapkę z jajkiem, bowiem z żółtym serem nie lubiła. Śmiałem się dalej po cichutku, gdyż wiedziałem, że na dworcu Łódź-Chojny nie ma bufetu. I pomyliłem się srodze

Jest bufet. Czynną całą dobę z przerwą godzinną między 9 a 10 i między 21 a 22. Dziewczę dostało więc bigos, bo kanapek nie było. A ja poszedłem pod tablicę informacyjną, aby dowiedzieć się, czy z dworca Łódź-Chojny można pojechać w świat.

Można. I to nie byle gdzie. Do Lipska i Paryża o godzinie 13. Do Moskwy o 10.14. Do Pragi Czeskiej o godzinie 19.47. Dowiedziałem się także, że najlepiej do Kolobrzegu, Rzeszowa i gdzieś tam jeszcze jest podróżować w sypialnym wagonie. A bilety można nabyć w Orbisie. Dowiedziałem się ponadto, że na perony można wchodzić tylko z ważnym biletem lub peronówką.

Zapachniało wielkim światem. Już czułem na twarzy wiatr z oceanu. Już pachniały mi dojrzewające cytryny. W uszach już słyszałem obcojęzyczny gwar. Oczyma wyobraziłem widziałem kolorowe neony Paryża. I nagle z tego upojenia wyrwało mnie coś swojskiego.

— Tu, koleś, stał kiedyś kłosek. Piwo w nim dawali. Już od samego rana różne takie lajzy ścigały tu na dopitkę utrwalaczem. Z całych Chojen. A niektóre to nawet pociągami dojeżdżały. To były czasy. Teraz to musimy iść na pepsi do bufetu.

W bufecie znajomi spod szlabanu dojadali bigos. Koleś, który tak żałował budki z piwem, musiało dobrze suszyć, bo pili już po drugiej butelce „Cytronety” — napoju orzeźwiającego. Pepsi-coli nie było. Były za to ciepłe parówki. Wzięłem porcję z musztardą i butelką i usiadłem przy stoliku

A wielki świat był tuż za dworcową ścianą. Tymi torami, które biegną przy peronach można było dojechać przecież do Lipska, Paryża, Moskwy, Pragi i jeszcze dalej. Na ścianach zresztą też był wielki świat. Bo ściany były pomalowane w „plikasy”. Ta nad bufetową ladą przypominała reklamę aleksandrowskiej „Sandry”. Na żółtym tle przelatywały w płataninie linie kolorowe... skarpetki. Na drugiej, tej naprzeciwko mnie, coś, jakby duchy, wyłaniały się z morskich otmętów i groziły ludziom pieściami. Na pozostałych było morze porwane wielkimi bałwanami, na grzywach których tańczyły wesoło bantelki piwat.

I znów wielki świat chwycił mnie za gardło. Znow zapachniało wiatrem z oceanu, dojrzewającymi cytrynami... Gdy tak rozkoszowałem się wizją dalekiego i szerokiego świata, zmienił się kilencl dworcowego bufetu. Para od bigosu poszła sobie, zastanawiając się, po co jej tożby nowe trepki, na korku w dodatku, jakby jej starych było mało. Koleś ugasił pragnienie. Do baru natomiast wtoczyło się trzech wesołych druhów. Ich też musiało suszyć bo ptyłal o pepsi-coli, a zadowolili się musiel „Cytronetą” — napojem orzeźwiającym. Ale mieli problem.

— Patrz Kazik — mówił ten nie ogolony — pisali w gazecie, że „berliety” dostaniemy na Piotrkowską, a zamiast autobusów dostaliśmy tylko asygnaty.

— Asygnatą ludzi nie przewieźliem — śmiał się gruby w białym swetrze.

— Za obcym trzeba chodzić. Chętnych do brania jest wielu. Do dawania mniej — powiedział ten trzeci, zwany Kazikiem.

Ruch był na tej stacji spory, choć mogłoby się wydawać, że jest to dworzec cichy i senny. Pociągi towarowe przejeżdżały z łomotem i brzękiem. Ludzie do bufetu przychodzili i wychodzili. Jedni, aby napić się czegoś, inni, aby coś zjeść. Jakichś dwóch martwiło się o 200 ton uranu, z którego można zrobić 30 bomb nuklearnych. Zastanawiali się nad tym, jak można ukraść 200 ton uranu.

— To musieli być wielkie owianiaki — kiwał głowami z uznaniem. — U nas by to nie przeszło.

— A po co komu uran? — dziwił się wyższy. — Nasze owianiaki węgiel dobrze kraść umieją.

Globtrotterska ciagota mocno uchwyciła mnie w szpony i trzymała. Znow pachniało mi wiatrem z oceanu. Wyszedłem na peron, choć bez peronówki niech mi to PKP wybaczy. Zresztą na dworcu Łódź-Chojny peron przechodził w ulicę, a ulica w peron i licho jedno tylko wie, w którym miejscu człowiek się znajduje. Usiadłem na ławeczce przed stacyjnym budynkiem i smętnie patrzyłem na stojące na dalszych torach towarowe wagony. Elektrowozu przy nich nie było. Uważnie rozejrzałem się. Nikogo. Przeszedłem tory, znalazłem budkę konduktorską na pomoście. Wziąłem do środka Usiadłem w kątku i zapaliłem papierosa. Zrobiło się nagle jakos tak przyjemnie. Jak za dawnych, dziecięcych lat, kiedy jeździło się takimi budkami, w pociągach manewrujących po bocznych torach. Widać już wtedy mnie w świat ciągnęło. Nawet na niby. I teraz jakoś tak wydało mi się nagle, że czas stanął. Cofnął się do tamtych, dawno minionych lat. Zgasilem papierosa. Śniło mi się, że oto jadę gdzieś daleko, daleko...

— Kierowniku — powiedział ktoś nagle bardzo głośno — surowiec przywieźli. Ten, cośmy na niego tak czekali.

— No to kłopot mamy z głową — powiedział kierownik, jak się tego mogłem domyślić. — Ale wyladowywać będziemy dopiero rano.

Uważnie wyjrzałem z mojego kąta. Stałiśmy na bocznicę. Przed wielkimi magazynami z rampa. Była to, jak się później okazało, bocznicą i magazyn „Uniontexu”. Jak się wyostałem, niech pozostanie moją tajemnicą. Prawdziwy podróżnik musi umieć sobie radzić w każdej sytuacji.

PODRÓŻE

LUCJAN BOGUSZ

Z ROZKŁADEM JAZDY W REKĘ

Czy nam się to podoba, czy nie, któregoś dnia nadejdzie lato i wtedy zacznie się normalny letni run na pociągi PKP, którymi wszyscy będą chcieli mniej więcej w tym samym czasie się dostać nad morze, w góry, nad jeziora. Rozsądny turysta, a także ci wszyscy, którym podróżowanie przypisano niejako w zawodzie, kupują zawsze w maju „REJONOWY ROZKŁAD JAZDY POCIĄGÓW”. Kupują w maju każdego roku, bo właśnie wtedy dokonuje się zmiany rozkładu jazdy pociągów PKP. W tym roku nowy rozkład jazdy wszedł w życie 22 maja i wszyscy, którzy interesują się podróżowaniem pobiegli do kiosków „RUCHU” i kupili nowe wydanie „REJONOWEGO ROZKŁADU JAZDY POCIĄGÓW”, przeznaczonego dla mieszkańców Łodzi i okolic.

Rozsądny podróżny, zarówno ten, który wybiera się w podróż tylko latem, jak i ten, który stale podróżuje, powinien mieć w domu rozkład jazdy pociągów i umieć się nim posługiwać. Nawet nie wybierając się w podróż, a tylko ją planując z dużym wyprzedzeniem, jakże przyjemnie jest wglębnąć się w rozkład jazdy. Już się człowiekowi wydaje, że zaraz maszynista da sygnał i nasz pociąg potoczy się w swoją dal.

Jak zabrać się do czytania rozkładu jazdy? Autorzy nie zapomnieli o pouczeniu. Oto ono:

„W alfabetycznym spisie stacji i przystanków wyszukujemy żadaną stację i według numeru, umieszczonego obok tej nazwy, odnajdujemy właściwą tabelę rozkładu jazdy”.

Zasglądamy więc do alfabetycznego spisu. Dokąd najczęściej jeżdżą łodzianie? Na przykład do Ciechocinka. Patrzymy więc pod „C” i znajdujemy: „Ciechocinek 421”. Szukamy tabeli nr 421, ale nie ma takiej w „REJONOWYM ROZKŁADZIE JAZDY POCIĄGÓW”. Z „Mapki schematycznej sieci PKP III okręgu komunikacyjnego” wynika niezbicie, że z Łodzi do Ciechocinka trzeba jechać przez Kutno, Włocławek, Aleksandrów Kujawski. Zobaczymy zatem w spisie alfabetycznym pod „A”, gdzie powinniśmy znaleźć Aleksandrów Kujawski. Umieszczona tam informacja wskazuje, że trzeba połączyć Łódź z Aleksandrowem Kujawskim szukając w tabeli nr 420. I znów zaskoczenie. W „REJONOWYM ROZKŁADZIE JAZDY POCIĄGÓW” nie ma tabeli nr 420, a więc nie ma połączeń PKP ze stacji Łódź Kaliska z Toruniem, Bydgoszczą, z Poznaniem przez Kutno, z Gdańskiem, Gdynią, Sopotami, Grudziądem, Malborkiem, a przez Toruń z Olsztynem. Do Łęczycy też nie wiadomo jak dojechać, bo połączenie z dworca Łódź Kaliska — Łęczycy znajduje się w tabeli nr 420. Do Grotnik podobnie, a wiadomo, że latem do Grotnik jeżdżą tłumy łodzian.

A jak wybrać się do Uski, do Swinoujścia, Kołobrzegu, Szczecina? W alfabetycznym spisie stacji i przystanków PKP nie ma tych nazw, ale w poszczególnych tabelach można znaleźć takie połączenia. Na przykład w tabeli nr 310 jest widoczny pociąg nr 18401 „Włókniarz”, który odchodzi z Łodzi Kaliskiej o godzinie 5,58 i przychodzi do Poznania o godzinie 9,50 i — jak wynika z dodatkowej informacji zawartej w rubryce informacyjnej o tym pociągu — jedzie dalej do Szczecina. O której godzinie przyjeżdża do Szczecina, tego już z tabeli nr 310 nie dowiadujemy się, jako że jest to tabela informująca o rozkładzie jazdy pociągów na trasie Warszawa — Wrocław wiodącej przez Łódź i Ostrów Wielkopolski. Dopiero w tabeli nr 320 znajduje się informacja, że „Włókniarz” przyjeżdża do Szczecina o godzinie 13,25, a jest to tabela informująca o rozkładzie jazdy pociągów na trasie Katowice — Poznań.

Alfabetyczny spis stacji i przystanków — jak się okazuje — niewiele nam pomoże, bo chociaż w „REJONOWYM ROZKŁADZIE JAZDY POCIĄGÓW” można znaleźć wiele bezpośrednich połączeń nas interesujących, to trzeba ich szukać w różnych tabelach, do których w ogóle nie odsyła alfabetyczny spis. Na przykład szukając połączeń Łódź z Gdynią na innych trasach trzeba posługiwać się tabelą nr 315, a jest to tabela, gdzie zgromadzone połączenia na trasie Gdynia — Katowice. Otóż z tej tabeli można dowiedzieć się, że o godzinie 22,14 z Karsznice odchodzi pociąg bezpośredniej relacji Łódź Kaliska — Gdynia, ale nie można dowiedzieć się, o której godzinie wyjeżdża on z Łodzi i o której przyjeżdża do Gdyni. Wiadomo również, że z Łodzi do Gdyni kursuje pociąg osobowy przez Kutno, Płock, Brodnice. Ponieważ brak jest tabeli nr 420 można dowiedzieć się w tabeli nr 418, że z Łodzi do Gdyni kursuje pociąg nr 1523, w którym są wagony sypialne i z miejscami do leżenia i nie poza tym. Ponadto w spisie alfabetycznym widnieje informacja, że połączeń wszelkich z Włocławkiem należy szukać w tabeli nr 422, ale jej też nie ma, a ponieważ z autopsji wiem, że jest stacja ta leży na trasie Kutno — Toruń, stąd może być zupełnie pewny, że jest to informacja błędna, jako że takich połączeń trzeba szukać w brakującej tabeli nr 420.

Doskonale rozumiem, że PKP nikogo nie zmusza do kupowania rozkładu jazdy, że każdy może osobiście pofatygować się na pierwszy lepszy dworzec i tam zasięgnąć informacji. O wszelkich nawet międzynarodowych połączeniach informują też biura podróży, na przykład „Orbis”. Takie informacje można uzyskać nawet telefonicznie, jeśli ktoś ma telefon. Z budki telefonicznej dzwoniąc z pytaniami o kolejową informację nie radzę, a to dlatego, że — po pierwsze — najczęściej w budkach pospula się automaty telefoniczne, a po drugie — dlatego, że trudno jest się dowiedzieć o wszelkiej informacji kolejowej, a po trzecie, że może to trochę potrwać i zrobi się kolejka przed budką telefoniczną. W takiej sytuacji jednakże rejonowy rozkład jazdy bardzo jest potrzebny i dla tych, którzy nim umieją się posługiwać i dla tych, którzy tego jeszcze nie potrafią, ale mogą się nauczyć. A już szczególnie polecam taki rozkład jazdy pociągów PKP wszystkim miłośnikom rebusów, zagadek i krzyżówek. Rozrywki będzie co niemiara.

Wiem doskonale, że „REJONOWY ROZKŁAD JAZDY POCIĄGÓW” — do czego zresztą autorzy szczerze się przyznają — stanowi fragment Rozkładu Jazdy Pociągów”, druku bardzo grubego i obejmującego pełną informację o wszystkich połączeniach PKP. Z tego pełnego zestawu tabel wyjmuję się fragmenty i składa w rejonowe rozkłady jazdy pociągów. W ubiegłym roku robił to zespół pod kierunkiem Józefa Sadowskiego, a w tym roku pod kierunkiem Edwarda Zajackowskiego. I choć tamten zespół spisał się lepiej i dał więcej tabel do RRJP, to w rezultacie moje uwagi skierowane są w ogóle do metody składania takiego rozkładu jazdy pociągów. Na przykład w ubiegłym roku Warszawa wydała małą książeczkę, w której zamieszczono wszystkie bezpośrednie połączenia z Warszawy. I tak z książeczki tej można było się dowiedzieć nie tylko o której godzinie odchodzi z Warszawy i przychodzi pociąg do Berlina, Brześcia, Bukaresztu, Budapesztu i tak dalej, ale też do Boryatni, Białogostka, Łodzi Chojny, nie mówiąc już o Łodzi Kaliskiej i Fabrycznej, Elku, Lublina, Łomży, Ostrołki, Włocławka, Zamosścia — wybierając tylko niektóre stacje. Ta książeczka była drukiem bezpłatnym i wyłożona ją przed kasa biletowa na dworcu Łódź Fabryczna akurat tego dnia, kiedy jechałem do Warszawy. Stąd ja mam. I gdzie się PKP, że z jednej strony aż tak dba o dobra informację dostarczając jej bezpłatnie, a z drugiej daje mi za 18 złotych zestaw druków niekompletny i zupełnie przypadkowy, bo nie opracowany z myślą o podróżnym, który takim czymś chciałby lub musi się posługiwać.

„Express Ilustrowany” informując też o braku tabeli nr 420 domagał się, aby PKP dostarczyło brakującą tabelę bezpłatnie tym, którzy już kupili RRJP za pośrednictwem kiosków „RUCH” i uzupełnili te egzemplarze, które jeszcze nie zakupiono. Może to i dobra propozycja, ale mnie się wydaje, że i tak nie do wszystkich trafiła drukim potrzebne, ale mniejsza z tym. Mnie się wydaje, że w ogóle warto nad przygotowaniem RRJP głębiej się zastanowić i choć tylko w alfabetycznym spisie stacji i przystanków dać pełniejszą informację o tym, gdzie szukać bezpośrednich połączeń na trasach dłuższych niż uwidocznione w poszczególnych tabelach, a także zadbać o to, aby w tabelach tych były informacje o czasie odjazdu i przyjazdu pociągów, które tylko przejeżdżają odcinki tras obejmowane informacją zawartą w danej tabeli. Na przykład, jeśli na trasie Kutno — Płock kursuje pociąg nr 1523 relacji Łódź Kaliska — Gdynia, to warto podać czas jego odjazdu z Łodzi i przyjazdu do Gdyni, a jednocześnie w spisie stacji poinformować, że takie połączenie można znaleźć również w tabeli nr 418.

Nie wiem, jak w tym roku, ale w ubiegłym roku nawet w tabeli nr 420, która informuje o odejściu pociągów z Łodzi i przyjeździe pociągów do Gdyni, podawano tylko czas odejścia pociągu nr 1523, jego przyjazd do Kutna, informowano o tym, że idzie on przez Brodnice, ale w rubryce „GDYNIA” nie było informacji o tym, kiedy pociąg ten przyjeżdża, choć jest to informacja podstawowa. Na podstawie tej tabeli można było dojść do wniosku, że pociąg nr 1523 rozpływa się w mgłę, ale zapewniam, że jest to wniosek błędny.

PKP montując RRJP z fragmentów wielkiego RJP daje jeszcze jeden przykład lekceważącego traktowania podróżnych. Dostarcza im informację, nie wykazując jakiegokolwiek troski o dalszy jej los i jej przydatność. A trochę pracy, uzupełnienie RRJP o informacje o bezpośrednich połączeniach z większych stacji objętych tym rozkładem i odrobina pracy nad jego poprawnością przyniosłaby pasażerom ogromne korzyści, wygodę i wdzięczność dla PKP. Jest bowiem w RRJP na przykład taka informacja:

„37. Przejazdy w pociągach ekspresowych. Na przejazd w pociągu ekspresowym podróżny powinien posiadać bilet normalny lub ulgowy na przejazd pociągami pospiesznymi i bilet dodatkowy na miejsce rezerwowane (miejscówka).”

A jest to nieprawda, gdyż z cennika biletów wynika niezbicie, że za bilet na pociąg pospieszny na trasie do 100 km płaci się za 2 klasy 56,— zł, a za bilet w pociągu ekspresowym w takiej samej klasie na tej samej trasie: 72,— zł. Ładnie bym wyglądał, gdybym uwierzył informacjom PKP zawartym w RRJP.

Wszystko to niezbicie wskazuje, że już dziś trzeba pomyśleć o innym niż mechanicznym montowaniu i opracowywaniu rejonowych rozkładów jazdy. Ale jak znam życie na PKP, nadal nie się nie zmieni, gdyż PKP nie sobie nie robi z pasażerów, wychodząc z założenia, że to pasażerowie są dla PKP, a nie PKP jest dla pasażerów.

TEATR



Bogusław Sochnacki i Jan Zdrojewski w sztuce Sławomira Mrożka „Emigranci”

Foto: J. Neugebauer

EMIGRANCI

W Teatrze Nowym podstawową zasadą w budowaniu przedstawienia (w reżyserii Witolda Skarucha) dramatu Sławomira Mrożka „Emigranci” było stopniowe pozbywanie struktury pojęcia „emigracji” poszczególnych cech w taki sposób, by ustalić zarówno jego bezsporne znaczenie, jak i granice, której przekroczenie równałoby się z unicestwieniem tego pojęcia.

Unikając zatem (w porównaniu z innymi „inscenizacjami”) wszelkich zwrotów ku „emigracji” (teatry paradygmaty, lub realistycznemu portretowaniu „emigracji” (teatry w Szkolnym), twórcy spektaklu w Teatrze Nowym wyartykułowali te właściwości dramatu, które pozwoliły na ustalenie „emigracji” jako pojęcia wewnętrznej ucieczki, schowania się w najgłębszym zakamarku ludzkiej świadomości.

Zwłaszcza w przypadku AA (Jan Zdrojewski) ucieczka ta przybrała rozmiary uniku przed własnym i bodźcami awersyjnymi. Wolność, bowiem i godność zależy od tego, czy w otoczeniu człowieka znajdują się awersyjne i niepożądane bodźce zewnętrzne”. Natomiast XX (Bogusław Sochnacki), pracując fizycznie w warunkach niebezpieczeństwa i zagrożenia, podlega „wzmocnieniu negatywnym”, a zatem już apriorycznie jego wolność i godność jest drastycznie ograniczona. I mimo tych ewidentnych różnic w postawie i światopoglądzie obaj (AA i XX) skazani są na egzystencję w odczłowieczonym świecie, który problemy „wewnętrznej emigracji” i „behawiorystyczne, wolności” potęguje poprzez swoje — tymi pojęciami — antynomiczność Świata ten, bowiem nie dopuszcza do

ucieczek „w siebie”, ani nie akceptuje wolności. Tu człowiek podlega determinantom niemal totalitarnym. Jedyną autentyczną decyzją jest powrót do stanu pierwotnego bytu społecznego jednostki.

Jakie środki teatralne użyto, aby wyrazić ten skomplikowany system filozoficzny oraz „oddadł” tę złożoną antynomiczność?

Przed wszystkim należało zbudować świat rzeczy, który swoim nagromadzeniem realiów stałby się miarą i potęgą kształtującą człowieka. Owe realia, to nie tylko scenografia (Marek Tomasiak) realistycznie wnętrza, lecz także refleksja słowa, nagromadzenie pojęć, które malują działania i te realnie istniejące, i te wymagane. Przykładem może być opowiadanie XX o swoich spacerach na dworzec. Tu rzecz opisywana posiada znaczenie podwójne, jak podwójne marzenie posiada świat stworzony przez scenografa. Istnieje on bowiem jednocześnie jako książka, szklanka, czajnik, pudełko zapalek, buty, maskota psa itp. oraz jako symbol odczłowieczonego świata. To podwójne istnienie rozumieł doskonale kubiści: „Przed nami żaden malarz nie zatroszczył się o dotykające przedmiotów, które malował”.

Zadania aktorskie również — były realizowane w podwójnym znaczeniu i jako przedmiot, i jako dotknięcie. Najpierw było to, co Konstanty Stanisławski nazywa „stworzenie życia ludzkiego ducha” postaci scenicznej i przedstawienie tego życia na scenie w formie artystycznej. Innymi słowy znalezienie realistycznych środków na „oddanie” postaci AA — intelektualista, postaci XX — chłopo

robotnik. Te realistyczne środki — przede wszystkim działanie sceniczne w warunkach życia postaci i analogicznie do niej czyli przeżywanie. Aktorzy zrealizowali ten zamysł oczywicie zarówno w sferze zewnętrznej, jak i wewnętrznej, sięgając do doświadczenia społecznego i obdarzając postaci cechami obiegowymi. Przy czym obiegowość nie jest tu kategorią wartościującą, lecz informacyjną. Tym bardziej że Jan Zdrojewski i Bogusław Sochnacki w ramach owej „obiegowości” stworzyli postaci wyraziste, o głęboko ludzkich cechach, co więcej, stanowiące punkt wyjścia do „dotknięcia”. Stanowiło ono drugą płaszczyznę, leżącą w sferze symbolu, a więc trafiającą do odbiorcy poprzez płaszczyznę pierwszą. W ten sposób aktorzy przeszli do swojego elementu teatru epickiego, nadając prostym zdarzeniem międzyludzkim znamie czegoś nieoczywistego, zaskakującego, wymagającego wyjaśnienia, czegoś, „co nie jest w prosty sposób naturalne”.

I tak oto twórcy łódzkiego przedstawienia dramatu Sławomira Mrożka „Emigranci” chcą „oddadł” za pomocą środków teatralnych złożoną filozofię emigracji, wolności i godności znaleźli taką możliwość w syntezie teatru realistycznego i epickiego jako zjawiska o wyraźnej funkcji społecznej. Jednocześnie model ten „umożliwił reżyserowi i aktorowi przy konstruowaniu przedstawienia implikującego trudne problemy jednostkowe, artystyczne i społeczne — sprawowanie kontroli nad tym, czy społeczna funkcja całego aparatu nie uległa naruszeniu”.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

Sławomir Mrożek — „Emigranci”, reżyseria: Witold Skaruch, scenografia: Marek Tomasiak, premiera na scenie Miejski Teatr Nowy 7 maja 1977 roku.

„ZNACHOR” I EDUKACJA SENTYMENTALNA

Przedstawienie jest przygotowane „po bożemu” jak zwykły do określenia pewien Mistrz Sceny i tak być powinno. Jeśli bowiem teatr decyduje się na tego rodzaju posunięcie repertuarowe, to nie po to aby jego realizacja zaskakiwała koneserów. Można by przy tej okazji wspomnieć jedynie o pewnych niedostatkach dramatycznych samej adaptacji — powieści T. Dołęgi-Mostowicza, przygotowanej przez Krzysztofa Rościszewskiego — jak gdyby lewą ręką, na marginesie jego zasadniczych i znanych szeroko w kraju dokonań teatralnych, dla dobra prowadzonego przez kilka lat temu teatru w Grudziądzu. Myślę, że podobne intencje odegrały ważną rolę przy podejmowaniu decyzji przez kierownictwo artystyczne Teatru im. S. Jaracza i intencji tych nie można potępiać.

Bez względu na globalną ocenę artystyczną spektaklu, która nie dostarcza tematu do wielkich rozmów i nie o to właśnie tutaj chodzi, nie można pominąć zupełnie tego co stanowi główną siłę teatru, tj. aktorstwa. I w tym miejscu jednym temem wymienilibym trzy nazwiska: Jerzego Przybylskiego w roli tytułowej, Marię Kozierską (jakże w tej aktorce tkwią nie wykorzystane jeszcze ciałe, a głębokie pokłady możliwości) i Krzysztofa Różyckiego. Odnośnie wrażenia, że w całej, bogatej

obsadzie tego przedstawienia, ta trójka z pełną świadomością wybrała bardzo określony trop i podaża — nim koncepcyjnie. Można by go określić bardzo subtelnie, nie trywializując i nie nadmiernie przywrócić oka w stosunku do kreowanych postaci (M. Kozierska — Szkopkowa i K. Różycki — Leszek Czyński). To balansowanie na granicy „sieriozności” wymaga wielkiego kunsztu aktorskiego.

Myślę również, że za zasługę należy uznać reżyserowi obsadzenie w roli Marysi Małgorzaty Skoczylas. W tym wypadku R. Sobolewski, nie poszedł drogą najprostszą — w stronę typu „karmelkowej kopciuszka”, lecz pozwolił „zagrać” przeciwnym warunkom tej młodej aktorki, która potrafiła z dużym wyczuciem wykorzystać tę sytuację na swoją korzyść, a jednocześnie z pożytkiem dla kreowanej postaci. I takiej właśnie Marysi publiczność z pewnością będzie wierzyla, bowiem w ten sposób jest ona bliższa prawdziwemu życiu.

Minął jakiś czas od premiery „Znachora”. Wczoraj wieczorem przechodziłem wąską i zatłoczoną ulicą Traugutta. U jej zbiegu z ulicą Piotrkowską tarasowało chodnik kilka wielkich autokarów opatrzonych tabliczką — „wycieczka”. W oświetlonych drzwiach Sceny „7,15” klebił się tłum. Grano właśnie „Znachora”. I zadałem sobie

pytanie: czy jest potrzebna takiej edukacji sentymentalnej? Po chwili namysłu odpowiedziałem: tak. Jest bowiem ona pomostem nie do przeskokowania wiodącym w stronę edukacji intelektualnej w kontaktach ze sztuką i nie wątpię, że dla wielu jeszcze ludzi ta właśnie wyzyczna edukacja sentymentalna, może się stać jeszcze tego wieczoru pierwszym stopniem prawdziwej edukacji teatralnej.

„Ale... Tu właśnie zrodziła się we mnie przekorna wątpliwość, a z niej pytanie: czy zawsze od tego właśnie stopnia zaczynać czy nie możemy dla tej edukacji stworzyć naprawdę współczesnych, wyrosłych z rzeczywistości dnia dzisiejszego utworów, na miejsce zwierzyńców, wyciągniętych z babcinego kufla, poźółkłych i rozsypanych się ksiąg? A może taka to już kolej rzeczy i za lat pięćdziesiąt ktoś zada podobne pytanie.

ANDRZEJ CZERNY

Teatr im. S. Jaracza — Scena „7,15”, „Znachor” Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, Adaptacja: Krzysztof Rościszewski, Reżyseria: Ryszard Sobolewski, Scenografia: Elżbieta Iwona Dietrich, Premiera: marzec 1977 r.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

gawędy siwiejącego pokolenia

To historia sprawiła, że gawęda o wojnie, niepokojach i osobliwie tragicznych kolejach losów ludzkich jest gatunkiem literackim specyficznym polskim, a nie na przykład specjalnością Szwajcarii — kraju, gdzie żyje się dostatnio, monotonnie od — do, a jakby przestrelono już bardzo dawno temu.

Wojenną gawędą literacką rodzą w każdym pokoleniu nieustające rodaków rozmowy o minionym. Bez różnicy, czy minionym wczoraj, czy trzydzieści kilka lat temu, ponieważ nadal z równą wyrazistością żyje ono w pamięci i domaga się uwewnętrznienia. Niektóre z tych tysięcy opowieści przy sprzyjających okolicznościach otrzymują formę piśmienną, a nacisk tworzywa sprawia, że piszący przenosząc przeżyte czy zasłyszane na papier nie usuwa właściwości kompozycyjnych i stylistycznych nieodwzajemnionych w gawędzie ustnej.

Przypomnijmy tu (sięganie po czasy pana Paska zbyt daleko by nas zaprowadziło), że z pogwarą przy bawkach powstania listopadowego, i wkrótce po nim, powstały „Pieśni Janusza” Pola i że to autentycznie opowiadanie adiutanta (Gaczyński) otrzymało wnet arcyzapis w gawędzie (tak) „Reduta Orzona”. Przeżyła ostatniej wojny, rzecz jasna, spowodowały nowy, najwłaściwszy, myślę, w naszej literaturze przybór gawędy. Wymieńmy tu tak wybitne, jak „Lotna” Żurkowskiego, „Trzy naście opowieści” Pruszyńskiego, „Kregi” Huszczy, „Taniec kogutów” St. Broszkiewicza czy przecone przez krytykę (w tym... najbogatszym chyba in universo kraju nie tylko gubi się jak szpilki w stogu siana ciągniki i autokary, lecz i nie zauważa znakomitych książek) „Od-wiedziny” Jana Adamskiego.

Nacisk szczególnych wypadków bogate i dramatyczne życia oraz wydarzeń zasłyszanych w środowiskach, w których przyszło się Zbigniewowi Dominiemu obracać (ludność wiejska Rzeszowszczyzny, mieszkańcy dalekich peryferiów Rosji w latach wojny, kombatanaci frontów, wędrownicy z powojennych „wędrowek narodów”, kabobowcy walczący z bandami UPA) bezustannie decyduje o tematyce i kształcie opowiadań i powieści tego pisarza. Pisarza łatwo wydawanego i nagradzanego, a przecież wyraźnie nie docenianego. Nie zauważony został m. in. wydany w 1974 roku tom opowiadań „Cedrowe orzechy” — o życiu kobiet-zołnerek, dzieci i starców na dalekim zapleczu

najstraszniejszej w dziejach Rosji wojny. Temat wprowadził nienowity w literaturze radzieckiej, ale (poza Huszcza, który napisał kilka gawęd o tamtoczesnym życiu w Kazachstanie) nie ukazywany dotąd przez Polaków i z perspektywy ewakuowanych podczas wojny na odległe terytory Związku Środków Polonijnych, Dominiemu pisze w niej o współpracy, wspólnej pracy i przyjaźniach Polaków i Rosjan w okresie na długo przed nastaniem pory na gromkie akademie.

Niezmiernie charakterystyczny dla twórczości Dominy jest najnowszy tom jego prozy — „Pszenicznolosa”. Tematycznie obejmuje on losy narodu, którego pars pro toto są przede wszystkim mieszkańcy wsi rzeszowskich, w przedziale czasowym od „września roku pamiętnego” po czasy ostatnie i na przestrzeni, której centrum stanowią wieś rzeszowska, ale na wschód sięga aż po tajgę syberyjską, a na zachód po Brandenburger Tor. Artystycznie, z niezawodną, wiedzą doświadczonego twórcy, adaptuje dla utworu literackiego najbardziej charakterystyczne cechy gawędy ustnej. A więc każde niemal z wchodzących do tego tomu opowiadań posiada obszerną przedakcję, ukazującą czas, środowisko, jego mentalność, malującą koloryt lokalny, ale bynajmniej nie zmierną gładko i wprost do rozwiązania akcji. Przeciwnie, narrator zdaje się kluczyć, zapuszczać się to w tym, to w tapytym kierunku (jakby, pozostając pod silnym natłokiem wielu naraz wspomnień związanych z danym czasem, nie mógł się długo zdecydować, po które sięgnąć). A i po związaniu akcji posiada się tempem bardzo różnym; narrator już to zatrzymuje opis wydarzeń dla interesującej dygresji — już to na przestrzeni kilku ledwie zdań zmusza akcję do siedmiomilowego skoku (znamy doskonale ten sposób przedstawiania rzeczywistości i jako opowiadacz i słuchacz czytelny gawędy o przeżyciach zawiłych i niezwykłych). Zazwyczaj przy końcu opowieści gwałtownie nabiera tempa i kończy się pointą niespodziewaną, ucząc ponownie starej prawdy — o której, choć stara, gotowi jesteśmy zapominać, że zarówno psychika, jak i wydarzenia losu kierują imperatywem, o jakich się nie śmiało filozofom, lecz o jakich wiedzą nieprofesjonalni obserwatorzy życia i pochyleni nad życiem pisarze (dodajmy, że niespodziewana pointa to istotny komponent dobrego opowiadania ustnego).

Mamy zatem w opowiadaniach Dominy do czynienia z poetyką zasadniczo różną od poetyki klasycznej noweli, o której jakości formalnej stanowi przejrzysta, jak najbardziej zwarta, konstruktywistyczna, że tak powiem, architektura.

Jako typowy przykład niech nam posłuży pierwsze z opowiadań — „W imię ojca i syna”. Po lekturze pierwszych stron jesteśmy pewni, że mowa tu będzie o dzisiejszych złośliwych przydrożnych świątków, potem, że o pozostałej piży życiu niewinnej ofierze bestialstwa hitlerowców... tymczasem okazuje się, że na oszalalym starcu, któremu już zawczasu współczuliśmy, ciąży bardzo zasadne podejrzenie, że doniósł do gestapo na własnego syna. Dodajmy, że autor, występując konsekwentnie w roli jedynie opowiadającego to, co zasłyszał od innych, a nie Istoty kreowanej przez siebie świecie Najwyższej i Wszzechwiedzącej (a taką jest zazwyczaj rola nowelisty) przytacza kilka równoległych zasłyszanych wersji, nie opowiadając się za żadną, i nie przybiera roli sędziego wygłaszającego werdykt i uzasadnienie.

Wysoce ilustracyjną dla poetyki i pasji tematycznych Dominy jest „Opowieść znad wody” — o Kaszubicach z wyboru, który przed osiedleniem się po wojnie na Ziemi Gdańskiej był Sybirakiem. Zwiastuje moment, gdy autor urywa na dłuższą chwilę relacje o rozwoju wydarzeń, by dać możliwość bohaterowi wygłoszenia szczegółowego wykładu o tym, jak się gotuje uchę po sybirsku (zupa rybna — narodowa potrawa rosyjska).

Domino jest mistrzem języka kolokwialnego, innego dla każdej postaci, właściwego tylko tej jednej jedynej i dodatkowo ją charakteryzującej. W narracji z kolei jest mistrzem metafory spełniającej za jednym zamachem wszystkie trzy wymagane od niej właściwości: odkrywczość, obrazowość i funkcję skrótu. Przy tym metafory czystej i najczystszej antropomorfizującej: np. „słofce na wieży kościoła bawilo się złotym krzyżem”, „płomyki lampy lasi się koczkiem do szkieleka”.

Ostatni utwór „Białe oczy” odbiega dość niespodziewanie od całości: nie jest gawędą, lecz próbą wyjścia poza uprawiany genre w kierunku mikroantypowieści wykorzystującej chwyt kompozycyjny literatury natchnionej przez filmy Felliniego, i zwłaszcza, Jacopettiego. Cóż, pisarz ma prawo i obowiązek nieustannego poszerzania obszaru penetracji i noetyki. Z kolei jednak czuje się w obowiązku zauważyć, że półście na szeroka skalę za głosem starzejącej się mody i porzucenie gawędy może autora jak biblijnego Ezafa kosztować utratę pierworództwa. W gawędzie właśnie jest mistrzem, którego „szybkimi krokami nie dościgną natręty”.

I za ten rodzaj opowiadań jestem mu jako czytelnik (kim zaś jest recenzent, jeśli nie w pierwszym rzędzie czytelnikiem?) szczególnie wdzięczny.

* Zbigniew Domino: „Pszenicznolosa”, „Książka i Wiedza”, Warszawa 1978; cena 20 zł.

MAREK CZECHOWSKI

powrót meteora

Mało który pisarz doczekał się tak sprzecznych sądów o sobie, tak biegunowo różnej oceny swojej twórczości. Geniusz, apostoł i prorok Młodej Polski dla jednych, grafoman, kabotyń i mitoman dla drugich, był niewątpliwie postacią niezwykłą i tragiczną zarazem. Utwory literackie Stanisława Przybyszewskiego były przedmiotem absolutnego zachwytu i ostrych ataków nie przebiegających w środkach i stormulowaniach krytyki. Mityczna niemal postać ich autora, uwielbiana i fascynująca, budziła jednocześnie niechęć czy wręcz odrazę. Dyskusje i polemiki, toczone jeszcze za życia pisarza, trwały do dnia dzisiejszego.

Upamiętnieniem 50 rocznicy śmierci Stanisława Przybyszewskiego, przypadającej jesienią bieżącego roku, jest publikacja prof. Stanisława Helsztyńskiego zatytułowana: „Wieniec laurowy Stanisławowi Przybyszewskiemu. W 50 rocznicę śmierci”.

W części pierwszej pracy przypomniany zostaje spór toczony wokół Przybyszewskiego w Polsce Ludowej. Kontrowersyjność postaci została podkreślona poprzez zestawienie ocen negatywnych i wypowiedzi pozytywnych, o czym mówi autor w rozważaniach wstępnych:

„Ażby wyważyć opinie historyków literatury i krytyków na ten temat, przytoczyć tutaj sine ira et studio, bez przygany i bez pochwalania żadnej ze stron, głosy jednego i drugiego obozu, wybierając trzech protagonistów z tej i z tamtej strony, co pod koniec szkicu otrzyma dalsze punkty pomagające czytelnikowi wyrobić sobie zdanie o fenomenie, jakim jest Przybyszewski jako twórca”.

Cytat ten całkowicie wyjaśnia cel i metodę opracowania. Dyskusję otwiera wypowiedź Juliana Krzyżanowskiego, autora paszkwilu na Przybyszewskiego, zamieszczonego w książce „Neoromantyzm polski”. Negatywnie ustosunkował się także Janusz Wilhelm w przedmowie do niepełnego zresztą wydania „Moich współczesnych” z 1959 roku. Demonologiczne zainteresowania Przybyszewskiego poddał ostrej krytyce Wojciech Zukrowski w publikowanej na łamach „Nowych Książek” (nr 13 z 1974 r.) recenzji trzeciego wydania monografii Stanisława Helsztyńskiego. Tytuł recenzji — „Szatanek znad Gopla”.

Z kolei głos zabiera druga strona, Kazimierz Wyka w swojej książce „Modernizm polski” obiektywnie ocenił rolę Przybyszewskiego w rozwoju tego kierunku w literaturze i sztuce. Prekursorskie walory jego utworów wykrył w swoim szkicu, zamieszczonym w piątej serii „Obrazu literatury polskiej XIX i XX w.”, Artur Hutnikiewicz. Wstępnym Romanem Taborskiego do „Wyboru pism” Przybyszewskiego (Wrocław 1966) jest najpełniejszym w naszej literaturze i obiektywnym wyliczeniem osiągnięć pisarza.

Akcentom regionalnym w twórczości Stanisława Przybyszewskiego, związkom uczuciowym pisarza z Kujawami, poświęcone są dwie części szkicu. Często wrażał w swoje rodzinne strony, nie tylko na kartach książek. Tam też pragnął spocząć po śmierci. Pisał o ziemi kujawskiej w „Moich współczesnych”, poświęcił jej obszerny fragmenty w autobiografii, spisanej w 1913 roku. Krótko przed śmiercią pisał we wspomnieniu zatytułowanym „Nad Goplem”:

„moje biedne, resztki sił bijące serce, kochało dużo na świecie, ale niczego nie ukochało tak silnie, jak te okolice nadgoplańska”.

Przybyszewski, mimo iż nie obdarzony talentem wybitnym, odegrał nieopóźnioną rolę w życiu literackim i kulturalnym w Polsce i poza jej granicami. Świadczy o tym wyniki badań literaturoznawców i głosy krytyki w Niemczech, Anglii czy Stanach Zjednoczonych. Omówione pokrótce, stanowią końcową część szkicu.

Spór o miejsce Przybyszewskiego w historii literatury polskiej, trwa nadal. Goraz częściej dostrzega się elementy prekursorskie w jego twórczości, rolę, jaką odegrał w przełomie modernistycznym, jego wpływ na współczesne kregi literackie i artystyczne nie tylko w Polsce. Warto więc chyba na zakończenie przytoczyć wypowiedź Stanisława Helsztyńskiego, który, włączając się do dyskusji o Przybyszewskim, tak określa jego znaczenie:

„Stanisław Przybyszewski to nie tylko „wybitny syn Kujaw”, lecz także indywidualność i pisarz bardzo ważny i interesujący, chociaż kontrowersyjny; bardzo ważny nie tylko dla literatury i obyczajowości w Polsce na przełomie wieku XIX i XX, lecz także dla wielu innych krajów, a nawet całego świata. Poruszał problemy ogólnoludzkie, życie i śmierć, dobro i zło, rolę jednostki twórczej i sztuki, kwestie egzystencjalne, powszechne, uniwersalne, jak rzadko który inny pisarz polski...”

Stanisław Helsztyński: Wieniec laurowy Stanisławowi Przybyszewskiemu. W 50 rocznicę śmierci. Strzelno, Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze 1977, str. 15.

DOKTOR JAKO MEDIUM

Motyw uczonego, dążącego do zdobycia pełni wiedzy o świecie i ludziach, zrobił karierę jeszcze w czasach, gdy prawdziwa wiedza kojarzyła się niedwuznacznie z czarną magią, astrologią i alchemią. Zrósł się w organiczną całość z innym motywem: mistrza i ucznia; tego, który dysponuje nadprzyrodzonymi niejakimi mocami i siłami oraz tego, kogo niebezpieczne wtajemniczenie drogi będzie kosztować. Najbardziej znana konkretyzacja owego motywu, to dzieło doktora Johanna Georga Fausta, niemieckiego astrologa z przełomu piętnastego i szesnastego stulecia. Stał się on najwyraźniejszym symbolem człowieka dążącego do uzyskania całej wiedzy o świecie, symbolem nienasyconej wprost „ażdy poznania zagadki i istoty życia, bohaterem wreszcie liczących utworów literackich: od anonimowych ksiąg jarmarcznych, poprzez dzieła Christophera Marlowa, Gottholda Ephraima Lessinga, Heinricha Heinego, Paula Valery’ego do „Fausta” Johanna Wolfganga Goethego i „Doktora Fausta” Thomasa Manna — bezsprzecznych arcydzieł literatury światowej.

W Polsce legenda Fausta mniej była znana, jako że mieliśmy jej rodzimych odpowiedników — na pół legendarnego

czarnoksiężnika Twardowskiego. Podobnie jak Faust Mefistofelesowi, zaprzedał on swą duszę diabłu, tyle tylko, że pewnie był to znany z ludowych przekazów zły duch zamieszkały krzewiasty gatunek wierzby, rosnącej głównie na wilgotnych łąkach i torfowiskach, i stąd nazwany jej imieniem — Rokita. Legenda Twardowskiego pojawiła się w literaturze o wiele rzadziej i skromniejszych doczekała się uwag niż losy jego niemieckiego kolegi. Pisał trochę Łukasz Górnicki, pamiętamy wiersz Adama Mickiewicza, nie tyle zresztą samemu Twardowskiemu poświęcony, co jego żonie, wcielaniu sekuntycy.

Do dzieł Twardowskiego nawiązał w najnowszej powieści Jerzy Broszkiewicz, by dać niejako sumę wiedzy o współczesności poprzez burzliwe losy młodego uczonego, poprzez połączenie aktualnych realiów z odwiecznymi i najważniejszymi skłonnościami człowieka. Książka, która ukazała się niedawno w „Czytelnikowskiej” serii polskiej prozy współczesnej, stanowi pierwszą część kroniki o doktorze Twardowskim — i należałoby chyba powstrzymać się z komentarzem do chwili pojawienia się całości dzieła. Jeśli jednak ulegam recenzent-

kiej pokusie — to dlatego głównie, że ów pierwszy tom prowokuje do uwag.

Przypiętowany krwią z serdecznego palca układ między młodym doktorem nauk humanistycznych Grzegorzem Twardowskim a starym kuterem Jeremim Rokitą prowadzi do znanego faustowskiego finału: poznanie istoty ludzkiej kondycji za cenę bólu i cierpienia. Daleki potomek mistrza Twardowskiego, faworyta króla Zygmunta Augusta, oszołomiony wszelkimi sukcesami: naukowymi, podróźniczymi i męskimi w najlepszym znaczeniu tego słowa doznał musi nieodwołalnie zaburzeń afektywnych zwanych również melancholią.

Smakosz różnych odmian radości życia pada ofiarą depresji w myśli czarnej prowokacji: „Żyjemy w sposób obłąkany. Pośród nicości kwazarów, kwargli i kwantów. Przychodzimy na świat znikąd, by odejść do nikąd. W gruncie rzeczy ludzkie życie jest jedynie dowodem na niemożność trwałego istnienia. Nieustająca śmieśność, wieczne „przedczwora!” (...). Smutek jest dołą człowieka i wszyscy powinniśmy mieć depresję. Bo baba rodzą okradam na grobach, a głównym daniem życia jest daniem ku śmierci. Więc jeśli nawet, Grzegorzu, poznajesz

wreszcie związek między własnym powodem, a cudzą krzywdą, jeśli płaczesz nad dziewczęciem Złotookiej, nad trupami Davisa i Heisslera oraz powszechnym ludzkim cierpieniem, to właśnie znaczy, że twoja dusza... zdrowiej! Ze stajesz się wreszcie normalny! Rozumiesz? Stajesz się normalny, bo zaczynasz rozumieć wreszcie, że za otoczką oplektu czeka nas próżnia i ciemność. Że mózg człowieka ze wszystkimi swymi wspaniałymi zdolnościami, niedoświadczym poznawczym i małoskądnością uczuć jest tylko dowodem oszukawczej degeneracji. Tak! Nie ewolucji, lecz degeneracji poczyliwych jaszczurek, które pierwsze wylazły z wody na ląd. Wylazły w poszukiwaniu człowieczeństwa. Czyli: maczugi, iperytu, teorii względności, Boga, entropii, Oświeceni, Hiroshimy, struktury DNA, heroini i forda taunusa!”

Rzecz pierwsza i naczelna wśród tropów prowadzących ku finałowi — to zderzenie prawdziwej mądrości życia, opartej na intelektualnych zdobyczach i wieloletnim doświadczeniu, z agresywną, bujną, inteligentną i zachłanną młodością. Konfrontacja mechanizmu spokojnego kierowania przebiegiem niektórych spraw z ukrycia i dystansu na zasadzie „szarej eminencji” z destrukcyjnymi poniekąd skutkami oszalamiającego sukcesu, o którym pisze się na pierwszej stronie jednego tylko numeru poczytnego dziennika. Ważne to sprawy dla codziennej praxis zawodowej i hierarchii społecznej gatunku wyróżnionego określeniem „sa-

plens”. Jakże istotne znaczenie posiada wszakże to, czego beztroška młodość zdaje się w ogóle nie zauważać: współzależność między sferą humanistyki a dziedziną biologii, w której ród ludzki tkwi bardziej niż mu się to zwykle wydaje. Dlatego nieuleczalna choroba staje się w książce Broszkiewicza podstawowym kryterium, wyłuskującym z całokształtu myśli i przypadków jednostki rzeczy najistotniejsze. Świadomość rychłego odejścia w zagadkę niebytu oznacza nie tylko metafizyczny wstrząs i kataryczne przeżycie, przede wszystkim rodzaj krytycznym ocen i chęć ocalenia z życia tego, co tylko możliwe (vide: dzieje Wielkiego Franka Matery).

„Doktor Twardowski” odpowiada nie tylko tematycznie z utworami o Fauście: Broszkiewicz nawiązuje zresztą do arcydzieła Manna — posługuje się aluzją, cytuje, przywołuje muzykę Arnolda Schönberga i wspomina Adriaana Leverkühna oraz Rudolfa Scherdtfegera. Owo pojawiające się niespodziewanie niemieckie „andante amoroso” wraz z zawartym w nim „nasłodzonym szyderstwem” wzmagają żalną szarpaninę Grzegorza Twardowskiego i sytuuje go w szerokim kontekście europejskiej tradycji. Ale tradycja ta wiąże się tylko pośrednio z doktorem Twardowskim. O tyle, o ile przywoła ją cierpliwie zły duch skryty w kostiumie historyka — wiecznego adiutanta — narrator i partner Twardowskiego w „Interessengemeinschaft”. Okazji do kulturo-

wych aluzji jest sporo: uczynienie bohaterem młodego naukowca, prezentacja środowiska naukowego — krajowego i międzynarodowego, czytanie narratora i „żywe pomniki” — wszystko to stwarza dogodne sytuacje do intelektualnych (ale również i pseudointelektualnych) dysput i dywagacji. Znaczną część bowiem dóbr intelektualnych przywołanych w powieści Broszkiewicza jest zwykłą literacką mistyfikacją, niezbędną dla pokazania właściwych proporcji między Rokitą a Twardowskim, między mistrzem a uczniem, między animatorem a medium.

Współczesność, jaką ukazują awanturnicze w gruncie rzeczy dzieje medium — doktora Twardowskiego, jest pełna niepokoju, targana rozmaitymi spazmami (kontestacja, anarchia, coraz większa fascynacja idolami i coraz szybsze tempo ich zmienności). Jest konsekwentnym dopełnieniem dotychczasowego rozwoju naszej cywilizacji. Prawdziwa zaś wiedza i mądrość również w tych warunkach oparta jest niezmiennie o stare faustowskie założenie: „verweile doch, du bist so schon” (trwaj, chwilo, jesteś piękna!) i polega na tym, by zrozumieć sens dziejów i podporządkowując się prawom życia wydobyc jego piękno.

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

J. Broszkiewicz, Doktor Twardowski, „Czytelnik”, Warszawa 1977, nakład 30 290 egz., cena zł 35,—

OBYCZAJE

Dookoła były pola i las, między nimi przycupnęło sennie miasteczko. Kolorowe domki, ogródki, szkoła, poczta, kilka sklepów, kiosk „Ruchu” i nawet nie dwie ulice na krzyż, lecz jedna, ale za to długa. Do miasta daleko, wiodły doń ścieżki w słońcu sznury. Taśm smętek, że aż serce pęka. Cierpień na nudę i nie wdając jak ją ukatrupić, przychodzili wieczorami na stację. Przemykały pociągi do Łodzi i do Warszawy, budząc tęsknotę za dalekim nieznanym. Coś się działo, przyjeżdżali i odjeżdżali obcy ludzie, niektórzy zostawali.

Pewnego marcowego wieczoru Menda, ten stary recydywa, co miał kilka wyroków, choć ledwo przeszedł dwudziestkę, i chwalebne tatuże na łapach, oznajmił gorączkowym szeptem:

— Chłopaki, może być na wino przy kartach.

— Ale jak? — zainteresował się Zenek, który cierpiał na brak floty, gdyż nie pracował, a ojciec kieszonkowego nie dawał, ponieważ od roku był zapudlowany.

— Ten, co wysiadł — wyjaśnił Menda. — Kompletnie załatwany, prawie wypadł z wagonu. A teraz kima jak denat na ławce.

Podeszli we czterech, zostawiając na lipku małolata Doktora, który jeszcze chodził do zawodówki, ale matka nie miała na niego oka, bo była zarobiona i żyła z mężem w separacji. Jak by ktoś nadchodził, to Doktor miał wrzeszczeć, że go gwałcą, a głos miał piskliwie dzwierzący.

Menda pochylał się nad „denatem” i syknął:

— Ojciec, daj na pół litra, bo będzie gorzko.

Epizany zamamrotał coś gniewnie. Przycisnęli go do ławki, przestał mamrotać, i wysunął z kieszeni pięć stów wraz z paskiem papieru. Podzielił się sprawiedliwie łupem i poszli na dyskotekę, gdzie oprócz muzyki można było zaserwować w potajemce po szklance gorzałki lub butelkę sikacza.

Potańczyli, popili i o północy ruszyli do domu. Wtedy Menda pokazał im ten pasek papieru.

— Wiedcie, co to jest?

— Ja wiem! — wyrwał się Mikrus, najmłodszy z piątki, który widział coś takiego u ojca. — To dają przy wypłacie.

— O to chodzi, synek — pochwalił go Menda — o to chodzi! A wiesz, co to jest dla nas?

— Domyślam się — mruknął Kot. On również był małolatem, ale miał doświadczenie. Jak skończył zawodówkę, zaczął pić, bo pracować mu się nie chciało, do nauki zaś czuł wstręt. Urządzał matce dziwne awantury, że się na świat nie prosił, przeto matka zaprowadziła go do fabryki, żeby wiedział, jak jest lekko, ale on po trzech tygodniach rzucił robotę i nawet do domu nie wracał.

— Jak jest wypłata — oznajmił Kot — to się po ulicach snują różne denaty.

— Słusznie! — powiedział Menda. — Nie musimy wchodzić się bez celu, wystarczy wyjść w dniu wypłaty. Ja sam opracuję kalendarzyk. Zobaczą, że pożyjemy.

I tak się to zaczęło. Ogółem rozbójników było dwunastu, ale najczęściej działała czwórka lub piątka wyżej wymienionych. Pozostali pracowali okazynie, z doskoaku. Wychodzili w porze wieczornej na ulice, albo na stację i roz poczyniali polowanie na „denatów”, którzy często sami im się pchali pod rękę.

2.

Okazało się, iż Mikrus jest strasznie wrażliwy. Nikogo w życiu nie uderzył nie mógł patrzeć, jak kogoś biją. Uciekał. Dlatego też przeważnie stawał na lipku. A tamci, wcale nie przez wzgląd na Mikrusa, działali na swój sposób „humanitarnie”. To znaczy, że jak facet leżał, to go nie bili, bo po co? Wystarczyła dokładna rewizja. A potem dzielili się sprawiedliwie. Zawsze.

RYSZARD BINKOWSKI

POLOWANIE NA DENATA

Ale gdy facet się rzucał, coś tam pyskował i wierzał, to ładowano mu w dłoń brano pod obcas i po krzyku. A jeden, choć leżał spokojnie w lesie, też został skopany. Ze złości, bo miał tylko sześć złotych w kieszeni. To samo spotkało drugiego, który miał tylko dychę. Inny oberwał za 22 złote, zapalniczkę i skórzane rekawiczki.

Ale to było późnej. Bo wcześniej trafili się inny napity gość, który chciał podróżować autobusem. Siedzieli u Mendy w mieszkaniu i o suchym pysku przycinali w oko. Nagle wpada Mikrus i wrzeszczy:

— Jest! Niech skonom, jaki akuratny!

— Jaśniej — rzekł odkładając karty Mendy.

— Tysiąc rozminiał w kiosku. Jak Boga Kocham.

— Idziemy, bo się gdzieś zawierusz.

Zobaczyli, że facet siedzi na ławce w pobliżu dworca autobusowego.

— Ty mu spyniesz? — zwrócił się do Mendy Doktor.

— Nie mogę — stęknął Menda. — Cholernie boli mnie ręka.

— Ja to zrobię — zaoferował się Kot.

Podszedł do siedzącego i wystawiając papierosa poprosił o ogień. Ale ten facet pokręcił głową i zapytał bełkotliwie, czy stąd jedzie autobus do Kraszewa. W odpowiedzi Kot dał mu raz w szcękę. Mężczyzna osunął się. Przycisnęli go twarzą do ławki i zabrali 900 złotych. Kot swoją dołą natychmiast przepuścił z dziewczyną, bo miał taką jedną.

W „Andrzejkę” spotkali na stacji gościa, który zaczął wesoło pytać, gdzie tu jest zabawa.

— Właśnie tam idziemy — oświadczył z radością Doktor.

Mężczyzna podążył za nimi wzdłuż torów, przeszedł z trzysta metrów, miejsce ciche i ciemne, i tu facet nagle się potknął. Ale był jeszcze rzęski i niebezpieczny, toteż Menda dał mu dwa kopniaki w twarz. Mężczyzna zamilkł, z ust pociekła krew. Mikrus nie mógł patrzeć, jak Menda obmywa w wodzie but z krwi. Ale swoją część wziął, bo była słowa i zegarek.

Potem nadział się im gość biedniak, z parasolką i torbą turystyczną, ale za to w jakiś czas później trafili w lesie na bogacza z pięcioma pacykami w portfelu. Mikrus nie wiedział, co zrobić ze swoim tyścem. Nakupił tyle różnego dobra, że z tego wszystkiego strasznie się rozchochował. Ale ktoż by nie wymiotował po potężnej dawce wina, landrynek, carmenów i kiełbasy z musztardą. Mieszkanina piorunująca...

3.

Na początku grudnia spotkali na stacji mężczyznę, któremu zabrali 22 złote, zapalniczkę i dziesięć paczek „sportów”. Obrobili go na leżać, legł nie przytomny i nawet nie pisał.

— Kiepsko — oświadczył ze złością Kot. — Na swoje nie wyjdziemy.

Wówczas stojący dotychczas na lipku Mikrus przywołał ich szeptem i oznajmił:

— Ten drugi będzie coś miał.

— Jaki drugi? Na akord mamy zasnąć?

— Jest tam dalek, przy parkanie.

Mężczyzna trochę się rzucał, ale zatkali mu usta rekawiczką i już bez oporu zabrali dwa tysiące z portfela, 80 złotych z kieszeni i na dodatek zegarek. Podzielił się i pojechali do Łodzi. A z Łodzi do Warszawy, ponieważ nie widzieli jeszcze Dworca Centralnego. Z Warszawy wrócili do Łodzi, gdzie Menda łakomie przechodniowi upchnął na Piotrkowskiej zegarek za pięćset złotych. Pieniądze stracił na jedzenie, piwo i bilety, ponieważ pojechali do Wrocławia.

I wtedy właśnie zaczęły się zgryzoty. No bo Mikrus przerobił w legitymacji szkolnej zresztą nieaktualnej, datę urodzenia, żeby mógł chodzić do kina na filmy dowolne od lat osiemnastu, a Menda zabrał mu tę legitymację, każąc Mikrusowi pozostać w chacie, sam zaś pojechał do Wrocławia na gapę. Złapał go kontroler, obejrzał legitymację i wyszło na to, iż bulić będzie Mikrus. A później wyszło na jaw, że Doktor oszukuje. Zachachmełił sprytnie pokazując część łupu, zaczęła się szarpanina i mordobicie, zrodziły podejrzenia i wzajemna nieufność.

Na koniec zaś napadli w ciemności mężczyźni, powalili go na ziemię i dopiero wówczas Menda spostrzegł, iż jest to jego bliski znajomy. Nakazał odwrót, ale Kot nie posłuchał i ściągnął mężczyźnie zegarek z ręki. No i wpadli...

Chcieli, żeby tych rozbójców było dwanaście. Sprawiedliwie, po jednym na łebka. Ale poszkodowani zaczęli się ustawiać w tak długą kolejkę, że aż strach...

I pomyśleć, że to niemal dzieci. Mieli niezłe zarabiających rodziców, z pewnymi wyjątkami, rzecz jasna, telewizję mieli, kino, dyskotekę, długie włosy i dłuższy, a muno to cierpieli na nudę. Teraz mają głowy ogolone na zero drelichy i szare ściany dokoła siebie. I starających się o widzenie rodziców. Chciałoby się zapytać, gdzie byli rodzice wówczas, kiedy ich pociechy całe dnie i nocie przebywały poza domem?

SPORT

WIDOK Z DRUGIEGO MIEJSCA

W sezonie piłkarskim 1976/1977 jedenastka **ROBOTNICZEGO TOWARZYSTWA SPORTOWEGO WIDZEW** zdobyła wicemistrzostwo Polski, co po mistrzostwie Polski zdobytym przez LKS w 1958 roku, jest drugim krajowym sukcesem łódzkiej piłkarzy. Dla piłkarzy RTS Widzew jest to sukces tym większy, że drużyna ta osiągnęła go grając drugi sezon w pierwszej lidze. Sukces więc to piękny i pilkarzom, trenerom i działaczom RTS Widzew należą się najszersze i najserdeczniejsze gratulacje. Ale też rodzi się zaraz pytanie co dalej? Z takim pytaniem zwróciłam się do wiceprezesów RTS Widzew: **KRZYSZTOFA KIRPSZY** i **LUDWIKA SOBOLEWSKIEGO**.

L. SOBOLEWSKI: — Rozpoczęły się już rozgrywki w Pucharze Ligi. Potem krótki urlop i przygotowania do ligowej walki, a na jesieni trzeba będzie rozegrać nie 15 kolejek a 19. Trzeba też myśleć o spotkaniach międzynarodowych, które nas czekają. Trzeba przygotować się do nich solidnie.

— Postawię pytanie trochę precyzyjnie. Wyobraźmy sobie, zapadnie decyzja — mniejsza z tym z jakich powodów — że mecz musi się odbyć późnym wieczorem. Jak będziecie grać po elemku?

K. KIRPSZA: — Chcemy mecze z międzynarodowymi drużynami rozgrywać na stadionie LKS. Zwrócimy się do Zarządu LKS z taką prośbą.

— Tak się złożyło, że drużyna LKS nie grała do tej pory na naszym stadionie.

L. SOBOLEWSKI: — Istotnie tak się złożyło. Ale to po prostu zbieg okoliczności. Prawie od 20 lat, od czasu, kiedy LKS był mistrzem Polski w Łodzi nie było takiej sytuacji, abyśmy się tu spodziewali zagranicznej drużyny, z którą łódzka drużyna miałaby walczyć o awans w pucharowych eliminacjach. Teraz powstała taka sytuacja, a ponieważ wiemy, że łodzianie pasjonują się piłką nożną, więc naszym obowiązkiem jest stworzyć taką sytuację, w której jak najwięcej łódzkiej kibiców mogłoby oglądać takie spotkanie. A taka możliwość posiada tylko stadion LKS i to wszystko.

— Do ważniejszych spotkań przygotowujecie się w Spale. Czy dlatego, że tak Spalę lubicie, czy też dlatego, że nie macie innego wyjścia?

L. SOBOLEWSKI: — W Spale po prostu mamy bardzo dobre warunki. Przyzwyczailiśmy się już do tego. Jest tam dobry klimat, który sprzyja przygotowaniom i w którym dobrze się wypoczywa. Serdecznie nas tam przyjmują, otaczają odpowiedzialną opieką. Wytworzyła się już pewna tradycja, że w Spale dobrze się można przygotować do trudnego spotkania.

K. KIRPSZA: — Ale prawdą również jest i to, że na Widzewie nie mamy dobrych warunków do przygotowania się do meczu. Mamy jednak program, który pozwoli nam podnieść warunki i na naszym boisku. Przed wszystkim potrzebne są gabinety odnowy. Chcemy też podnieść o kilka stopni wschodnią stronę trybun. Ogrodzić boisko siatką, tak jak tego wymagają międzynarodowe przepisy. W tym roku powinniśmy sobie z tym poradzić. Poza tym do stałych terenów po wschodniej stronie naszego boiska, gdzie będzie można zrobić płyte treningową i inne niezbędne urządzenia.

L. SOBOLEWSKI: — Ja bym tak się nie fascynował tym, że mamy trudne warunki. Czasem myślę, że to może i dobrze. Z moich życiowych doświadczeń wynika, że ci którzy życie nie gładzą po głowie, którzy muszą pokonywać różne trudności i przeszkody, że ci wychodzą z tego uodpornieni, zahartowani i stać ich na wytrwałą walkę o najwyższe pozycje. Natomiast, jak się szczególnie młodym ludziom wszystkim pod nos podtyka, wszystko mają gotowe, nie muszą się wysilać i wydatek się im, że sukces sam łatwo przyjdzie, to często kończy się to rozczarowaniem.

Ja na przykład wychodzę z takiego założenia: Po skończonym sezonie można pojechać gdzieś na relaksowy tydzień, zagrać dwa relaksowe spotkania, aby chłopcy i zobaczyli jak inni grają, i na świat popatrzeli. Ale nigdy w czasie przygotowań przed sezonem. Proszę spojrzeć. Może to i przypadek, a może i nie. Ale dwie drużyny, które przygotowywały się do wiosennej tury rozgrywek w NRD, w bardzo trudnych warunkach atmosferycznych i grały mecze sparingowe z dobrze przygotowanymi zespołami, te dwie drużyny odniosły sukces.

— Mistrz Polski wrocławski Śląsk i wicemistrz RTS Widzew.

L. SOBOLEWSKI: — Tak. Natomiast inne drużyny, które pojechały szukać bardziej atrakcyjnych przeciwników i które przygotowywały się w bardziej atrakcyjnych warunkach, miały rezultaty dużo gorsze.

— Na przykład warszawska Legia, która zawędrowała aż do Indonezji.

K. KIRPSZA: — Proszę nas jednak nie nie rozumieć. To, że uważamy, iż zawodników trzeba zmusić do bardzo dobrego przygotowania, bo to jest okropnie ciężka harówka, że chcemy, aby byli przygotowani na wszystkie możliwe trudności, to nas nie rozgryza. My widzimy, czego klubowi brakuje i szukamy sposobów na rozwiązanie naszych trud-

ności i potrzeb. Mamy tu zresztą poparcie władz dzielnicowych. Mamy pomoc.

— Jan Ciszewski powiedział kiedyś w telewizji, że Widzew to klub z łódzkiego przedmieścia. Być może o burzyło to sympatyków Widzewa, ale czy nie ma w tym trochę racji?

K. KIRPSZA: — Popatrzmy na fakty. RTS Widzew był klubem klasy drugiej w powiatowej. Sukces drużyny piłkarskiej, która weszła do pierwszej ligi, zwrócił uwagę na ten klub i zmusił nas, działaczy do podniesienia poparcia. Jeśli drużyna miała odegrać jakąś rolę w pierwszej lidze, to klub musiał podnieść się na wyższy stopień organizacji, stać się klubem wyższej rangi. I taką pracę wykonaliśmy.

— Teraz drużyna zmusza was do dalszego rozwijania pracy organizacyjnej.

L. SOBOLEWSKI: — Tak. Przecież nie możemy temu ambitnemu zespołowi, trenerom i samym sobie powiedzieć: Stop. Przeciwnie. Zakładamy, że chcielibyśmy nie zawieść kibiców w spotkaniach międzynarodowych, bo nasz klub nie reprezentuje już dzielnicę Widzewa, nie reprezentuje już Łodzi, ale będzie reprezentował polskie piłkarstwo, które jak wiadomo zdobyło sobie wysoką ocenę na świecie. Więc my nie możemy być gorsi. Nie możemy zawieść polskich kibiców. Musimy pokazać, że drugie miejsce w lidze w 1977 roku nie było przypadkiem. Naszym zadaniem jest więc stworzyć piłkarzom odpowiednie warunki do tego.

W tym roku osiągnęliśmy drugie miejsce w lidze. Czekają nas trudne ligowe spotkania. Czy mamy powiedzieć chłopcom, żeby sobie pofolgowali? Nie, bo oni sami tego nie chcą. Są bardzo ambitni. Stawiamy więc sobie wyższy cel.

— Co w związku z tym zamierzacie?

L. SOBOLEWSKI: — Rozpoczął się już Puchar Ligi. Nie traktujemy rozgrywek pucharowych jak czegoś gorszego. Zespół ma grać również ambitnie. Ma podchodzić do tych meczów tak samo poważnie, jak do ligowych. Chcemy w tych meczach sprawdzić kilku młodych zawodników. Musimy uzupełnić skład, aby był jeszcze bardziej skuteczny.

Potem dwa tygodnie przerwy i wszyscy spotkają się na obozie w Kamieniu Pomorskim. Przygotowanie do nadchodzącego sezonu musi być szczególnie intensywne. Z praktyki innych drużyn wiemy, że spotkania w Pucharze UEFA wymagają dużego wysiłku i zawsze po takim spotkaniu i nasze zespoły i zagraniczne grają następane spotkanie znacznie słabiej. Ale to jest naturalne.

K. KIRPSZA: — Uważamy, że treningi można unowocześnić, że zawodników trzeba tak przygotować, aby — jak to ma miejsce na zagranicznych spotkaniach — mogli grać pełną parą przez całe 90 minut. Jak będą mieli dobrą kondycję, to i technika będzie dobra. Bo jak zawodnikowi brak siły, to nie może pokazać pełni swoich umiejętności. A więc przygotowanie do nadchodzącego sezonu musi być inne niż było do tej pory, bardziej zmodernizowane.

L. SOBOLEWSKI: — Mamy pełne zaufanie do naszych trenerów, do Pawła Kowalskiego i Zbigniewa Kociołka. Oni się wzajemnie uzupełniają i gwarantują nam, że zespół będzie dobrze przygotowany.

— Zespół Widzewa pokazał, że nawet w trudnych okresach jest rzeczywiście zespołem, kolektywem i umie nie tylko bronić się, ale potrafi też atakować.

L. SOBOLEWSKI: — Ale to nie może być tylko kolektyw składający się z samych zawodników. Dziś w piłce nożnej decyduje współdziałanie różnych czynników. Jeden człowiek, nawet najbardziej utalentowany, najzdolniejszy, nie zrobi. Tu potrzebne jest współdziałanie zawodników z trenerami, trenerów z działaczami, potrzebna jest atmosfera, która sprzyjałaby osiąganiu coraz wyższych celów.

K. KIRPSZA: — Dziś piłka nożna to już nie tylko bezmyślna kopani-ana. Teraz trzeba myśleć na boisku. Myślimy się kiedyś zastanawiali, czy dawni wybitni piłkarze znaleźliby dziś dla siebie miejsce w zespołach. Być może, że tak, że przy intensywnym treningu jeszcze bardziej rozwinęliby swoje umiejętności, ale mogłoby być i tak, że nie potrafiliby dopasować się do drużyn. Potrzebne są po prostu inne umiejętności. I te trzeba sobie wyrobić w czasie treningu, na sparingach i już w samej grze. Mecz trwa 90 minut, ale żeby

zawodnik skutecznie grał przez tych 90 minut, musi wylać wiele potu, musi ciężką, niemal katorżniczą pracą przygotować się do tych 90 minut. I ktoś to wszystko musi zaplanować, ktoś musi przygotować, pozalać różne sprawy. Na to potrzebny jest cały zespół ludzi wzajemnie rozumiejących się, mających jeden i ten sam cel.

— Zdarza się przecież, że mimo najszerszych chęci działaczy i trenerów coś nie wychodzi. Nie można kwestionować ich umiejętności, a drużyna rozpływa się, sprawia wrażenie, że zupełnie nie jest zainteresowana grą. Co tu zresztą dużo mówić, przecież gdyby nie drugie miejsce Widzewa w tym sezonie, to myśle, że nie wszyscy zawodnicy odliczyliby się jesienią.

L. SOBOLEWSKI: — To trochę inna sprawa.

— Sprawa wychowania w klubie?
K. KIRPSZA: — Nie tylko. Są to sprawy organizacji piłki nożnej. Powiedziałbym — tej struktury. Uważam, że dopóki nie rozwiąże się zasad, na jakich działa w Polsce piłka nożna, do tej pory wszelkie dyskusje o wychowaniu piłkarzy będą dyskusjami bezprzedmiotowymi, pustymi, z których nic nie wynika poza postulatami.

— A czy takie zmiany są możliwe?

L. SOBOLEWSKI: — Mówiłem o tym na posiedzeniu PZPN, że takie zmiany są konieczne. Przecież teraz my nie mamy większych sankcji w stosunku do zawodnika. Jeśli on jest ambitny, jeśli mu na tym zależy, to nie ma kłopotu. On sobie wtedy zdaje sprawę, że gra w piłkę nożną nie jest zabawą, że musi narzucić sobie odpowiedni styl życia, że nie może spędzać wolnego czasu w restauracjach, ani na przyjęciach w gronie kolegów. Ale jeśli on jest ewentualnie i wie, że klub można wyżyłować, to korzysta z tego w pełni i nie sobie nie robi z tego, że to nie jest w porządku. A klub, jak da się nabrać, to później może sobie tylko w brodzie pluć.

K. KIRPSZA: — Proszę nie rozumieć nas źle, my nie twierdzimy, że tacy są wszyscy, ale zdarzają się i tacy.

L. SOBOLEWSKI: — Większość zawodników, to ambitni, dobrzy chłopcy. Proszę na przykład wziąć Stanisława Burzyńskiego. Kandydował do kadry, do reprezentacji. Nie wyszło. Ale nie zrezygnował. Narzucał sobie bardzo surowy reżim i pilnuje go. W wiosennej rundzie był niewątpliwie wyróżniającym się bramkarzem, świetnie przygotowanym, bardzo dobrze grającym, który często wygrywał nam mecze. I jak to powiedział po meczu w Bytomiu sprawodawcy radiowemu, nie rezygnuje z awansu do reprezentacji i ja wierzę, że ten awans osiągnie.

— A jakie panowie widzą rozwiązanie spraw strukturalnych piłki nożnej w Polsce?

L. SOBOLEWSKI: — Ja osobiście jestem zwolennikiem piłki kontraktowej. Zawodnik przychodzi do klubu, podpisuje z klubem kontrakt na cztery lata. Ustala się wzajemnie warunki i jeśli zawodnik z nich się nie wywiązuje, to klub stosuje sankcje wobec niego i to sankcje finansowe zawarowane w kontrakcie. A po 4 latach, po wygaśnięciu kontraktu, każda ze stron ma prawo albo go odnowić, albo nie.

— Czy są szanse na takie rozwiązanie?

K. KIRPSZA: — Takie czy inne, ale to się musi w końcu stać. Dłuższej fikcji nie można utrzymywać.

— Zaczęliśmy rozmowę od warunków, w jakich gra wasza jedenastka. Czy są szanse na ich radykalną zmianę? Powracam do tego pytania, gdyż uważam, że wszystkie „dobudówki” są tylko łataniami dziur.

K. KIRPSZA: — W dzielnicy Widzew-Wschód powstaje już dla nas nowoczesny stadion w kompleksie urządzeń sportowych i rekreacyjnych dla tej nowej dzielnicy. Powołany został komitet społeczny budowy tego stadionu. Ziemię spotę wykopów pod „EC-IV” wywieziono i zwalono pod przyszłą koronę.

Powstanie tam stadion z trzema boiskami bocznymi, w tym jedno z widownią na 8 tysięcy ludzi. Na głównym boisku będzie się mieściło 40 tys. ludzi. Będzie tam miał też swoją siedzibę RTS Widzew. Będzie tam hala kryta, kryty basen i dwa baseny otwarte. Oczywiście nie wszystko będzie od razu, będzie to realizowane etapami. Liczymy, że w znacznej części można będzie już z tego korzystać w przyszłej pięcioletniej.

— Trzeba się tylko cieszyć, że RTS Widzew wyrasta z pojęcia „klubu z łódzkiego przedmieścia” i staje się coraz bardziej liczącym się klubem w skali krajowej. Przyjmijcie Panowie życzenia dalszej pomyślności i dalszych sukcesów.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

U PRZYJACIOŁ

W dniach od 7 do 14 czerwca br. odbędzie się w Sofii Światowe Forum Pisarzy. Blisko 200 twórców literatury z kilkudziesięciu krajów odpowiedziało już na odczyt opublikowaną przed kilku tygodniami w gazecie „Literaturen Front” — organizację Związku Pisarzy Bułgarskich, skierowaną do pisarzy całego świata.

Podpisało ją wielu wybitnych pisarzy i poetów m. in. M. Szolochow, E. Caldwell, J. Updike i in. zachęcając swoich kolegów do udziału w spotkaniu i rozmów na temat „pisarza i pokój: duch Helsinki, a rola mistrzów kultury”.

„Po czyżej stronie jesteście, mistrzowie kultury?” — takie pytanie postawił przed 40 laty przed społecznością pisarzy Maksym Gorki.

Pytanie to jest ciągle aktualne. Czasy, w których żyjemy są niespokojne, podobnie jak niespokojne były wówczas, gdy w latach trzydziestych, z inicjatywą Román Rollanda odbyło się w Madrycie pierwsze wielkie, międzynarodowe spotkanie pisarzy.

Problem pokoju — powiedział w wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Sofia News” wiceprzewodniczący Związku Pisarzy Bułgarskich Bogumil Rainow — będzie podstawowym przedmiotem spotkania. Jest zupełnie oczywiste, że wszyscy pisarze i inni rozsądni ludzie są zwolennikami pokoju. Naszym celem nie będzie więc potwierdzenie tego oczywistego faktu. Mamy zamiar przeprowadzić rzeczową, szczerą dyskusję o sprawach literatury i sprawach pokoju.

A ponieważ w ostatecznym rachunku człowiek i jego świat są podstawowymi przedmiotami literatury — jest zupełnie naturalne, że kwestia przetrwania ludzkości, to nie tylko problem polityczny, ale i problem literatury, to problem pisarzy, których rola i odpowiedzialność w formowaniu opinii publicznej zwiększyła się w sposób wyjątkowy. Twórcy literatury mogą obecnie wpływać na ludzi i ich przekonań nie tylko przez swoje dzieła, ale również za pomocą rozwiniętych w naszych czasach środków masowego przekazu — prasy, radia i telewizji, filmu, które szukają ich współpracy i pomocy.

Oto dlaczego tak wielkie znaczenie przywiązują się obecnie nie tylko do osobistego stosunku pisarzy do problemów pokoju, ale również do publicznej manifestacji jego przekonania.

Z okazji 60 rocznicy Rewolucji Październikowej wydawnictwo „Chudożestwennaja Literatūra” przygotowuje edycję czterotomowego wyboru poezji radzieckiej.

Dwa tomy wypełni twórczość poetów piszących w języku rosyjskim, dwa pozostałe — poezje innych narodów ZSRR.

Będzie to pierwszy tego rodzaju zbiór wydany w Związku Radzieckim.

Wybór opracowuje liczny zespół złożony z poetów, krytyków i wydawców.

Początkowo sporządzono listę nazwisk autorów, których twórczość wniosła istotny wkład w rozwój poezji radzieckiej.

Kolejnym etapem prac było dokonanie wyboru ich „głównych” utworów, wyróżniających się pod względem artystycznym i ideowym. Oczywiście liczba typowanych pozycji uzależniona była od roli i znaczenia autora.

Nie nastęrczało to trudności w przypadku „klasyków”, poetów tworzących w latach dwudziestych i trzydziestych. Trudniejsze zadanie stało przed autorami antologii, przy wyborze autorów młodszych, których twórczości nie zweryfikował jeszcze czas.

Intencją redaktorów jest „zespolicie w czterech tomach najwybitniejszych utworów stworzonych przez poetów radzieckich w okresie miniego 60-lecia”.

Wydawcy radzieccy zakończyli edycję „Biblioteki Literatury Światowej”, cyklu nie mającego — pod względem zasięgu i rozmiarów — odpowiednika w międzynarodowym ruchu edytorskim.

Do druku przekazano ostatni tom „Biblioteki”. Nakład każdego tomu wynosi 300 tys. egzemplarzy.

140 tomów zawiera najwybitniejsze utwory literatury obecnej, klasycznej i współczesnej. Pozostałe przyniosą dzieła literatury rosyjskiej i literatury radzieckiej.

Całość można podzielić na trzy części.

Pierwsza obejmuje literaturę świata starożytnego, średniowieczną, epoki Odrodzenia, wieków XVII i XVIII, część druga literaturę wieku XIX, a trzecia — twórczość powstałą w naszym stuleciu.

Po raz pierwszy opublikowano w „Bibliotece” w języku rosyjskim utwory licznych pisarzy krajów Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej.

Nie ustaje gorączkowa aktywność krajów imperialistycznych w organizowaniu pomocy Zairowi. Trwają dostawy broni, przybywają najemnicy i doradcy wojskowi, hojnie finansuje się rząd Mobutu. Ingerując w wewnętrzne sprawy tego kraju określone koła krajów kapitalistycznych dążą do uniemożliwienia współpracy krajów afrykańskich, do zahamowania rozwoju walki narodowo-wyzwoleńczej na południu Afryki i rozbicia Organizacji Jedności Afrykańskiej.

Zródłem tych działań jest między innymi polityka międzynarodowych monopolii, które nie chcą się pogodzić z myślą o odsunięciu ich od eksploatacji bogactw naturalnych w rozwija-

ją metody wojny partyzanckiej i unikają jakiegokolwiek bezpośredniej walki. Zairsko-marokańska strona poniosła już poważne straty.

Najprawdopodobniej obecny kontyngent wojsk marokańskich będzie niewystarczający. Powinien on być albo wydatnie uzupełniony, albo winny się do niego przyłączyć oddziały z innych krajów afrykańskich i arabskich. Należy kontynuować działalność w tym duchu, podejmując niezbędne kroki w różnych zaprzyżnionych krajach zdecydowanych zgodzić się, iż misja, którą trzeba będzie spełnić, powinna być globalna i w miarę możliwości międzykontynentalna, jeśli chcemy odnieść sukces w najkrótszym czasie.

Pułkownik Dimi, szef osobistego sztabu króla Hasana II, który odwiedził swoje wojska po ich przybyciu do Zairu, jest głęboko zaniepokojony losem marokańskiego korpusu ekspedycyjnego. Nie ukrywał tego w raporcie złożonym królowi Hasanowi II, który na mapie sztabu generalnego, opracowanej przez służbę francuską, śledził ze swego pałacu w

ważnie pomyśleć o możliwości ich istotnego zwiększenia”.

Tyle marokański pułkownik, który, jak widać z raportu, złożonego królowi, próbuje delikatnie, z całym szacunkiem dla koronowanej głowy, otworzyć oczy swemu władcy na fakt, że między śledzeniem wojny na francuskiej mapie sztabowej a walką ludu o wolność istnieje jednak pewna różnica. Być może Hasan II da się o tym przekonać, będzie to jednak zależało przede wszystkim od stanowiska Waszyngtonu.

Tymczasem, mimo współpracy Mobutu z CIA w ciągu wielu lat, mimo ogromnych subsydiów, które general osobiście otrzymywał, przywódcy głównego amerykańskiego organu wywiadowczego poważnie myślą, że by nie stawić na tak marnego konia jakim jest dziś Mobutu. Wprawdzie w CIA istnieje także silne tendencje do podtrzymywania interwencji marokańsko-francuskiej w Zairze, ale z drugiej strony wśród wysoko postawionych amerykańskich osobistości lansuje się opinie, że byłoby błędem stawiać na kartę amerykański prestiż dla ocalenia chwilejącego się i znieuważonego w Zairze Mobutu. Wszak doskonale wiadomo, że gdyby nie interwencja krajów kapitalistycznych, nie byłoby już dawno ani Mobutu, ani jego rządowej armii.

W każdym razie — jak informuje „Afrigue et Asie” — taki jest sens jednego z ostatnich raportów CIA w Kinszasie, skierowanego do prezydenta Cartera. W raporcie podkreśla się następujące momenty: „Mobutu mógł zachować władzę przez 12 lat dzięki niezwykłemu kultowi jego osoby i nieomal barbarzyńskim metodom postępowania jego sił zbrojnych wobec ludności, dzięki korupcji podniesionej do rangi systemu państwowego. Wszystko to pozwoliło mu na stworzenie sobie pozycji jednej z najmocniejszych w świecie, którą chronią tajne kontakty w Szwajcarii. Bez wątpienia posiada on dostateczną bogactwa, żeby zrezygnować z władzy i żyć z rodziną w Europie, zabezpieczając luksusową egzystencję kilku pokoleń swoich potomków”.

To jest właśnie obecny prezydent Zairu, generał Sese-Seko-Kuku Mobutu, w całym jego moralnym wymiarze. Wykładnią niejako tej niechęć opinii o generale, wydanej zresztą przez przyjaciół, jest armia Mobutu, która przejawiała dotąd tylko jedyną inicjatywę — inicjatywę ucieczki z pola walki. Mimo tych mankamentów rząd USA przewiduje, jak informuje „Washington Post”, dalszą pomoc wojskową dla Zairu, która prezydent Carter uparcie nazywa „nieśmiercionośną”, choć może ona objąć również czołgi i transportery opancerzone, a ponadto pomoc finansową w wysokości 30 milionów dolarów na dostawy broni ofensywnej. Te „prezenty”, być może Mobutu otrzyma, nie bacząc na cały moralny problem praw człowieka, które prezydent Zairu i jego klika zawsze gwałcili. Ale przedtem jego armia

musi wykonać, że jest zdolna do obrony i walki. Zresztą pomoc wojskowa plynie także z Francji, Belgii, Maroka. Obecni interwenci wyrażają nieśmiałą nadzieję, iż pod dowództwem marokańskim i francuskim wojska zairskie będą walczyć z większym przekonaniem i bardziej efektywnie. Jest to wpatliwy wniosek wypływający z mylnej oceny sytuacji w Szable. „Plemię Lunda, które powróciło na ojczystą ziemię, spotkało się z radosnym i serdecznym przyjęciem ze strony swoich rodaków w Szable (dawnej Katandze).

Jest zupełnie oczywiste, że w tym wypadku nie chodzi wcale o powrót „byłych katangijskich żandarmów”. Bojownicy, którzy roznieśli powstanie i poderwali do walki o wolność naród Szaby — to wykształcona, oświecona, patriotyczna i zdecydowana młodzież.

JERZY CZECH

ZAIR

Generał Mobutu i jego armia

jących się krajach Afryki. Zachodnie monopole, podpierając padający reżim Mobutu, robią to wbrew woli narodu Zairu i wbrew interesom narodów Afryki.

Mimo kolosalnej pomocy w sprzęcie wojskowym i ludziach, armia zairska znajduje się w stanie rozpadu. Doradca prezydenta, Giscard d'Estaing, zagorzył zwolennik kolonializmu i polityki ingerencji kolonialnego typu, w celu obrony i ratowania reżimu przyjaźni Francji, a także francuskich interesów ekonomicznych w b. Afryce Francuskiej, przedłożył prezydentowi Republiki raport na temat sytuacji w Zairze, po interwencji francusko-marokańskiej. W raporcie tym, którego fragment zamieszcza francuskie pismo „Afrigue et Asie”, czytamy m.in.: „Mimo całej wojskowej i technicznej pomocy, którą otrzymała armia zairska, jest ona w istocie niezdolna do wykonania swoich zadań. Nasi specjaliści i doradcy wojskowi spełniają swoją misję w nader trudnych warunkach i bez wojskowej pomocy marokańskiej armia Zairu poniosłaby już całkowitą klęskę. Większa część jej kadry zdezerterowałaby lub przeszła na stronę partyzanatów. Na razie trudno jeszcze powiedzieć, czy oddziały marokańskie, dobrze wyszkolone i dowodzone żelazną ręką, zdolają wpłynąć na polepszenie sytuacji, bowiem Katangijszczyzna

Shirate ruchy wojsk marokańskich. Oto, co pułkownik Dimi powiedział królowi po powrocie z Kinszasy i Kolwezi:

„Stan armii zairskiej jest bardzo zły. Brak należytej organizacji, brak przestrzegania dyscypliny, brak odpowiedzialnej kadry dowodczej, żadnych pobudek, z wyjątkiem białych, obzartwa i wałkowania się, a co najgorsze — brak jakiegokolwiek podstawowego wyszkolenia. Armia ta jest nic nie warta i wątpliwe, czy może ona skutecznie walczyć z siłami przeciwnika, pełnego inwencji, odwagi i doskonale obeznanego z wymogami partyzanckiej wojny.

między dowództwem wojsk marokańskich a dowództwem wojsk zairskich ujawniły się już rozbieżności, a także poważna groźba zatargów między naszymi oficerami i żołnierzami a oficerami i żołnierzami zairskimi. Uważam za konieczne przeprowadzenie z prezydentem Mobutu bezpośrednich rozmów na tematy polityczno-wojskowe, w celu zsynchronizowania działań wojskowych i zapewnienia określonej swobody działania oddziałom marokańskim. Jeśli, a wszystko na to wskazuje, wojna okaże się bardziej przewlekła i bardziej ciężka niż przypuszczaliśmy z początku, to niewykluczone iż obecna ilość wojsk marokańskich będzie niedostateczna i że trzeba będzie po-

Z LITERY I DUCHA UKŁADU ZGORZELECKIEGO

NORWEGIA BLIŻEJ POLSKI

PODSTAWY DO OPTYMIZMU

HISZPAŃSKIE DYLEMATY

Wizyty są jedną z form bezpośredniej dyplomacji. Dają możliwość dialogu na tematy dwustronnych stosunków i problemów międzynarodowych wspólnie interesujących dyskutujące strony. Przynoszą zazwyczaj ważne ustalenia w postaci układów, umów, czy bilateralnych porozumień.

W praktyce krajów wspólnoty socjalistycznej ta forma kontaktów jest rozpowszechniona. Przywódcy krajów składają sobie przyjacielskie wizyty, które zawsze wzajemnych stosunków. Nie przesadzają więc komentatorzy, kiedy piszą, że w następstwie takiej czy innej wizyty zaczął się nowy etap współpracy. Takie określenie nie tylko może, ale musi być użyte w związku z wizytą polskiej delegacji partyjno-państwowej w NRD, której przewodniczył Edward Gierek.

Rzeczywiście nasze bliskie, przyjacielskie stosunki, doświadczone długimi już latami współpracy, wchodziły w nowy, wyższy etap, wynikający z poziomu rozwoju gospodarczego i społecznego Polski i NRD. Daje temu wyraz Układ o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej, podpisany właśnie w Berlinie.

Jest to dokument, który mógł zro-

dzić się tylko z litery i ducha historycznego już Układu Zgorzeleckiego i w następstwie ściśle, braterskiej współpracy.

W sąsiedzkich, dobrych stosunkach Polski ze Skandynawią uczyniony został ostatnio dalszy krok. Trzydniowa wizyta premiera Jaroszewicza w Norwegii przyniosła szereg ustaleń o współpracy, które przyjęły postać porozumień i umów — otworzyły się więc nowe perspektywy rozwoju kontaktów na kilku polach. Tym bardziej, że obaj premierzy uzgodnili, iż „należy podjąć dalsze wysiłki na rzecz ułatwień, mających na celu rozwój i dywersyfikację handlu w przyszłości”.

W rozmowach polsko-norweskich, jak to wynika ze wspólnego komunikatu, wiele miejsca zajęła problematyka międzynarodowa, przy czym szczególną uwagę zwrócono na zagadnienia, związane z bezpieczeństwem oraz rozszerzeniem kontaktów i współpracy w Europie.

Akt Końcowy KBWE stanowi konstruktywny program również na przyszłość. Polska i Norwegia są zdecydowane działać na rzecz pełnej realizacji jego zasad.

Proces odprężenia politycznego powinien być uzupełniony przedsięwzięciami w dziedzinie rozbrojenia i kontroli zbrojeń. Oba kraje udzielają pełnego poparcia działaniom, mającym na celu zahamowanie wyścigu zbrojeń, a za priorytetową sprawę uznają zapobieżenie rozprzestrzenianiu broni jądrowej.

Jak widać choćby z tego pobieżnego zrelacjonowania treści komunikatu — Polska i Norwegia w najważniejszych zagadnieniach międzynarodowych wyrażają taką samą opinię. W tym kontekście tym większego znaczenia nabiera postanowienie „umocnienia polsko-norweskiego dialogu politycznego i prowadzenia go w sposób ciągły”.

Rozmowy min. A. Gromyki i sekretarza C. Vance w Genewie dają obserwatorom podstawy do optymizmu. Uważa się, że choć na drodze do nowego porozumienia radziecko-amerykańskiego na temat ograniczenia strategicznych zbrojeń nuklearnych nie przewidywano wszystkich trudności — wymowne jest, że żaden z rozmówców nie podjął tematu ewentualnego przedłużenia układu SALT I, który wygasa 3 października br. Znaczy to, że po obu stronach jest nadzieja na wypracowanie przed tym terminem nowego tekstu układu, który ma zastąpić porozumienie z 1972 roku.

Prace przygotowawcze toczyć się będą w Genewie. Jeśli wierzyć niedyskrecjom obserwatorów — nowe porozumienie uzupełnione będzie dodatkowym protokołem, regulującym techniczne szczegóły ograniczenia

zbrojeń oraz ustaleniami co do ogólnych kierunków dalszych rozmów.

W Hiszpanii 24 bm. rozpoczęła się kampania przed wyborami parlamentarnymi, które — przypominamy tę datę — odbędzie się 15 czerwca. Przez trzy tygodnie partie prezentować będą wyborcom swą politykę. 23 miliony Hiszpanów, uprawnionych do głosowania, będzie musiało dokonać wyboru spośród kandydatów partii, co przyjdzie im tym trudniej, że przez długie lata frankistowskiej dyktatury utrzymywani byli „w stanie politycznej ignorancji”.

Układ sił w Hiszpanii jest obecnie taki, że najwięcej szans daje się chadecji — tej jej części, która popiera reformy Suareza. Na lewo od niej są przede wszystkim komunisty, na prawo — zwolennicy kontynuacji rządów frankistowskich. Tym ostatnim nie rokuje się pełniejszego poparcia wyborców. Przegrali oni w referendum (w grudniu ub. roku), gdyż tylko 2,6 proc. wyborców zajęło ich stanowisko negowania reform.

Opozycja z lewa zmierza do głębokich przemian, podczas gdy rząd Suareza steruje wyraźnie w kierunku ustroju burżuazyjno-parlamentarnego. Ten kierunek zmian nie wydaje się być zagrożony. Skrajna prawica, choć może nie raz jeszcze prowokować, nie będzie miała dość sił, aby zawrócić bieg wydarzeń.

W. SLAWSKI

FILM

JEANNE PRZED I ZA KAMERA

W filmie „Światło” Jeanne Moreau występuje w podwójnej roli — jako aktorka i jako reżyserka. Tym samym wzbogaciła o jedno nazwisko bardzo skromną listę pań stających z drugiej strony filmowej kamery. Wcześniej, aniżeli Jeanne Moreau zrobiła to Anna Karina. Aktorska kariera obu pań związana jest z tzw. nową falą, która ożywiła, nie na długo zresztą, francuskie kino końca lat pięćdziesiątych. Nazwisko Anny Kariny łączymy głównie z filmami Jean-Luc Godarda, Jeanne Moreau, aktorka Komedi Francuskiej i kilku niezbyt ciekawych filmów, swą pierwszą dużą rolę filmową zagrała w „Kochankach” Louis Malle’a. Było to w 1957 roku. Potem przyszyły kreacje w takich między innymi filmach, jak „Moderato cantabile” Petera Brooka, „Jules i Jim” Francois Trauffauta i „Noc” Michelangelo Antonioniego. Jeanne Moreau zaczęła fascynować swą osobowością publiczność na całym świecie.

Stając za kamerą Moreau nie zrezygnowała jednak z głównego miejsca z drugiej jej strony. A to dlatego, że „Światło” przez nią reżyserowane jest właściwie intymnym dziennikiem Jeanne — kobiety i aktorki. To film o niej i o jej świecie. Szczególny ekslibisz „Światła” wypływa przy tym z określonej, bardzo kobiecej postawy i kobiecego sposobu manifestowania myśli i przeżyć.

„Światło” to bardzo smutny film — opowieść o pozorach i pustce, która wypełnia się właśnie tymi pozorami, opowieść o życiu, w którym wszystko jest gra. Jest to życie szczególne, bo owa gra i ciągłym zmianami ról determinowane. Wielką gwiazdą filmowa, której w tej opowieści na imię Sarah, może o tym nie wie. Wie jednak Jeanne Moreau, tym razem próbująca zgłębić i pokazać zarówno mechanizmy tego procesu, jak i jego przejawy.

Oglądając ten film nie można oprzeć się wrażeniu, że ma się do czynienia z czymś bardzo kiczowatym, w trakcie jednak pogłębiania się tego wrażenia przychodzi refleksja, iż jest to kicz programowy, oddający to, o co autorka filmu przede wszystkim chodzi. To między innymi właśnie świat kina narzuca ten styl bycia, nie tylko zresztą tym, którzy tkwią w nim zawodowo, choć im na pewno jeszcze trudniej rozgraniczać to, co autentyczne od tego, co jest tylko zewnętrznym pozorem i manifestacją. Sarah gra wszystko — miłość, cierpienie, rozpacz, przyjaźń. Czyny to nawet wówczas, gdy w uczuciach tych jest prawdziwa. Nie potrafi już inaczej, a może wie, że partnerzy bądź adresaci tych uczuć są tylko dobrymi ich odwrotnościami, że trzeba bardzo dobrze grać, by w tej grze być lepszym i zwyciężyć w konkurencji, nawet jeśli jest to bardzo smutne zwycięstwo.

Oglądając ten film nie wierzy się ani w manifestowane wobec Sarah uczucia kolejnych mężczyzn jej życia, ani w jej miłość do nich. Wymyślamy czule przez nią pielęgnowanym, wydaje się również nieco dziwne przyjaźni z lekarzem. To miało być to coś twarzone w jej życiu, w czego bezinteresowność mogła wzbudzić. Bo i wiara nie mogła już jej towarzyszyć w kontaktach z przyjaciółkami. Ten watek jest zresztą w filmie Moreau najbardziej interesujący, tym bardziej że tak rzadko przez reżyserów — mężczyzn jest podejmowany. Układy istniejące wewnątrz świata kobiet interesują jedynie Ingmara Bergmana, próbował w nich rozwinąć również Michelangelo Antonioni. Obaj zresztą z wielkim powodzeniem. Jeanne Moreau nie powiedziała o świecie tym nie powiedziała, uchylając jednak trochę zasłony, dała także nieco do myślenia namom świata tego. Nie wiem tylko, czy to dostarcza i czy rozumieją. Poniekąd na pewno, jeśli sędzić z recenzji mezo ulubionej krytyka, Rafała Marszałka, zamieszczonej w jednym z ostatnich numerów „Literatury”.

Wiele w filmie „Światło” jest danych, by móc wierzyć, że jest to osobista wypowiedź wielkiej gwiazdy współczesnego kina, pani Jeanne Moreau, która zdobywa się nawet na to, by w wielu scenach okazać się bez makijażu. Pokazuje się tak obok Lucii Bose, która zagrała w filmie przyjaciółki role prawie ze swego życia, przydając całej opowieści znamiona autentyzmu. W świetle tego, co wyżej zostało powiedziane, można w szczerść tego wszystkiego, co film ten nam pokazuje, nie wierzyć. Ponieważ, jak mi się zdaje, znam jednak trochę kobiety bardzo mi, tak po kobiecemu, żal Jeanne Moreau. Okazuje się, że i w świecie jest ciemno.

EWA NURCZYŃSKA

KSIĄŻKI W DRUKU

VII

Należć pisać:

„Niech mój amicis pakuje swój dobytek a szybko i przybywa na miejsce przeznaczenia. Nazwa geograficzna — Szklarska Poręba — za Jelenią Górą w Sudetach. Dyplom uniwersytecki mile widziany. Spieszcie Ci donieść, że w tych stronach prac szuka człowieka i nie zawsze znajduje, ale na ciebie trafi, obiecuję ci to, bo ty jesteś pracus, wyglądasz nie znaczy jak się okazuje. Występuję w charakterze państwowej damy do towarzystwa w domu czasowym, czego i Tobie życzę. Wikt znakomity, obsługa jeszcze przedwojenna, ale to nie dotyczy dziewcząt do mniejszych posług. Skończył się czas żołnierszy przyszłości teraz w rękach pionierów grunt się dobrze zagospodarował. Im mniej ze sobą weźmiesz, tym więcej zdobędziesz na miejscu. Przed wyjazdem skorzystaj z poczy i pchnij telegram, abym nie był zaskoczony i mógł Cię godnie przywitać. Ścisłkam Ci serdecznie Wiktor Ksawery Należć semper fidelis”.

— Dobrze wiadomości?
— Bardzo dobre, pani Mario, bardzo. Dostałem pracę na Ziemiach Odzyskanych.

Pani Maria próbuje się uśmiechnąć, ale w gruncie rzeczy posmutniała. Nie chce zostać sama. Karolowi także nielekką, broni się jednak jak może przed uczuciem, którego nie umie nazwać, ale to przywiązanie, szczerze i mocne.

— Kiedy pan Karol wyjeżdża?
— Powinno ruszyć się natychmiast, dobra praca nie czeka.

Karol długo szukał dachu nad głową, po pamiętnych wydarzeniach w stróżówce. Śródmieście, obłożone przez zamożniejszych studentów, a i uczniów szkół średnich, nie wchodziło w grę, budżet Karola z reguły nie wytrzymywał większych wydatków. Owszem, trafił mu się wspaniały pokój, własne biurko, tańczący niemal z puchu, szafa godna książkowej garderoby, kryształowy świecznik, wizerunki pań swawolnych na ścianach i plafonie, a nawet łazienka, wyłożona szlachetnym kamieniem. Właściciele, powiedzcie nie można, całkiem sympatyczni, a przede wszystkim zajęci mnożeniem milionów (krawaty, nylonowe bluzki, klipsy, amerykańskie ciuchy) w ogóle nie żądali komornego, żądali natomiast duszpasterskiej bez mała opieki nad dobiegającą córką. Pan, jako student znakomity, a wiemy o tym od docenta specjalisty w prawie spółdzielczym — współpracujemy z nim zgodnie, choć sektory nasze różne, no więc pan jako student znakomity pomoże dziecku w przedmiotach humanistycznych, bo liczyć to ona umie, i nada, że tak powiem kierunek ogólny, ale bez polityki, bardzo proszę, bo to się zmieni, chyba jasne pałdwa? Ideały, konieczne dużo ideałów, podniosłych, szczytnych. Jak ofiarność, lege artis w postępowaniu oszczędność, cnoty towarzyskie, uczciwość w sprzedaży atrakcyjnych towarów. Ewunia nie ma jeszcze doświadczenia, jest niewątpliwie jeszcze dziecina, ale zdolna. Ewunia oświadczyła Karolowi już pierwszego dnia, że opowiada się zdecydowanie za swobodnym wyborem partnera drugiej nocy wybrała swojego preceptora i pakowała mu się do łóżka, a skoro tylko nadszedł dzień, Karol, czysty moralnie i zmechny, ruszył na poszukiwanie nowego dachu nad głową.

— Bedzie mi pana brakowało. Bardzo, panie Karolu, pan mi zastępuje syna, pustą tu będzie.

Karol próbuje opamiętać wzruszenie. Do pani Marii trafił przypadkowo, tego nie można inaczej nazwać przypadkiem, zwykły przypadek. Wcześniej mieszkał przez pewien czas u Nowaków w południowej części miasta, zwanego Chojnami, niedaleko cmentarza. Pokoik miał maleńki i ciasny, w sam raz dla większego krasnoludka. Okno wychodziło na ogródek. Na skrzyżowaniu łóżku, w zatechłych pluszaku pani Nowakowej, zdołał się z trudem przygotować do głównego egzaminu z historii socjologii. Z trudem, gdyż gospodyni — chwiała jej za to — nie żądała wiele za pokoik, żądała jednak absolutnego postuszeństwa. Pan Karol nie za bardzo wierzący, co? No to ja go nawrócę, wszystkich pięciu synów, co mają dobre posady rządowe, wychowałam w wierze katolickiej, to pana wychowam. Najpierw pan Karol musi sobie przypomnieć, że ważne jest życie wieczne, a nie doczesne. Ma kogoś bliskiego na cmentarzu? Nie ma? Nie nie szkodzi, to sobie pan Karol sam znajdzie, ale szybko i nie bogacza, bogacze przekupują i są przekupni, ubożego trzeba sobie wypatrzyć. Poszedł więc Karol na cmentarz i wybrał sobie grób stolarza, może dlatego, że pamiętał zapach schnącego drewna, może przekonał go nagrobek — krótką była jego życia skromna droga, dziś prosi jego życia dusza o westchnienie do Boga. Zgodnie z życzeniem pani Nowakowej strzegł pilnie grobu, kładł o jakis czas świeże kwiaty, palił świeczki każdej niedzieli i w ten sposób zyskiwał życiowość duszy zmarłego nie dokładając ani grosza

do tych świadczeń, kwiatów i świeczek dostarczała mu gospodyni. Karol polubił skromny cmentarz, zastąpił pewnie na wdzięczność i innych dusz, ponieważ dbał także o kilka sąsiednich grobów, Elżbiety, która zmarła tragicznie w kwiecie wieku Jerzyka, który zginął w wypadku sierżanta poległego na posterunku.

— Ja także bardzo się do pani przywiązałem i, szczerze mówiąc, wolałbym stąd nie wyjeżdżać.

— Czemu w takim razie?
— Nie ma tu dla mnie miejsca.
— Pracy nie ma dla pana?
— Miejsca, pani Mario, jestem źle widziany.

Życie doczesne u pani Nowakowej, może i nieważne, było jednak ciężkie i męczące. Jakże bezlitosny okazał się, sprzątanie, na śniadanie czarna kawa i razowiec, nie lepszego nie da się i tak wymyślić, po śniadaniu ćwiczenia — marsz przyspieszony w granicach dziesięciu kilometrów głębokie rozpoznanie terenu, gdzie jakiś odpowiedni sklep, gdzie dobra knajpa, co i za ile można kupić, a przede wszystkim dobrze zjeść. Wojny wygrywa się właściwym stosunkiem do kuchni, nieprzyjaciół zawsze może poczekać, a jak nie może, to my, synu leguna, skokami, tyralerą na niego. Pozycję zmieniać często, bo to myli wroga, jeden, dwa, góra trzy obiady w jednym miejscu i odskok do następnej kuchni, w danym wypadku knajpy. Dopitka w domu. Po obiedzie lektura. Od siemdemnastego zero, zero można studio-

uważał wchodzącej pani Marii, mi terweniował dopiero wtedy, gdy się pokłękła przy wyjściu i upadła. Karol mógł pani Marii podnieść się i odeprzeć ją do domu, w drodze pojechał się ze śledziami i cukrem, a nawet jajami, były akurat. Został na obiedzie, następnego dnia przeniósł wszystkie swoje dobra doczesne. Początkowo przypuszczał tylko tyle, że dostał się do rajy. Płacił nieco symbolicznie czynsz, zarabiał wystarczająco korepetycjami z języków polskiego, niemieckiego i łaciny, pisał spokojnie pracę magisterską i przygotowywał się starannie do egzaminu końcowego. Wieczorami słuchał uważnie opowieści rodzinnych pani Marii. Siadali w starych fotelach przy herbacie, pani Maria sztydelkowała i mówiła z dokładnością wierszowego kronikarza. Najpierw były dobre lata, Maciej, mąż i nieboszczyk niestety, ściągnął do miasta po pierwszej wojnie światowej wprost z opoczyńskich piasków. Poznali się podczas niedzielnej zabawy w lasku na Brusie, walce wtedy były modne, polki, sztajerki, ale i chiopskie oberki, czy kujawiaczki, oświadczył się z fantazją, najpierw wygrał konkurs na najbliższego w uderzeniu młotem... ten domek stawiał już razem, skończyli w dwudziestym ósmym podczas koniunktury, pan Karol wie co to jest koniunktura, robotnicy modlili się do niej. A po koniunkturze przyszły chude lata, Maciej wyuczył się koloniarzkiego fachu, ja tam nie skozyłam wyżej zwykłej tkacki, syn się urodził wcześniej, w maju, dokładnie na początku zamachu Piłsudskiego, szóstego maja, mądry był chłopiec, pan mój trochę przypomina, śladzie cichutko przy nogach matki i słucha, kto wie, może byście nawet razem studiowali? A Maciej poszedł w trzydziestym trzecim otwarcie na jednolity front, jeździł do chłopów w opoczyńskie, agiował między Zduńska Wola i Sieradżem, obrywał do brzo, zawsze się kończyło u znajomego lekarza, do szpitala go nie chcieli, kurował się i uczył na tym łóżku, później spał na nim syn, a pan teraz. No więc po trzydziestym trzecim przyszły bardzo złe lata, było się z ogródka, krewnych na wsi i z pomocą związkowych. Maciej wybrał się do Hiszpanii w systemach filozoficznych, trzeba wrzeszcze mówić te zwykłe słowa — z mojego domu na pół godziny do pracy, dziesięć minut do parku i kina, trzy minuty do rzeźnika. Nie o to już chodzi. Nie mogę stracić tego miasta, ponieważ tu usłyszałem proste słowa — jest robota, maszyny ruszyły, w tym mieście powiedziała mi maleńka dziewczynka — ja ciebie nigdy nie opuszczę, wujciu, najpiękniejsze słowa werniela.

Karol mieszkał w pokoju syna pani Marii. Snuł ambitne plany. Nie, nie może stracić tego miasta — tak postanowił przed rokiem — i tu już nie o to chodzi, że przecież trzeba żyć gdzieś na stałe, trzeba mieć trwały dom, to tak ważne jak główne punkty odniesienia w systemach filozoficznych, trzeba wrzeszcze mówić te zwykłe słowa — z mojego domu na pół godziny do pracy, dziesięć minut do parku i kina, trzy minuty do rzeźnika. Nie o to już chodzi. Nie mogę stracić tego miasta, ponieważ tu usłyszałem proste słowa — jest robota, maszyny ruszyły, w tym mieście powiedziała mi maleńka dziewczynka — ja ciebie nigdy nie opuszczę, wujciu, najpiękniejsze słowa werniela.

— Pamiętam wszystko, pani Mario.
— Wtedy coś mi powiedziało, że pan jest porządnym człowiekiem. Śledzi ostrzegali mnie, młody i obcy człowiek u starej kobiety? I jeszcze gorsze rzeczy mówił.
— Pewnie, że pania ograbię i ucieknę, co?
— Właśnie, a pan pomaga ich dzieciom w lekcjach prawie za darmo.
Dopiero przed kilku miesiącami zaczęły dręczyć Karola wyrzuty sumienia. Wstydził się trochę już wcześniej, że pani Maria dokarmia go na swój rachunek. Bywał często głodny, fakt nie do ukrycia, wracał na daleką Manię rozklekotaną trzynastką, tramwajem ubogich i gotów był rzucić się na suchy chleb, dostawał pierogi z mięsem, ulubioną kaszę gryczaną, kiszonce ogórki, placki ziemniaczane, czasem smaczne ciasto. Pani Maria przystawała w drzwiach kuchni i mówiła — mój chłopiec dzisiaj przy acetylcie, napracował się pewnie. Karol uświadomił sobie któregoś dnia, że są to słowa jego matki, a może wszystkich? Pewnej niedzieli, o porannej godzinie, kiedy wstał nie bardzo przytomny po lekturze socjologów niemieckich, znalazł na krześle świeżo wyprana i wyprasowana koszula, a potem już regularnie znajdował koszule, skarpetki, spodnia bielizna, niekiedy nowa, prosto ze sklepu. Jak u własnej matki. Dojadanie na koszt pani Marii można było jakoś znieść. Karol pracował chętnie w ogrodzie, zbierał jesienną jabłka i sliwy, zrywał ogórki, pomidory jak kiedyś u swojej matki, czwóćci gasiory i słoje na złote wino, słoiki marnataty, rabal drzewo w komórcie, reperował nawet dach przed jesiennymi słońcami i w ten sposób wyrównywał jakoś rachunki.

Wiesław Jazdyński przygody źle urodzonego studenta



Rys. Janusz Szymański-Glanc

zywał się Bóg, w którego wierzyła. Przede wszystkim nie uznawał bezrobocia a nawet przerw w pracy. Pan nasz najwięcej nie lubi nudy, człowiek zajęty pożyteczną robotą nie grzeszy, pan Karol pójdzie postoi w ogonku, kupi, przyniesie do domu, narabie, napali, przybije, posprząta, dopilnuje, żeby się nie przy-palilo, skopie, zagrabi, nazrywa, o-bierze, pokroi, skurzy, wytnie, po-zbiera, a posiedzieć nad książką też może byle nie za długo, od myślenie boli głowa, ilość prac, które Karol wykonywał, zależała od aktualnego stanu układu trawicznego pani Nowakowej. Jeżeli tylko wytworzył się jakies kwasy albo — nie daj Bóg gazy, przyszła męcząca czkawka albo zgaga, worek z poleceniami wysypywał się tak szybko, że Karol nie nadążał. Nowakowa uspokajała tylko rozaniec, ale rzucała go za każdym razem w inne miejsce i trudno go było szybko znaleźć.

— Zaparzę herbaty, wypijemy sobie jak zawsze, jakby się nie nie stało, dobrze?
— Bardzo proszę.
— A będzie pan do mnie pisywał?
— Zawsze, pani Mario, co tydzień długi list.

Pani Nowakowa zdecydowała pewnego dnia, że kupi krowę. Czasu na się pewnie, zwrócone przeciw Bogu, więc normalna rzecz koleja mściwy Bóg Nowakowej zwrócił się przeciw ludziom i mleka pewnie nie będzie. Tylko oborkę postawić, miejsca nie brakuje i wyprowadzać krówkę na podmiejskie łaki. Karol ucieki, miał dosyć roli lokaja, a co? donioer pastuszka i trafił po kilku dniach u-laczki (nocował u kolegów) do emerytowanego kapitana piechoty, gdzie przez jakiś czas stosował się nolen-velens do regulaminu służby królowej bronii i niezwykłych obyczajów gospodarza. Syn starego leguna? A toś mi, chłopie, jak rodzony syn, damy sobie rade, sitwesy jeszcze nie powymieraly, Marszałka chwala, a pracują przeważnie w zaopatrzaniu, narodowej intendencurze. Pobudka o szóstej, wojny na razie nie ma, potralokuję się więc, ulgowo, sianie ió-

wać tykając antykomunistyczne pi gułki.

— Gdzie ja dostanę takiej dobrej herbaty, pani Mario?

— Komu ja ją będę parzyła, wszyscy mnie rzucają, najpierw mąż po nim syn, teraz pan odchodzi.

— Ufam, że to co było dobre zawsze może wrócić.

Kapitana piechoty zabrano wprost z knajpy do szpitala.

— Wie pan co, panie Karolu? Pomyslałam sobie, że mogę przecież panu pomóc. Tu, na miejscu, jestem wdową po rewolucjonście, matka żołnierza, który poległ za naszą ludową Polskę, sama też brałam udział w walce z faszysmem. Muszą się liczyć z moim zdaniem.

— Bardzo pani dziękuję, ale nie się już chyba nie da zrobić.

— Przepraszam... pan coś przeszkrobał?

— Skądże, jestem podejrzany o to, że właśnie nie przeszkrobałem, bo powinienem. Czy pani mnie rozumie?

— Niezupełnie. A dlaczego powinien pan przeszkrobać?

— Widzi pani, to jest tak: jak ktoś miał wielką fabrykę, po co zresztą mówić w czasie przeszłym. Jak ktoś ma młyn, ponad dwadzieścia hektarów ziemi, prywatny interes czy krewnych za granicą to powinien coś przeszkrobać.

— Ale pan przecież nie jest właścicielem młyna, hektarów, czy prywatnego interesu.

— Mam za to nieżyjącego ojca, który wybrał się z szablą w złym kierunku, nieżyjącego brata, który zdradził i krewnych za granicą. A to bardzo kiepski kapitał, pani Mario, mocno podejrzany.

— Zdaje się, że teraz rozumiem, ale pan się chyba myli, odpowiada się tylko za siebie. Pamięta pan tę awanturę w sklepie?

Karol stał w ogonku przed wejściem do sklepu, czekał na śledzie i cukier, trochę rozmarzony perspektywą znakomitych dań, które sobie przyrzadził dodając cebuli, cienko krajanych ziemniaków prosto z patelni, nie mówiąc już o nożu i widelcu, które sobie sprawił. Nie za-

(cdn.)



IRZYKOWSKI

Ktoś niedawno napisał o Karolu Irzykowskim, że dziś jego pisarstwo straciło dawnych przeciwników, ale nie zyskało nowych przyjaciół i zwolenników. Dobrze jednak, że Wydawnictwo Literackie publikuje „Pisma” tego wybitnego pisarza i krytyka. Jego dorobek wart jest bowiem przypomnienia.

Irzykowski nie doceniany był przez całe życie; nie bardo „Pisma” zdaje się temu przeciwić. Ale książki Irzykowskiego — mimo małego, 5-tygodniowego nakładu — nie znajdują zbyt wielu nabywców. Także i dziś jest to bowiem pisarz trudny.

Była zresztą w jego twórczości zdumiewająca dwoistość. Stworzył przecież, jeszcze przed „Ulissesem”, i to na dwa dziesięcia lat przed Joyce'em — nowy typ prozy... Był krytykiem na miarę Stanisława Brzozowskiego, takim, jakiego ani przed nim, ani po nim polska literatura nie wydała.

A jednocześnie pisał słabe wiersze i niekawkę dramaty, które znajdowały się w niejkiej sprzeczności z wysokimi wymaganiami stawianymi literaturze w publikacjach teoretycznych Irzykowskiego. Ta właśnie dwoistość i niekonsekwencja naraziły go na żarty i lekceważenie. Wydany ostatnio tom Karola Irzykowskiego „Wiersze i dramaty” świadczy o tej słabości wybitnego pisarza. Dziś jest to już dokument literacki, który czytamy ze zdumieniem, a czasem z rozbrawieniem. Wiemy dziś bowiem, że te wtórne i niekawkę wiersze powstawały niemal równocześnie z nowatorską „Palubą”, która w dziejach światowej prozy otworzyła zupełnie nowy rozdział. Zdumiewająca to była osobowość — nieprzeciętna twórczość. Mimo tej dwoistości, a może dzięki niej.

Karol Irzykowski — „Pisma”. Wyd. Literackie, cena 50 zł.

BENEFIS KONSPIRATORA

Jest to kolejne, trzecie wydanie książki, która na chłonnym wobec literatury pamiętnikarskiej, ale jednocześnie wymagającym polskim rynku czytelnicy zyskała sobie zasłużone zainteresowanie. Wśród wielu czynników jakie się na ten fakt złożyły, na uwagę zasługuje jeden szczególnie aspekt.

Otoż jest to zapis niepowtarzalny. Realizm i surowa wymowa Wydan nadają owej opowieści szczególną powagę. Był Stanisław Tomaszewski jednym z wielu uczestników, setek tysięcy Polaków, których klęska wrześniowa i lata wojny postawiły wobec rozstrzygnięć i wyborów zasadniczych. Droga różny, często baktu odcinanych, niezręcznie przypadkowych kontaktów czy wzgl. osobistych Polacy znajdowali się w szeregu polskiej konspiracji antyhitlerowskiej. Stawali się żołnierzami podziemia — Polscy Walczący.

Mamy też w „Benefis konspiratora” trudny, ale jakże wymowny epizod przełomu wojny i pokoju. Był to dla wielu ludzi z szeregu Armii Krajowej trudny czas decyzji. Przychodziło im w jakże dokłdy sposób rozstrawić się z całym światem poje, w których pozostawali przez cały okres wojny. Ostatnie karty wspomnień podejmują ten tragiczny, trudny wątek. Nie może i nie powinien on ujęć uwadze czytelnika. Wiele bowiem można zrozumieć i wyczytać w tym krótkim, zwartym tekście o prawdziwych ludzkich losów i drog.

Lektura książki Stanisława Miedzy-Tomaszewskiego jest pouczająca, wartościowa, a jednocześnie porwijająca nie zwykłą siłą zdarzeń, skalą ludzkich doświadczeń. Jest wielce interesującym przyczynkiem do naszych narodowych losów w tym najtrudniejszym rozdziale dziejów Polski.

Stanisław Miedza-Tomaszewski — „Benefis konspiratora”, Czytelnik, cena 42 zł.

Z SERII LEKSYKONÓW LITERACKICH

„Mały Słownik Pisarzy Węgierskich” jest dziesiątą — niejako jubileuszową publikacją z serii leksykonów literackich. Przypomnijmy więc, że Wiedza Powszechna wydała już małe encyklopedie pisarskie narodów europejskich Związku Radzieckiego, obszaru językowego angielskiego, niemieckiego, francuskiego, zachodnio- i południowostowiańskiego. A ponadto otrzymaliśmy już słowniki pisarzy włoskich, rumuńskich, i — ostatnio — węgierskich!

Swoistą ciekawostką jest także fakt, że wydany przed jedenastu laty słownik pisarzy polskich doprowadzony jest tylko do narodzin Drugiej Rzeczypospolitej. Zapowiadany od lat tom drugi nadal znajduje się w stadium przygotowań.

Natomiast „Słownik Pisarzy Węgierskich”, zawierający około 200 haseł, jest pierwszą w Polsce edycją leksykonową ukazującą w syntetycznym skrócie dorobek literacki Węgrów, z którymi od wieków łączą Polaków więzy szczerzej przyjaźni. Hasła te zawierają zarówno informacje o pisarzach, jak również o kierunkach ideowo-literackich oraz czasopiśmie, które odegrały ważną rolę w życiu literackim narodu węgierskiego.

„Mały Słownik Pisarzy Węgierskich”, Wiedza Powszechna 1977, cena 45 zł.

IMPERIUM TYSIĄCA BOGÓW

Hetyci zniknęli z historii. Odeszli z życia dokładnie i nieodwołalnie Państwo Środka wciąż istnieje, choć wymarło w nim więcej niż tysiąc pokoleń. Nawet do Inków i Azteków przynajmniej się ich ludobójcy. Nawet Prusom przedziwili życie ich mordery — przybierając imię wyteplonego przez siebie narodu.

Do Hetytów nie przynali się nikt. Może właśnie dlatego zafascynował ten naród — a może raczej jego legenda — Jana Alfreda Szczepańskiego? Powstała w ten sposób książka o imperium tysiąca bogów, o ludzi, który żył przed tysiącami lat. Nie jest to może książka zbyt łatwa w odbiorze, powstała przecież z cegiełek wielu publikacji naukowych. Ale jest to książka fascynująca, tak jak fascynujący był ten naród — mądry i pragmatyczny.

Jan Alfred Szczepański — „Imperium tysiąca bogów”. Wyd. Literackie, cena 45 zł.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

LISTY LECHONIA

Poeci wracają po śmierci. Są to powroty tragiczne, ale nieuchronne. Nie zatrzymują ich wówczas żadne bariery uprzedzeń, niechęci i wrogości. Jan Lechoń — jeden z najwybitniejszych poetów dwudziestolecia międzywojennego otworzył okno w nowojorskim hotelu „Hudson” i runął w przepaść ulicy 8 czerwca 1956 roku.

I wrócił. Wtedy właśnie wrócił. Już w roku 1957 „Czytelnik” wydał pierwszy powojenny wybór wierszy Jana Lechonia.

Na pół roku przed samobójczą śmiercią napisał: „Nie zostawaj samotny ani w miejskim huk, odetchniesz wonią lasu i powrócisz wcześniej...”

Powrócił późno do kraju, ale powrócił na stałe. W latach 1963, 1966, 1973 ukazywały się wybory jego wierszy i zawsze szybko znikały z półek księgarskich. Choć przecież był poetą niemoдным. Sam tak pisał o swojej poezji:

„Mówią mi: Nie nie wkrzesi czasu co przeżyty. Wkrótce o nim i pamięć wdróbi młodych się zatrze. Zabierał sobie swoje stare

rekwizyty, Bo nową będą grał sztukę na teatrze”

Cóż robić? Trzeba upić ambrozji się ślacha Co jeszcze mi została z młodzieńczych bankietów.

Wychodzę z różą w ręku, z księżycem pod pachą, A resztę pozostawiam dla nowych poetów”.

Okazało się jednak — po latach — że nowi poeci wracają do starych, romantycznych wzruszeń, że rekwizyty lechoniowej poezji nie spoczęły w literackiej antykwarnej, że „nowe sztuki” grane na teatrze, ożywiane są wciąż tym samym technieniem głębokiego humanizmu, jaki emanuje z wierszy Poety Niemoznego.

Dziś Jan Lechoń wraca także jako epistolograf. Polska literatura zna bowiem Lechonia jako poetę, satyryka i tłumacza... Legendarne są jego „Dzienniki” znane w Polsce zaledwie w fragmentach... Ale nieznaną był dotąd Lechoń jako epistolograf. Niedawno „Czytelnik”, który tak pieczołowicie udostępnia dorobek tego wybitnego poety polskiemu odbiorcy — opublikował zespół listów Le-

chonia do Anny Jackowskiej.

Ta książka odsłania nową, nieznaną dotąd, dziedzinę twórczości świetnego pisarza. Trzy nurty: historia, biografia i literatura stanowią o atrakcyjności tego zbioru. „Każdy z nich z osobna — pisze Roman Loth — wystarczyłyby za uzasadnienie edycji — każdy byłby dostateczną racją, aby teksty te wprowadzić w obieg polskiej kultury. Dlatego też zbiór pięćdziesięciu listów ukazuje się drukiem już dziś — zanim w nie przewidzianej bliżej przyszłości do czytelnika dotrą Jana Lechonia „Listy zebrane”.

Na razie jednak mamy ten skromny zestaw listów wyznaczonych latami 1925—1954. W tych latach mieści się okres intensywnej działalności Lechonia w Paryżu (od 1931 roku) w charakterze attaché kulturalnego ambasady polskiej, mieści się wojna i wojenna wędrówka przez Brazylię do Stanów Zjednoczonych, mieszczą się lata powojenne...

Chyba najciekawsze, poznawczo są listy paryskie. Być może Lechoń nieco przecenił w swoich listach własną rolę w ambasadzie, ale z pewnością

wiele sukcesów propagandowych polskiej kultury w tamtych latach było jego zasługą. Właśnie w roku 1931 miała miejsce w Paryżu polska wystawa teatralna — rok później przygotowane z rozmachem uroczystości szopenowskie, dwa lata później francuskie wydanie „Pana Tadeusza” Paula Cezanne, dwa lata później premiera „Harnasi” Szymanowskiego. To są wszystkie lata, kiedy attaché kulturalnym w Paryżu był poeta Jan Lechoń.

W jednym z ostatnich listów z roku 1946, poeta pisze: „Tutejszy klimat i ośmiomilionowy New York zjadają ludzi jak najgorsze przejęcia...” Dziesięć lat później to miasto, ten obcy klimat pochłonęły polskiego poe.

Jeszcze przed śmiercią napisał „Bajkę warszawską”, właśnie „Bajkę”, bo to miasto było dla niego już tylko baśnią: „Pagadamy o poezji I do miasta wrócić znow”.

I naprawdę wrócił, choć jego ciało spłonęło w nowojorskim krematorium. Wrócił w wierszach i listach. Także w tych, które wydane będą „w nie przewidzianej bliżej przyszłości”.

WIDOK

LEWYM OKIEM

ZE SZCZEGÓLNYM PODKREŚLENIEM

W wielostronnym i bogatym życiu kulturalnym naszego kraju dominują z niesłabnącą tendencją dalszego wzrostu dwa elementy: wielka ilość festiwali, szczególnie piosenkarskich, z których wciąż jeszcze nie chce wniknąć prawdziwe rozspiewanie ani ludności w ogóle, ani nawet młodzieży, której chciałoby się przypisać więcej radości życia i chęci manifestowania tej radości; oraz — nie mniej wielka ilość konkursów literackich, ogłaszanych przez najróżniejsze instytucje, a przede wszystkim przez rejonowe, lokalne władze administracyjne.

Czesi i Niemcy — niewątpliwie mniej rozprawiają o piosenkach, nie organizują nawet sumnych, a kosztownych festiwali z akredytowaniem całych batalionów wyjadaczy dziennikarskich, za to o ilez chętniej, piękniej i częściej śpiewają. Ale o tym już mówiło się mnóstwo razy. O konkursach literackich mówi się znacznie mniej, a i to tylko w wazlutkim środowisku ludzi bezpośrednio zainteresowanych, to znaczy piszących. Czytająca publiczność nie interesuje się konkursami zupełnie, nie wiąże

z nimi żadnych oczekiwań i emocji, jak to ma na przykład miejsce we Francji. W Stanach Zjednoczonych nagroda w konkursie to stokratny wzrost nakładu i majątek dla pisarza. W Paryżu to temat do rozmów we wszystkich kawiarniach na parę tygodni. U nas — wzmianka w gazecie, której nikt nie przeczyta, oraz zdziwione miny w redakcjach i wydawnictwach: pan dostał nagrodę? No to co z tego, to przecież o niczym nie świadczy!

Piszę to, bo przed laty zdarzyło się mojej powieści uzyskać nagrodę w dużym konkursie. Jeszcze wtedy wydawało mi się, że to może o czymś świadczyć, że oto coś się potwierdziło. Ale oczywiście nie świadczyło o niczym i powieść — po kilku takich właśnie rozmowach — nigdy nigdzie się nie ukazała.

Wszystkie województwa po kolei, zwłaszcza te młode, niedawno powstałe, rozpisyują konkursy literackie. Czynniki to także poszczególne miasta i rejony, Ziemia Nadbiebrzańska, Zanotecka i Podgórska. Analogiczna inicjatywę podejmują również najróżniejsze organizacje i instytucje: Związek Kas

Oszczędnościowych, Związek Straży Pożarnych, Towarzystwo Przyjaciół ONZ i Przyjaciół Zwierząt. Chodzą zawsze o powieści, ze szczególnym podkreśleniem”. Mianowicie — żeby mieć szansę na uzyskanie nagrody — należy napisać powieść tak, żeby najpiękniej i najzacieśniej wypadła w niej okolica, objęta administracyjną gestią organizatora konkursu; żeby z tej okolicy pochodził najbardziej pozytywny bohater powieści; żeby właśnie tu żyły tradycje największego i najdawniejszego uświadomienia klasowego. A znow w odniesieniu do konkursów instytucyjnych: żeby najbardziej pozytywny bohater był strażakiem ochotniczym, albo żeby oszczędzał i do oszczędzania namawiał, albo przynajmniej żeby kochał swego najwinniejszego przyjaciela — psa.

Poza państwową nagrodą literacką nie ma chyba żadnej innej, która by nie zależała od spełnienia warunku „szczególnego podkreślenia”. W związku z tym nie od rzeczy może będzie udzielił pisarzom zasadniczej rady, na wieloletnich obserwacjach konkursowego fenomenu opartej. Oto ona: nie

stosuj w pisanej powieści żadnych nazw geograficznych. Wszystkie nazwy miast, rzek ulic i gór, wszystkie imiona własne związane jakoś z terenem akcji — zastępuj kropkami. Nie lokalizuj akcji w terenie zbyt charakterystycznym, na przykład w okolicy pełnej jezior, bo a nuż najbliższym konkurem będzie konkurs na powieść o Górach Sowich, ani w mieście pełnym uroczych kawiarni, bo wkluczysz się z konkursu na powieść o Łodzi. Dobrze jest też nie określać wyraźnie zawodu i przyrzyczejaję głownego bohatera, żeby nie pozabawić się możliwości manewru. Najlepiej opisać perypetie seksualno-mażeńskie, dodać coś o wojnie, samotności i alienacji; puste i wykropkowane miejsca zdążyć uzupełnić po przeczytaniu paru ogłoszeń o konkursach. Inaczej — napiszcie powieść z niezdrówną ambicją, że jest ona dobrą literaturą, chociaż nie pełni serwitutów lokalno-rejonowo - środowiskowych. Będziecie z nią czekać nie wiem na co, albowiem z otrzymania nagrody konkursowej nie wynika nic oprócz nagrody, a z napisania dobrej powieści — w ogóle nic.

CWIEK

PROPOZYCJE

RUPIECIE

„Express Ilustrowany” doniósł, że w Łodzi zakończono „wiosenną akcję wywozu rupieci z terenów posesji mieszkaniowych”. Pomijając już precyzyjność tego sformułowania — z którego nie bardzo wiadomo, skąd te rupiecie wywożono, albowiem „teren posesji mieszkaniowej” może w żargonie urzędniczym coś i znaczyć, w języku polskim jest to tylko zgrabnym belkotem — warto dłużej zatrzymać się nad tym rewelacyjno-wiosennym doniesieniem. Wynika z niego, że w Łodzi wywieziono tysiąc ton rupieci.

„Najlepiej” — donosi „Express Ilustrowany” — w tegorocznej akcji spisywały się Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej z Górnej i Widzawska”. A najlepiej dlatego, że z tych dzielnic „wywieziono aż 500 ton rupieci”.

Być może zasługa przedsiębiorstw gospodarki komunalnej jest wielka, bo zgodnie z tradycją włączają się do wiosennych porządków i dlatego należy się im za to pochwalać. ale jest w doniesieniu „Expressu Ilustrowanego” zdanie, które zmusić powinno każdego do zastanowienia. Oto ono:

„Ponadto MPO wywoziło jeszcze 200 t rupieci przy okazji porządkowania otoczenia perzoli (często lokatory obok śmietnika umieszczają usuwane z mieszkań niepotrzebne już sprzęty i meble), a administracje lokalskich spółdzielni mieszkaniowych umożliwiły swym lokatorom pozbycia się 40 t rupieci”.

Wiec, jak to jest? Przez cały rok sprzęty i meble stoją obok śmietnika i czekają na wiosenne porządki? I czy administracje lokalskich spółdzielni mieszkaniowych, zasłużyły się tylko tym, że „umożliwiły swym lokatorom pozbycie się 40 ton rupieci”?

Czy to jest coś aż tak nadzwyczajnego? Swego czasu na łamach „Odgłosów” Cwiek zapytywał w felietonie, co zrobić ze starą lodówką, kiedy kupiło się nową? Najprościej wystawić ją na śmietnik. Ale okazuje się, że to nie jest takie proste, bo lodówka będzie stała aż do wiosennych porządków. Kiedyś rupiecie można było wyrzucić na strych. W nowych blokach strychów już nie ma. Za 50 lat, kiedy być może znow zapanuje moda retro, nie będzie gdzie szukać „staroci”, nie będzie czym szokować, bo nie ma strychów i nie ma gdzie przechowywać sprzętów i mebli, którymi ktoś kiedyś zainteresował się. A zresztą, czy tym warto będzie się interesować?

Nie płacę nad nie istniejącymi strychami. Nie namawiam do gromadzenia rupieci, ale też nie wydam mi się, aby problem nie wymagał jakiegos sensownego rozwiązania. Starej szafy nie spali się pod kaloryferami, można ją wynieść tylko na śmietnik. A co zrobić ze starym radiem? Co zrobić z wieloma innymi rzeczami, które już swoje odsłużyły i musza ustąpić miejsca sprzętom i rzeczom bardziej nowoczesnym,

choć jeszcze są sprawne i mogłyby przydać się komuś. Gdzie tego kogoś szukać?

Prowadziłem kiedyś bardzo teoretyczną dyskusję na temat konieczności wypierniacznych urządzeń przez nowe i bardziej nowoczesne. Byłem przekonany, że jest to proces prawidłowy. Iako, że fabryki produkują nieprzerwanie i reperowanie „staroci” nie zawsze już się opłaca. Wymyśliłem więc, że gdybyśmy mieli w Łodzi „rupeciarnię”, to byłoby to miejsce, gdzie można by było przynieść swoje „staroci” i za niewielką opłatą, w zależności od rodzaju i ilości, uzyskać za nie „rupiec” — to jest, w naszym przypadku, za złote. Wymyśliłem to, bo widziałem, że w Łodzi jest wiele „rupeciarni”, które w rzeczywistości są tylko miejscami, gdzie można przynieść swoje „staroci” i za niewielką opłatą, w zależności od rodzaju i ilości, uzyskać za nie „rupiec” — to jest, w naszym przypadku, za złote.

Mojej koleżance redakcyjnej popuła się suszarka do włosów produkcji NRD i też myśli o kupnie nowej, gdyż nie ma części zamiennych. — Ale, co zrobić ze starą? — pyta. — Na śmietnik ją wyrzucić? Mogłabym ją przecież sprzedać na części. Przydałyby się dla innych.

Ja sam mam budzik, który nie budzi, bo coś w nim się zepsuło, a poza tym bardzo dobrze chodzi. Reperowałem go już dwukrotnie i trzecia naprawa nie opłaci się. Kupiłem więc nowy budzik, który mi dobrze służy,

ale co mam robić ze starym? Może ktoś wzięby go na części, ale kto? Gdzie go szukać?

To, co dla mnie już jest rupieciami mogłoby jeszcze służyć innym. Nadal uważam, że w niektórych konkretnych wypadkach stary sprzęt powinien być wypierniany przez nowoczesniejszy, bo takie są prawidłowości postępu. Ale z tego wcale nie wynika, że coś, co już jest dla mnie niepotrzebne, powinno stanąć pod śmietnikiem. Myślę, że nie stać nas na taki luksus, aby cokolwiek marnować. Nawet w krajach wysoko rozwiniętych przemysłowo, gdzie tempo wypierniaczki rzeczy starych przez nowoczesniejsze jest znacznie szybsze, są ludzie, którzy zajmują się zbieraniem „rupieci”. My natomiast w znacznym stopniu marnujemy złom, papier, szmaty, drewno, przeróżne części do przeróżnych aparatów i wiele innego dobra, które można byłoby jeszcze wykorzystać.

Nie wiem, jakie to rupiecie w ilości przeszło tysiąca ton wywieziono z Łodzi i co z nimi zrobiono. Autor notatki w „Expressie Ilustrowanym” ukrywający się pod literką (m) nie raczył się nad tym zastanowić. Dla niego rewelacja był sam fakt, że wywieziono tysiąc ton. Ale co z tego? Jakże stać wnioski? Myślenie trzeba przy każdej okazji.

MARCIN RODAK

MAGAZYN

NOWE TWARZE POLSKIEJ PIOSENKI

Niedawno zakończył się w Łodzi Ogólnopolski Konkurs Młodych Talentów pn. „Nowe twarze polskiej piosenki”. W tym roku głównym organizatorem Konkursu jest P.P. Estrada Łódzka oraz Stowarzyszenie Muzyki Estradowej.

Koncert galowy poprzedziły wielotygodniowe Warsztaty Estradowe, które były czymś w rodzaju obozu przygotowawczego o charakterze szkoleniowym. Wykładowcami na zajęciach byli wybitni muzycy, kompozytorzy i reżyserzy. Zdajemy sobie sprawę, że Warsztaty Estradowe to jeszcze nie Studium Estradowe oparte o systematyczny program szkoleniowy, ale jest to z pewnością pierwszy krok — w dziedzinie kształcenia młodych kadr piosenkarzy.

W roku bieżącym o laur konkursu „Czterolistna koni-czynka” ubiegali się: Danuta

Stankiewicz, Katarzyna Natkańska, Jan Szyber, Ewa Gawryłowa, Andrzej Thenard, Ryszard Wagner, Danuta Mizgalska, Roman Wojciechowski, Edward Głowacki, Krzysztof Grubiński oraz grupa wokalna „Primo voto”.

Koncert „Nowe twarze polskiej piosenki” reżyserował Janusz Rzeszewski, a w jury zasiadli m. in. Jan Krzyżanowski, szef powołanej niedawno Redakcji Rozrywki Telewizji Polskiej, Zbigniew Adriański, prezes ZAKR, Jan Nągrabiński z Ministerstwa Kultury i Sztuki, Wojciech Trzcinański, kompozytor, Włodzimierz Pospiech, dyrektor Teatru Wielkiego oraz Janusz Rzeszewski i Andrzej Józwiak, dyrektor „Estrady Łódzkiej”.

W koncercie wyróżnili się między innymi Andrzej Thenard, grupa „Primo voto” oraz Roman Wojciechowski i Edward Głowacki — zdobywając

gorący aplauz publiczności. Dziennikarska rzetelność każe nam wszakże stwierdzić, że grupa wokalna „Primo voto” śpiewała na koncercie poniżej swoich możliwości. Wśród śpiewających dziewcząt wyróżniła się natomiast Danuta Mizgalska. Na tle innych piosenkarzek, które niejednokrotnie powlekaly złe, „dancingowe” wzory, Danuta Mizgalska ujęła publiczność liryczną interpretacją swoich piosenek.

Jury, po długich naradach, wyłoniło laureatów galowego koncertu, przyznając „Czterolistne koni-czynki” Andrzejowi Thenardowi z Warszawy i grupie wokalnej „Primo voto”.

Andrzej Thenard działalność piosenkarską rozpoczął przed dziesięciu laty. Na Festiwalu Muzyki Młodzieżowej zdobył w 1968 roku pierwszą nagrodę. Potem współpracował ze Stanem Borysem, następnie z Piotrem Janczerskim i „Bractwem Kurkowym”. Koncertowo wiele w kraju i za granicą — brał też udział w nagraniu dwu longplayów „Bractwa Kurkowego”. Andrzej Thenard jest także kompozytorem, ale od dwu lat próbuje swoich sił jako wokalista, najpierw w Estradzie Rzeszowskiej, a obecnie w Estradzie Stołecznej. Tak więc Andrzej Thenard nie jest co prawda nową twarzą piosenki, ale z pewnością jest nowym głosem.

Natomiast nową propozycją „Estrady Łódzkiej” jest grupa wokalna „Primo voto”, zdobywcy drugiej „Czterolistnej koni-czynki”.

W skład zespołu wchodzi:



Grupa wokalna „Primo Voto”

Ewa Cichocka, znana m. in. z „Pro contry”, Grażyna Piechnat, występująca niegdyś w zespole „Novum” i „Happy End”. Obu panom towarzyszą debiutujący na zawodowej estradzie — Jacek Kolezyński i Stanisław Zieliński. Grupa „Primo voto” powsta-

ła pięć miesięcy temu, ma w repertuarze szereg nowych piosenek, aktualnie przygotowuje się do nagrań radiowych.

Tegoroczny — trzeci już — koncert „Nowe twarze polskiej piosenki” przyniósł więc kilka interesujących propozycji estradowych. Podsumowując je-

go wyniki, przewodniczący jury, szef telewizyjnej rozrywki Jan Krzyżanowski oświadczył, że już od przyszłego roku koncerty „Nowych twarzy” transmitowane będą przez Telewizję.

JERZY WILMAŃSKI

WYPISY ŁÓDZKIE

(8)

OSKAR FLATT

STRZELANIE DO TARCZY I WYBÓR KRÓLA KURKOWEGO

W czasie pierwszej regulacji miast fabrycznych w 1821 roku rząd w układzie zawartym z przybywającymi z zagranicy fabrykantami, w artykule 21 zapewnił im wolność zaprowadzenia Zgromadzenia Strzeleckiego. W Łodzi jednak dopiero w roku 1824 dano początek strzelniczy. Pierwsze strzelanie odbyło się 7 czerwca tegoż roku. W roku 1826 Radca Stanu Rembieliński, będąc obecny przy uroczystości strzeleckiej, zapewnił towarzystwu swoją opiekę. Skutkiem zaburzeń krajowych przez ciąg roku 1831 i 1833 (powstanie listopadowe, przyp. mój — H.R.) uroczystości strzeleckie nie odbywały się. Dopiero po uzyskaniu pozwolenia Rady Administracyjnej (z 11 lipca 1833 r.) do ponownego zebrania się rozwiązano towarzystwa wyznaczone uroczystości strzelecką na rok 1834 i od tego czasu Instytucja ta, wspierana sympatią mieszkańców, znajduje się na drodze ciągłego postępu. W tym czasie nową nadano towarzystwu ustawę, powiększono liczbę jego członków, podniosły się fundusze towarzystwa, zaprowadzono jednolitą mundur i porządek wojskowy. Dziś liczba członków (rok 1853) wynosi przeszło 140, a w kase pozostał rewanż 3.341 zł gr 14.

Bez wątpienia wiele jeszcze pozostaje do zrobienia przelozonym towarzystwom, jeśli strzelnica tutejsza ma zbliżyć

się do strzelnic w Królewcu, Poznaniu, Lwowie, ale co bądź zawsze Zgromadzenie Łódzkie o wiele wyszycia pod każdym względem wszystkie strzelnice po innych miasteczkach fabrycznych. Byliśmy świadkami uroczystości strzeleckiej w Łodzi, szczegółowo więc opis tego aktu, zwłaszcza że dla wielu nieznanego, znaleźć powinien stosowne miejsce na kartach niniejszej monografii.

Strzelanie do tarczy i wybór króla kurkowego odbywa się corocznie w drugi i trzeci dzień Zielonych Świątek. Jest to epoka ważna w calorocnym życiu Łodzi: cały ruch fabryczny jest wtedy w stagnacji — każdy żyje tylko myślą o owym dniu i wysila głowę, aby tę doroczną epokę godnie uczcić i uświetnić. Bliższe i dalsze okolice Łodzi ślą jej na ten dzień licznych gości, a i Warszawa niejednokrotnie liczy tam reprezentanta, który dla uroczystości Bielan na Festyn Strzelecki zamienił.

Z rana o godzinie 9 wszyscy członkowie towarzystwa w wojskowym szyku, w zielonych mundurach, strzelbami uzbrojeni ciągną pod przewodem swego kapitana na Nowe Miasto (przed gmach starego ratusza na Placu Wolności) i rozciągają się szeregiem przed siedziskiem miejscowego magi-

stratu. Starszyzna zaprasza prezydenta, który w pełnym mundurze staje na czele orszaku. Na ten znak rozwija się chorągiew, brzmi orkiestra i pochód poprzedzony przez strzelca, niosącego ofiarowaną przez ostatniego króla tarczę honorową, rusza do mieszkania króla, stojącego na schyłku swego panowania.

Niebawem więc przyłącza się do orszaku król, przybrany w oznaki swej godności: wielką gwiazdę na piersiach i przez plecy zielono wyszywaną szarfę, poobwieszoną różnymi numizmatami, ofiarowanymi przez ustępujących od władzy królów tarczowych.

Strzelnica towarzystwa urządzona jest w oddzielnym na ten cel wzniesionym drewnianym budynku, ozdobionym wewnątrz tarczami i wieńcami, jako trofeami królów i jedną wielką tablicą z wymienieniem wszystkich królów tarczowych. Strzelanie do tarczy trwa przez dwa dni: każdemu członkowi służą trzy strzały; w roku zeszyłem jak i lat poprzednich było sześć premii.

- a) za strzał królewski złp. 180
- b) za drugie premium „ 60
- c) „ trzecie „ 30
- d) „ czwarte „ 20
- e) „ piąte „ 15
- f) „ szóste „ 10

Goście nie należący do składu towarzystwa płacą za wolność strzelania po złp 7 gr 6.

Po ukończeniu strzałów tarcze składane bywają oddzielnemu komitetowi, niejako sądowi przysięgłych, który z całą ścisłością rozmierza bliskość najlepszych strzałów i ogłasza Króla Kurkowego.

Rozległa równina rozciąga się z jednej strony strzelnicy, a piękny spacerowy ogród angielski otacza z trzech stron miejsce zapałów. Gdy więc strzelcy z wysiłkiem walczyli o koronę strzelecką, na placu tymczasem i w ogrodzie zgłętki, wrzawa jarmarczna, wesołość i zabawa. Na placu urządzona są igrzyska ludowe: ale oprócz owych karuzeli, huśtawek, młynów diabelskich i słupów z nęcącymi zdobyczami widzieliśmy tu zabawy i współzawodnictwo nowego zupełnie rodzaju. Dokoła rozbita szalasy z jarmarczными artykułami, a wszędzie ujrzyć tolerowane

wyjatkowo: fortunke i rulete.

Rozległy ogród (dziśszejsze Źródlika) zaledwie miesiąc liczących gości i zdaje się dziwić, skąd on, tak zwykle opuszczony, tylu przyjmuje przychodniów: w każdej alliancie wesołość i wrzawa, wszędzie toastów odgłos. Wobec tego widoku, pełnego życia i rozmaitości, zdawało mi się prawie niepodobnym, że jutro już ten ruch zamrze, że jutro już znowu jednostajność fabrycznego życia zapanuje nad całym obszarem Łodzi, że znowu rok czekać będzie trzeba na taką uroczystość, aby Łódź, zapomniawszy o wszystkich, odzyskała tylko myśl o dziś.

Nowo obrany król bądź tegoż dnia, bądź też nieco później łącznie z towarzystwem wyprawia bal, na którym konieczne być powinien, kto chce się zapoznać z duchem mieszkańców i głębiej wejrzeć w wewnętrzne życie ludności fabrycznej. Ile tam typów, ile zajmujących obrazków zebrać można, wśród tych ludzi, którzy wywołiwszy się na chwilę z jarzma codziennej pracy, korzystają z tego czasu z prawdziwym zapałem i umięją się bawić zapamiętałe.

W 1849 roku postanowiło towarzystwo na zakończenie obchodów strzeleckich odbywać corocznie strzelanie do ptaka w następujący sposób:

Na pagórku za parkiem, na bardzo wysokim drzewie przytwierdzony jest ptak wielki, do którego wszyscy uczestnicy strzelają z dołu. Kto ostatnią cząstkę ptaka z drzewa zestrzeli, ogłaszany bywa także królem, ale rozumie się, poprzednym, o czym już przekonywa okoliczność, że prae mium dla niego wynosi tylko złp 20. I ta uroczystość zakończona bywa balem, wyprawianym zwykle w Paradyżu, obśzernej sali położonej w ogrodzie spacerowym tegoż nazwiska.

Jednym z pierwszych królów kurkowych miasta Łodzi zostali: burmistrz Czarkowski i kasjer miejski Godzowski.

Wybrał:
HENRYK RUDNICKI



Foto: J. Patrzalek

NIE TYLKO PIOSENKA

Nazwisko Adama Brzozowskiego nie jest z pewnością obce sympatykom muzyki rozrywkowej. Ten klawecista (dyplom w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Łodzi) z wykształcenia, a kompozytor i aranżer — z pasji, pozostaje jednym z najaktywniejszych twórców muzyki wywodzących się z naszego miasta, z którym zresztą jest związany do dnia dzisiejszego.

Szerszemu ogółowi nazwisko Adama Brzozowskiego kojarzy się z piosenką, bo też napisał ich sporo. Największą bodaj popularność zyskał sobie utwór skomponowany przez Brzozowskiego wspólnie z Bernardem Soltysikiem do tekstu Wiesława Machajki pt. „Kochajmy orkiestrę wojskową”. Jak pamiętamy, piosenkę tę zaprezentowała grupa wokalna „Pro Contra” podczas VII Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu w 1973 roku i z miejsca stała się ona szlagierem. Notabene otrzymała wówczas „Srebrny Pierścień” i cały szereg innych nagród.

Trzeba przyznać, że Brzozowski — dzięki swemu talentowi i pracy — z dużym powodzeniem uczestniczył w kilku konkursach na piosenkę. Parę lat temu utwór jego kompozycji wygrał konkurs na piosenkę o Poznaniu (do dziś nie został jednak wydany ani nagrany). W ubiegłym roku podczas zorganizowanego przez Towarzystwo Przyjaciół Łodzi konkursu na piosenkę o naszym mieście wyróżniono Brzozowskiego, a w poszczególnych latach przynosił on sukcesy w konkursach na piosenkę w Warszawie, Łodzi i Białymstoku.

Piosenki Adama Brzozowskiego pisane dość tradycyjnie, ale z wykorzystaniem wielu nowoczesnych elementów pojawiających się w muzyce rozrywkowej, mają w swoim repertuarze tacy wykonawcy, jak: „Pro Contra”, Lucyna Owsńska, czy Jacek Lech. Teksty tych piosenek są najczęściej dziełem łódzkich autorów: Ryszarda Czubaczynskiego, Tadeusza Glegiera, Piotra Słowikowskiego i wspomnianego Wiesława Machajki.

Jest również Brzozowski cenionym aranżerem: instrumentuje nie tylko własne utwory, ale także piosenki innych kompozytorów. Współpracuje ściśle z łódzkim ośrodkiem Telewizji Polskiej, gdzie pełni niejednokrotnie funkcję kierownika muzycznego licznych ogólnopolskich programów rozrywkowych (m.n. „Dobry wieczór — tu Łódź”).

Ostatnio Brzozowski opiekuję się nowo powstałą przy „Estradzie Łódzkiej” mieszaną grupą wokalną „Primo Voto”, gdzie sprawuje obowiązki szefa muzycznego i kompozytora — aranżera.

Ale zajmuje się nie tylko piosenką: od blisko dwudziestu lat (Brzozowski wyrósł wraz z pokoleniem łódzkich jazzmanów drugiej połowy lat pięćdziesiątych, która dla rodzimego jazzu była „złotym okresem”) pisze utwory instrumentalne na duże składy orkiestrowe. Pierwszy tego typu utwór nagrany został poza Łodzią (i) przez orkiestrę Edwarda Czernego. Dziś Adam Brzozowski może się poszczycić współpracą ze wszystkimi niemal liczącymi się orkiestrami w kraju. Oczywiście, najbliższą jest on związany z Orkiestrą Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi pod dyrekcją Henryka Debacha, która stosunkowo często czerpie z kompozytorskiej teki Brzozowskiego.

Poza tym Adam Brzozowski pisuje muzykę ilustracyjną do spektakli teatralnych. Jedną z najciekawszych prób były musicale dla dzieci (z librettem Jerzego Panasewicza) wystawiane w łódzkim Teatrze Muzycznym. Aktualnie Brzozowski opracowuje muzykę do widowiska gdynskiego teatru Baduszkowej. Zarówno na premierę tego musicalu, jak i na inne efekty kompozytorskiej działalności Adama Brzozowskiego na polu piosenki, można oczekiwać z zainteresowaniem, gdyż zawsze reprezentuje on w swojej twórczości ambina dojrzałość i autentyczną pasję.

K.D.



Foto: Archiwum